

GIUSEPPE TOMASI DI LAMPEDUSA

# Lampart

*Przełożyła*

*Zofia Ernstowa*



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

## Rozdział 1

*Różaniec i prezentacja księcia – Ogród i zmarły żołnierz – Audiencje na królewskim dworze –  
Kolaćja – Powozem do Palermo – W drodze do Marianniny – Powrót do S. Lorenzo –  
Rozmowa z Tancredem – W pokojach administracji: rodowe włości i rozważania polityczne –  
W obserwatorium z ojcem Pirrone – Odpęczenie przy obiedzie – Don Fabrizio i chłopci – Don  
Fabrizio i jego syn Paolo – Wiadomość o lądowaniu i znowu różaniec.*

*Maj 1860*

– *Nunc et in hora mortis nostrae. Amen.*<sup>1</sup>

Codzienne odmawianie różańca było skończone. Przez pół godziny spokojny głos księcia przypominał Tajemnice Chwalebne i Bolesne; przez pół godziny inne, pomieszane głosy rozsnuwały to narastający, to gasnący szmer, w którym odcinały się niczym złociste kwiaty ważne słowa: miłość, dziewictwo, śmierć; i gdy rozbrzmiewał ów szmer, rokokowa sala zdawała się odmieniona: nawet papugi rozwijając tęczowe skrzydła na jedwabiu obicia robiły wrażenie onieśmiałonych; nawet Magdalena, między dwoma oknami, wyglądała na skruszoną pokutnicę, a nie, jak zazwyczaj, na piękną, o bujnych kształtach blondynkę, pogrążoną w Bóg wie jakich marzeniach.

Teraz gdy umilkły głosy, wszystko wracało do porządku, do zwykłego nieporządku. Przez drzwi, którymi wyszła służba, wsunął się przygnębiony chwilowym wygnaniem brytan Bendicò i zaczął machać ogonem. Kobiety wstawały powoli, a ruch ich fałdzistych spódnic odsłaniał po kolei mityczne nagości widniejące na mlecznych kaflach posadzki. Zakryta pozostała jedna tylko Andromeda, której sutanna ojca Pirrone, zapóźnionego w dodatkowych modłach, nie pozwoliła jeszcze przez pewien czas ujrzeć ponownie srebrzystego Perseusza lecącego ponad falami i śpieszącego nieść jej ratunek i pieśczoć.

W górze, na malowidle plafonu, budziły się bóstwa. Gromady trytonów i driad gnały z gór i mórz wśród różowych i liliowych obłoków ku Conca d'Oro<sup>2</sup> by głosić chwałę rodu Salina, i tryskały tak niepohamowaną radością, że zdawały się zapominać o najelementarniejszych zasadach perspektywy. A potężniejsi bogowie, księżęta między bogami: gromowładny Zeus, zasępiony Mars, wiotka Wenus, postępowali na czele tej zgrai pomniejszych bóstw, dzierżąc uroczyście lazurową tarczę z Lampartem. Wiedzieli, że znowu na dwadzieścia trzy i pół godziny oni obejmują w posiadanie pałac. Na ścianach pocieszne małpki znów zaczęły wykrzywiać się do papug.

Pod tym palermitańskim Olimpem także i śmiertelnicy domu Salina pośpiesznie opuszczali sfery mistyczne. Dziewczęta poprawiały fałdy spódnic, wymieniając błękitne spojrzenia i słowa z pensjonarskiej gwary. Od przeszło miesiąca, od dnia „rozruchów” czwartego kwietnia<sup>3</sup>, kiedy dla ostrożności odebrano je z klasztoru, przebywały w domu i tęskniły za sypialniami o łózkach pod baldachimem i za życiem koleżeńskim w Salvatore. Młodsze dzieci brały się już za czuby o obrazek ze św. Franciszkiem a Paolo; pierworodny, spadkobierca, diuk Paolo, miał wielką ochotę zapalić, ale bał się wyjąć papierosa w obecności

<sup>1</sup> Teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

<sup>2</sup> Lekka pochyłość opadająca od podnóża gór otaczających Palermo ku morzu.

<sup>3</sup> 4 kwietnia 1800 r. w Palermo Francesco Riso próbował wzniecić powstanie, które przeszło do historii jako „Powstanie Gancia”, nazwane tak od klasztoru Gancia, w którym wybuchło. Ta próba Risa, jakkolwiek zakończyła się tragicznie, odbiła się echem wśród chłopów sycylijskich, którzy zaczęli organizować zbrojne oddziały; połączyły się one później z ochotnikami Garibaldięgo.

rodziców, więc tylko macał palcami w kieszeni wyplataną ze słomki papierośnicę. Na jego chudej twarzy malowała się metafizyczna melancholia – dzień nie należał do udanych: Guiscardo, kasztan irlandzkiej rasy, wydał mu się w złej formie i Fanny nie miała okazji (albo ochoty?) przesłać mu jak co dzień bileciku fiołkowego koloru. Po cóż, wobec tego, wcielił się Zbawiciel?

Niecierpliwa i porywcza księżna machinalnie wypuściła z ręki różaniec, który wpadł z suchym chrzęstem do obszytej dżetami torebki; piękne, niespokojne oczy spoglądały to na dzieci-podnóżki, to na męża-tyrana, ku któremu zwracała się jej drobna postać w próżnym, zachłannym pragnieniu, by dominować nad nim w miłości.

A tymczasem on, książę, podnosił się z klęczek: pod jego potężnym ciężarem zadrżała posadzka, a w niezwykle jasnych oczach mignęła duma z powodu tego efemerycznego potwierdzenia swojej władzy nad ludźmi i martwymi przedmiotami.

Kładł teraz ogromny czerwony mszał na krzesło, które stało przed nim podczas modlitwy, podnosił z podłogi chustkę, na której opierał przedtem kolano, i pewna doza niechęci błysnęła w jego spojrzeniu, gdy padło ono na plamkę od kawy, która ośmieliła się już od rana kalać biel jego kamizelki.

Nie był tęgi, tylko olbrzymiego wzrostu, a przy tym niewiarygodnie silny; głowa jego sięgała (w domach zamieszkałych przez zwykłych śmiertelników) aż do żyrandola; potrafił związać w trąbkę, jak bibułę, dukaty, a przy stole ofiarą jego powściąganego gniewu padały łyżki i widelce, które zginał w podkowę, tak że niemal dzień w dzień biegano z pałacu do sklepu złotnika, gdzie oddawano je do reperacji. Skądinąd zresztą te palce umiały być arcydelikatne w pieścocie, co na swoje nieszczęście dobrze pamiętała donna Maria Stellą, żona; także przeróżne odlane z metalu śrubki i zakrętki teleskopów, lunet oraz „poszukiwaczy komet”, zapełniających najwyższe piętro pałacu w prywatnym obserwatorium, pozostawały nietknięte pod lekkim muśnięciem jego palców. Promienie słońca, już skłaniającego się ku zachodowi, lecz stojącego jeszcze wysoko na niebie w to majowe popołudnie, podkreślały różową cerę księcia i jasne, koloru miodu włosy; zdradzały one niemieckie pochodzenie jego matki, owej księżnej Karoliny, której wyniosłość zmroziła przed trzydziestu laty chaotyczny i beztroski dwór Obojga Sycylii. Lecz cóż z tego, że ta różowa karnacja księcia i jego płowa czupryna wyglądały tak efektownie i pociągająco tam, gdzie wszyscy inni mieli oliwkowe cery i krucze włosy, cóż z tego, kiedy w jego żyłach fermentowały inne jeszcze soki germańskiej spuścizny, bardzo niewygodne dla tego arystokraty sycylijskiego w 1860 roku: despotyczny charakter, nieugięte w pewnym sensie zasady moralne, skłonność do idei abstrakcyjnych, które w zetknięciu ze środowiskiem zniewieściałej socjety palermitańskiej zmieniły się w kapryśną tyranję, w przesadną skrupulatność, w pogardę dla krewnych i przyjaciół. Zdaniem księcia, płynęli oni bezwolnie z prądem leniwych nurtów rzeki sycylijskiego pragmatyzmu.

Pierwszy (i ostatni) z rodu, który przez wieki nie potrafił nawet podsumować swoich dochodów i odjąć od nich swoich długów, miał wybitne, niezaprzeczone zdolności matematyczne, które zastosował w astronomii; przyniosło mu to uznanie publiczne i było źródłem żywego zadowolenia wewnętrznego. Duma i analiza matematyczna zespoliły się w nim do tego stopnia, że stworzyły mu złudzenie, jakoby gwiazdy posłuszne były jego obliczeniom (rzeczywiście wyglądało na to!), i że dwie odkryte przez niego planetki (nazwał je Salina i Svelto, na pamiątkę rodowych włości oraz nieodżałowanego wyżła) słać będą ród Salina w pustych przestworzach, na odcinku między Marssem i Jowiszem, co z kolei wskazywałoby na to, iż pałacowy plafon był raczej przepowiednią niż pochlebstwem.

Kształtowany od dzieciństwa z jednej strony przez dumę i intelektualizm matki, a z drugiej przez zmysłowość i beztroski optymizm ojca, nieszczęsny książę Fabrizio żył w nieustannej rozterce i marszcząc zeusowe czoło oddawał się rozmyślaniom nad ruiną swego środowiska i swego majątku, nie zdradzając przy tym najmniejszych skłonności ani ochoty, by zacząć

działać i jakoś temu zaradzić.

Te pół godziny dzielące różaniec od kolacji należało do spokojniejszych chwil dnia i książę cieszył się już z góry na owo wątpliwe zresztą ukojenie.

Poprzedzany przez nieprzytomnie rozradowanego Bendica, zeszedł po krótkich schodach prowadzących do ogrodu, który, zamknięty z trzech stron murem, a z czwartej ścianą pałacu, miód w sobie coś z cementarza. To wrażenie potęgowały jeszcze usypane wzdłuż nawadniających kanalików kopce ziemi: wyglądały jak mogiły skarłałych olbrzymów. Na czerwonej, gliniastej glebie rośliny tworzyły bujną, chaotyczną gęstwinię; kwiaty rosły, gdzie Bóg zdarzył, a mirtowe żywopłoty zdawały się mieć na celu raczej utrudnienie niż ułatwienie orientacji. W głębi ogrodu Flora, poplamiona kępkami żółtawoczarnego mchu, wystawiała na światło dzienne swoje bardziej niż wiekowe wdzięki, po bokach dwie kamienne ławy, także z szarego marmuru, podtrzymywały rozłożone pikowane poduszki, a w rogu drzewo akacji jaśniało spokojną radością. Z każdej grudki ziemi tryskało wrażenie zabitego lenistwem pragnienia piękna.

Ten stłoczony, wciśnięty między mury ogród emanował całą gamą zapachów oleistych, zmysłowych, lekko zalatujących zgnilizną jak aromatyczna trupia posoka wydestylowana z relikwii niektórych świętych; ostry zapach goździków dominował nad tradycyjnym zapachem róż i odurzającą wonnością magnolii rosnących w narożnikach muru. Od ziemi dolatywał aromat mięty, który zlewał się z dziecianną wonią akacji i cukierkowym zapachem mirtu, a spoza muru płynęła woń zakwitających drzew pomarańczowych.

Był to ogród dla ślepców: wzrok buntował się tutaj na każdym kroku, lecz ,powonienie mogło doznać nie lada rozkoszy, choć nie najsubtelniejszych. Róże Paul Neyron, które książę sam przywiózł z Paryża, szybko się zdegenerowały; za gwałtownie wybijały, a potem przywiędły pod wpływem żywiołowych i niszczycielskich soków sycylijskiej gleby i apokaliptycznych lipcowych upałów; kwiaty ich przypominały teraz kapuściane głowy cielistego koloru, które wyglądały wręcz bezwstydnie; za to buchała od nich woń niemal zmysłowa, o jakiej żaden francuski hodowca nie śmiałby nawet marzyć. Książę przysunął jedną z nich do nosa i wydało mu się, że wacha udo baletnicy z Opery. Dał ją także do powąchania Bendicowi, który cofnął się ze wstrętem i pobiegł szybko na poszukiwanie bardziej balsamicznych zapachów, jak nawóz i zdechłe jaszczurki.

Lecz ten tak pełen aromatu ogród budził w myślach księcia ponure skojarzenia: „Teraz ślicznie tu pachnie, ale miesiąc temu...”

Przypomniał sobie z dreszczem obrzydzenia mdły odór, który przeniknął nawet do wnętrza pałacu, zanim odkryto jego przyczynę: trupa młodego żołnierza z piątego batalionu strzelców, który, ranny w San Lorenzo w potyczce z oddziałami rebeliantów, dowlókł się tutaj, by umrzeć samotnie pod cytrynowym drzewem. Znalaziono go leżącego na brzuchu w gęstej koniczynie, z twarzą zanurzoną we krwi i wymiotach; na jego dłoniach, których palce kurczowo wczepione były w ziemię, roilo się od mrówek; zwoje jelit tworzyły pod nim fioletową kałużę. Znalazł te żałosne szczątki majordomus Russo, odwrócił je, przykrył twarz żołnierza czerwoną chustką, wepchnął mu patykiem jelita do jamy brzusznej i przykrył potem ranę fałdami granatowego płaszcza; spluwał przy tym bez ustanku z obrzydzenia, wprawdzie nie na trupa, ale tuż obok. Zrobił to wszystko z wysoce podejrzaną sprawnością.

– Od tego ścierwa nawet i po śmierci smród zalatuje – mówił. I było to z jego strony jedynym uczczeniem tej samotnej śmierci.

Potem, gdy już zabrali zmarłego wstrząśnięci do łez towarzysze broni (a wlekli go za ramiona aż do wózka, tak że pakuły znowu zaczęły wyłazić z kukły), do wieczornego różańca dołączono *De profundis* za duszę nieznanego, żołnierza i nie mówiono o nim więcej; sumienie kobiet znalazło zadośćuczynienie w modlitwie.

Książę zdrapał trochę mchu ze stóp Flory i zaczął spacerować tam i z powrotem;

zachodzące słońce rzucało jego ogromny cień na żalobne klomby.

Istotnie, o zmarłym nie było już mowy; ostatecznie, żołnierz po to jest żołnierzem, żeby umierać w obronie króla. Jednakże obraz tego poszarpanego ciała często powracał we wspomnieniu, jak gdyby młody żołnierz upominał się, by księżę pozwolił mu odpoczywać w pokoju; księżę zaś mógł tego dokonać w jeden jedyny sposób – usprawiedliwiając jego śmiertelną mękę koniecznością społeczną. I zaraz osaczyły go inne upiory, jeszcze mniej powabne od tamtego. No tak, bo umrzeć za kogoś czy za coś, to się rozumie, taki jest porządek rzeczy; trzeba jednak wiedzieć albo przynajmniej mieć pewność, że ten ktoś wie, za co czy za kogo umarł; o to właśnie pytała ta straszliwa twarz i tu właśnie zaczynała się mgła niepewności.

„Ależ on umarł za króla, drogi Fabrizio, to jasne – odpowiedziałby jego szwagier Malvica, gdyby księżę zapytał go o to, ten Malvica uważany zawsze za wyrocznię przez liczne grono znajomych. – Za króla, który uosabia ład, ciągłość, sprawiedliwość, prawo, honor. Za króla, który jest jedynym obrońcą Kościoła, który stoi na straży własności zagrożonej dzisiaj przez liberałów.” Piękne słowa, które zawierały w sobie to wszystko, co było księciu drogie, co było głęboko zakorzenione w jego sercu. Jednakże wyczuwał tu jeszcze jakiś zgrzyt. Król, zgoda. Króla znał dobrze, a przynajmniej tego ostatniego, który niedawno umarł, obecny zaś był tylko seminarzystą przebrany za generała<sup>4</sup>. I doprawdy niewiele był wart. „Ależ to nie jest rozumowanie – odpaliłby z miejsca Malvica – poszczególni królowie mogą nie stać na wysokości zadania, ale idea monarchii zawsze pozostaje ta sama.”

I to prawda; lecz królowie, którzy wcielają ową ideę, nie mogą z generacji na generację staczać się poniżej pewnego poziomu; jeśli się tak dzieje, drogi szwagrze, cierpi na tym także idea.

Siedząc beczynnie na ławce, obserwował spustoszenie, jakiego dokonał na klombach Bendicò; pies zwracał ku niemu raz po raz niewinne oczy, jak gdyby żądając pochwały za swoją pracę: czterdzieści złamanych goździków, połowa żywopłotu podkopana, jeden z kanalików zasypany. To zwierzę wyglądało naprawdę jak człowiek.

– No, dobrze, Bendicò, chodź tu, piesku!

I pies podbiegł, oparł mu na dłoni uwalane ziemią nozdrza, dając skwapliwie do zrozumienia swemu panu, że wybacza, iż ten odrywa go od żmudnej i tak celowej pracy.

Audiencje, liczne audiencje udzielane mu przez króla Ferdynanda w Casercie, w Capodimonte, w Portici, w Neapolu i gdzie diabeł mówi dobranoc.

Przy boku dyżurnego szambelana, z trój graniastym kapeluszem pod pachą i najświeższymi pługastwami neapolitańskimi na ustach, szli przez nie kończące się sale o wspaniałej architekturze i niestrawnym umeblowaniu (takim właśnie jak burbońska monarchia), przemierzali nie pierwszej czystości korytarzyki i źle utrzymane schodki, by znaleźć się w końcu w zatłoczonym przez ludzi przedpokoju: zamknięte twarze agentów, zachłanne twarze petentów z protekcją. Szambelan przeproszał, przepychał się przez tę ludzką ciżbę i wprowadzał do drugiego przedpokoju, przeznaczonego dla dworu, błękitno-srebrnego saloniku z czasów Karola III; po krótkim oczekiwaniu lokaj pukał do drzwi i oto było się dopuszczonym przed najjaśniejsze oblicze.

Prywatny gabinet był mały, urządzone ze sztuczną prostotą; na białych ścianach portrety: króla Franciszka I i obecnej królowej o twarzy cierpkiej i gniewnej; nad kominkiem *Madonna*, pędzla Andrea del Sarto, wydawała się zdziwiona, że umieszczono, ją wśród kolorowych litografii trzeciorzędnych świętych i sanktuariów neapolitańskich; na konsolce

---

<sup>4</sup> Chodzi o Ferdynanda II Burbona (panował: 1830-1859), króla Obojga Sycylii, sprawnego administratora, ale zdecydowanego wroga ruchów narodowych i liberalnych, i o jego syna, Franciszka II, mniej zdolnego od ojca, który panował blisko rok, do momentu gdy w wyniku wyprawy Garibaldiiego został pozbawiony tronu.

Dzieciątko Jezus z wosku i paląca się przed nim lampka; a na skromnym biurku białe papiery, żółte papiery, niebieskie papiery; cała administracja królestwa, która dobiegała końcowej fazy, jaką stanowił podpis jego królewskiej mości.

Za tą barykadą papierów król, już w pozycji stojącej, by nie oglądano go w trakcie wstawania; król z szeroką, bladą twarzą, okoloną jasnymi bokobrodami, ubrany w szorstką wojskową kurtkę, spod której luźno spływały fioletowe spodnie. Występował krok naprzód, z ręką wysuniętą do pocałunku, przed którym się potem wzbraniał.

– Salina, szczęśliwe moje oczy, które cię widzą.

Jego neapolitański akcent był bez porównania dobitniejszy niż akcent szambelana.

– Proszę waszą królewską mość o wybaczenie, że przychodzę nie w mundurze dworskim, ale jestem tylko przejazdem w Neapolu, a nie chciałem tracić okazji, żeby pokłonić się waszej królewskiej mości.

– No, no, Salina, wiesz dobrze, że masz się czuć w Casercie jak u siebie w domu. Oczywiście, jak u siebie w domu – powtarzał rozsiadając się powoli za biurkiem i zwlekając chwilę z zaproszeniem gościa, by także usiadł.

– A co porabiają owieczki?

Książę zgadywał, że w tym miejscu należało odpowiedzieć dwuznacznikiem pieprzonym i zarazem pełnym pruderii:

– Owieczki, jego królewska mość? W moim wieku i w uświęconych okowach małżeństwa?

Na ustach króla błąkał się uśmiech, podczas gdy ręce surowo porządkowały papiery.

– Nigdy bym sobie nie pozwolił, Salina. Pytając o owieczki, miałem na myśli księżniczki. Concetta, droga nasza chrześniaczka, musiała bardzo podrosnąć, to pewnie już panienka.

Od spraw rodzinnych przeszło się do nauki.

– Ty, Salina, przynosisz zaszczyt nie tylko sobie, ale całemu królestwu. Wielka to rzecz nauka, kiedy nie próbuje podważyć Kościoła! – Potem jednak odkładało się na bok maskę przyjaciela i przybierało maskę surowego władcy. – Powiedz no mi, Salina, co się mówi na Sycylii o Castelcicali?

Salina nasłuchiwał się niejednego na temat tego człowieka, i to zarówno ze strony zwolenników króla, jak i liberałów, lecz nie chcąc zdradzać przyjaciela odpowiadał wymijająco, ogólnikowo.

– Wielki pan, zaszczytna rana, może trochę za stary na stanowisko gubernatora.

Król pochmurniał: Salina nie chciał występować w roli donosiciela, a więc Salina nie był mu potrzebny. Oparty łokciami o biurko, przygotowywał się do pożegnania z gościem.

– Mamy bardzo wiele pracy, całe królestwo spoczywa na naszych barkach. – Przychodził moment, by powiedzieć coś na osłodę; przyoblekał znowu przyjazną maskę: – Kiedy będziesz znów w Neapolu, Salina, przyjdź pokazać Concettę królowej. Wiem, że jest jeszcze za młoda, żeby mogła być przedstawiona u dworu, no, ale taki mały, prywatny obiadek... nic przecież nie stoi na przeszkodzie. Makaron i piękne dziewczątka, jak się to mówi... Żegnamy cię, Salina, bywaj zdrow!

Pewnego razu jednak pożegnanie nie należało do przyjemnych. Wychodzący tyłem książę wykonał już drugi ceremonialny ukłon, kiedy król wezwał go na powrót:

– Posłuchaj mnie, Salina, mówiono nam o twoich nieodpowiednich znajomościach w Palermo. Ten twój siostrzeniec, Falconeri... dlaczego nie uporządkuje sobie trochę w głowie?

– Ależ, wasza królewska mość, Tancredi interesuje się wyłącznie kobietami i kartami.

Król stracił cierpliwość.

– Salina, Salina, postradałeś rozum! Ty, jako opiekun, jesteś za to odpowiedzialny. Powiedz mu, żeby miał się na baczności, bo może za to przypłacić głową. Żegnamy.

Powracając tą samą drogą przez urządzone z pompacyjną przeciętnością wnętrza, by podpisać się w księdze królowej, książę czuł, że ogarnia go zniechęcenie. Przygnębiała go w

równej mierze wulgarna serdeczność, jak ubrane w piękne słówka policyjne chwytły. Szczęśliwi ci, którzy umieli brać poufałość za przyjaźń, a pogrożki za królewską pozę. On tego nie „potrafił”. I podczas gdy wymieniał najświeższe ploteczki z nieposzlakowanym szambelanem, w duchu zadawał sobie pytanie, kto jest przeznaczony na następcę owej monarchii, która nosiła już stygmaty śmierci na twarzy.

Czyżby Piemontczyk, tak zwany Galantuomo<sup>5</sup>, który robił tyle hałasu w swojej małej, położonej na uboczu stolicy? I czy nie byłoby to jedno i to samo? Dialekt turyński zamiast neapolitańskiego. I na tym koniec.

Dotarł wreszcie do księgi. Złożył swój podpis: „Fabrizio Corbera, książę Salina.”

A może republika don Peppina Mazziniego<sup>6</sup>? „Stokrotne dzięki! Stałbym się panem Corbera.”

Nie uspokoiła go długa droga powrotna. Nie mogła go pocieszyć nawet myśl o umówionym spotkaniu z Corą Danòlo.

Skoro tak się rzeczy miały, co pozostawało do zrobienia? Uczepić się tego, co było, nie ryzykując skoków w ciemność? W takim razie potrzebne były suche detonacje wystrzałów, jak to się zdarzyło niedawno, na nędznym placu w Palermo; ale czy mogły coś dać te wystrzały?

– Takie „pif-paf” niczego nie rozwiąże. Prawda, Bendicò?

– Dzyń, dzyń, dzyń! – dzwonił tymczasem dzwonek wzywający na kolację. Bendicò poderwał się i pobiegł przodem; na myśl o smakowitym posiłku ślina kapała mu z pyska.

– Piemontczyk to kubek w kubek jedno i to samo – mruczał książę wchodząc po schodach.

Kolację w pałacu Salina podawano z przepychem prezentującym szczątki dawnej świetności, który był wówczas w stylu Królestwa Obojga Sycylii. Sama już liczba biesiadników (a było ich czternastu z „księstwem, dziećmi, guwernerami i nauczycielami”) sprawiała, że stół robił imponujące wrażenie. Przykryty najcieńszym misternie wycerowanym obrusem błyszczał w jasnym świetle zawieszanej pod świecznikiem z Murano lampy naftowej, wynalazku francuskiego zegarmistrza Carcela. Z okien padało jeszcze światło dzienne, ale białe, naśladowujące płaskorzeźby, malowidła nad drzwiami ginęły już w mroku. Wspaniale wyglądały masywne srebra i piękne, grubo rżnięte kryształowe kielichy, ozdobione gładkimi medalionami z literami „F. D.” (*Ferdinandus dedit*<sup>7</sup>) na pamiątkę szczodrobliwego daru króla; lecz talerze, znaczone inicjałami sławnych fabryk porcelany, były to niedobitki spustoszenia dokonanego przez podkuchennych i każdy pochodził z innego serwisu. Te największe, z delikatnej porcelany Capodimonte, ozdobione szerokim obramowaniem zielonomigdałowego koloru, w deseń ze złotych kotwiczek, przeznaczone były „dla księcia, który lubił widzieć wokół siebie wszystko na miarę swojej postaci, z wyjątkiem żony.

Gdy wszedł do jadalni, zastał tam już wszystkich, ale siedziała tylko księżna, inni stali za swymi krzesłami. Przed jego miejscem przy stole, obok kolumny piętrzących się talerzy, lśniła srebrna, pękata ogromna waza z pokrywą ozdobioną tańczącym Lampartem. Książę sam rozlewał zupę – wdzięczne zajęcie, symbol obowiązków spoczywających na ojcu rodziny. Ale tego wieczoru rozległo się od dawna już nie słyszane groźne pobrzękiwanie

---

<sup>5</sup> Chodzi o Wiktora Emanuela II z dynastii sabaudzkiej, tzw. re Galantuomo („króla Szlachetnego”), noszącego tytuł króla Sardynii (panował na Sardynii, w Pemoncie, Ligurii i Sabaudii) w latach 1849-1861, a od 1861-1878 króla Włoch. Uświadomiwszy sobie, że dawne dążenia dynastii sabaudzkiej do panowania w Lombardii i w rejonie weneckim mogą się zrealizować jedynie przy współpracy z narodowym ruchem wyzwoleniczym, potrafił w momentach historycznych o szczególnej doniosłości (np. podczas wyprawy na czele Tysiąca) doprowadzić do porozumienia między obozem umiarkowanym i rewolucyjnym.

<sup>6</sup> Giuseppe Mazzini (1805-1872) – przywódca i teoretyk partii republikańskiej, dążącej do zjednoczenia Włoch. Był gorącym wielbicielem Mickiewicza.

<sup>7</sup> Ofiarował Ferdynand.

głębokiej łyżki o boki wazy: oznaka wielkiego, powściąganego jeszcze gniewu, najbardziej przerażający dźwięk, jak utrzymywał nawet po czterdziestu latach jeden z pozostałych przy życiu synów – księżę spostrzegł, że szesnastoletni Francesco Paolo nie siedzi jeszcze na swoim miejscu. Chłopak wszedł zaraz („Proszę mi wybaczyć, papo!”) i usiadł. Nie został skarcony, lecz ojciec Pirrone, który sprawował funkcje mniej więcej takie jak pies owczarski, zwiesił głowę i polecił się Bogu. Grom nie uderzył, ale wiatr, jaki się zerwał przy nadchodzącej burzy, zmroził zgromadzonych przy stole i cała kolacja i tak była zepsuta. Podczas posiłku niebieskie oczy księcia, zmrużone pod wpół przymkniętymi powiekami, padały kolejno na wszystkie dzieci, które martwiały ze strachu.

On natomiast myślał: „Piękna rodzina!” Dziewczynki były pulchne, tryskające zdrowiem, na policzkach miały dołeczki, a między brwiami charakterystyczną zmarszczkę, atawistyczny znak rodu Salina. Chłopcy byli szczupli, ale silni, a na ich twarzach malowała się tak modna podówczas melancholia; manewrowali sztucami z mitygowaną gwałtownością. Jednego z nich brakowało od dwóch lat, Giovanniego, drugiego z kolei, tego najbardziej kochanego, najbardziej samowolnego. Pewnego dnia zniknął z domu i nie było o nim wiadomości przez dwa miesiące. Potem nadszedł zimny, pełen szacunku list z Londynu, w którym syn przeproszał za wszystkie troski, których był przyczyną, zapewniał, że jest zdrow, i oznajmiał rzecz zadziwiającą, że woli swoje skromne życie sprzedawcy w składzie węgla od egzystencji „zbyt wygodnej” (czytaj: „przytłaczającej”) wśród palermitańskich zbytków. Wspomnienie, niepokój o tego młodzika błędzącego w oparach mgły heretyckiego miasta dotkliwie kłuły serce księcia wywołując głęboki ból. Zasepił się jeszcze bardziej.

Tak się zasepił, że siedząca obok niego księżna wyciągnęła dziecienną rączkę i pogłaskała potężne łapsko spoczywające na obrusie. Ten nieoczekiwany gest wyzwolił w nim dwojakie doznania: rozdrażnienie, że jest przedmiotem współczucia, i pożądliwość zmysłową, ale skierowaną nie do osoby, która ją wywołała. Na ułamek sekundy mignął księciu obraz Marianniny z głową zagłębioną w poduszce. Podniósł głos.

– Domenico – zwrócił się do jednego ze służących – idź do don Antonia i powiedz mu, żeby zaprzęgał gniade do powozu; zaraz po kolacji jadę do Palermo.

Spojrzał w oczy żony, które się zaszklily, i natychmiast pożałował swojego rozkazu; ale cofnięcie raz wydanej dyspozycji było nie do pomyślenia, powiedział więc z naciskiem, dodając jeszcze szyderstwo do okrucieństwa:

– Ojciec Pirrone, pojedzie ojciec ze mną. Wrócimy na jedenastą; będzie sobie mógł ojciec spędzić dwie godzinki w macierzystym klasztorze ze swymi przyjaciółmi.

Jazda do Palermo wieczorem w tych niepewnych czasach wyglądałaby na bezsensowną, gdyby nie brać pod uwagę przygody miłosnej, z rzędu tych najwulgarniejszych; a zaproponowanie księdzu-domownikowi, by towarzyszył w tej przejażdżce, było obrażającym despotyzmem. Tak przynajmniej odczuł to ojciec Pirrone i obraził się; ale, rzecz oczywista, ustąpił.

Właśnie zjedzono ostatnie nieszpułki, kiedy dał się słyszeć turkot zajeżdżającej przed pałac karety; i gdy lokaj podawał księciu cylinder, a jezuita trójgraniasty kapelusz, księżna nie mogąc już powstrzymać łez zrobiła ostatnią próbę, z góry skazaną na niepowodzenie:

– Ależ, Fabrizio, w takich czasach, kiedy ulice są pełne żołdaków, pełne opryszków... może się zdarzyć jakieś nieszczęście.

Księżę zaśmiał się:

– Głupstwa, Stello, głupstwa; co się ma zdarzyć? Wszyscy mnie znają: takich mężczyzn jak dęby niewielu jest w Palermo; żegnam cię.

I szybko pocałował gładkie jeszcze czoło, które znajdowało się na wysokości jego brody. Jednakże czy to zapach skóry księżnej przywołał tkliwe wspomnienia, czy też rozlegający się z tyłu pokutniczy krok ojca Pirrone obudził pobożną skruchę, dość że księżę, zbliżywszy się do powozu, znowu miał ochotę odwołać wyjazd. W tym samym momencie gdy otwierał usta,



by kazać stangretowi zawracać do stajni, z okna pierwszego piętra dobiegł gwałtowny krzyk:

– Fabrizio! Fabrizio mój! – a po nim nastąpiły rozdzierające spazmy. Księżna dostała jednego ze swych histerycznych ataków.

– Ruszaj! – zawołał do stangreta siedzącego na koźle z umocowanym na brzuchu, sterczącym do góry batem. – Ruszaj! Jedziemy do Palermo zawieźć ojca do klasztoru.

I zatrasnęła drzwiczki, zanim zdążył to zrobić lokaj.

Było jeszcze dość widno i rozciągająca się przed nimi, wciśnięta między wysokie mury droga jaśniała jaskrawą bielą. Gdy tylko znaleźli się poza obrębem posiadłości Salina, z lewej strony ukazał się na wpół rozwalony pałac Falconerich, należący do jego siostrzeńca i pupila. Ojciec utracjusz, mąż siostry księcia, przepuścił całą fortunę, a potem umarł. Była to jedna z owych kompletnych ruin finansowych, kiedy wytapia się srebro nawet z galonów liberii; po śmierci matki król powierzył opiekę nad chłopcem, wówczas czternastoletnim, wujowi Salina. Chłopak, którego przedtem prawie nie widywał, stał się oczkiem w głowie księcia choleryka, który odkrył w nim przekorną wesołość, frywolny temperament, kontrastujący z nagłymi przyłykami powagi. Nie przyznawał się do tego sam przed sobą, ale wolałby mieć za pierworodnego Tancreda niż tego pocziwego głuptaka Paola. Teraz jako dwudziestojednoletni młodzieniec Tancredi używał życia za pieniądze, których opiekun mu nie skąpił, dokładając często z własnej kieszeni. „Co też to chłopaczysko teraz kombinuje?” – myślał sobie książę przejeżdżając tuż obok pałacu Falconerich; przelewająca się przez mur olbrzymia bougenvillea spływała kaskadą biskupiego jedwabiu, potwierdzając w mroku wrażenie niepotrzebnego zbytku.

„Co on tam teraz kombinuje?” Bo król Ferdynand, mówiąc o złych znajomościach młodzieńca, wprawdzie niepotrzebnie o tym wspomniał, ale rzeczywiście miał rację. Osaczony przez zgraję przyjaciół szulerów i przyjaciółek, jak się to mówi, „złej konduity”, których zawojował wrodzonym, subtelnym urokiem, Tancredi zapomniał się do tego stopnia, że zaczął nabierać sympatii dla liberałów i nawiązał stosunki z Tajnym Komitetem Narodowym; może nawet stamtąd brał pieniądze, tak samo jak brał je z królewskiej szkatuły. Trzeba było nie lada wysiłków, trzeba było składać wizyty u sceptycznego Castelcicali, jak i u nazbyt ugrzeczniejszego Maniscalca, by uchronić chłopaka od poważnych tarapatów po dniu czwartym kwietnia. To wszystko nie wyglądało pięknie; z drugiej strony, Tancredi nigdy nie był winien w oczach wuja, który przypisywał winę czasom, tym niespokojnym czasom, w których młody człowiek z dobrej rodziny nie może sobie zagrać w faraona, żeby nie uwikłać się przy tym w kompromitujące znajomości. Paskudne czasy!

– Paskudne czasy, ekscelencjo!

Głos ojca Pirrone zabrzmiał jak echo jego myśli. Wciśnięty w kąt powozu, przytłoczony potężną postacią księcia, jezuita cierpiał na ciele i na duchu, a ponieważ był człowiekiem nieprzeciętnym, przenosił swoje doraźne udręki na płaszczyznę ogólnoludzkich dziejów.

– Proszę popatrzeć, ekscelencjo – i wskazał na odcinające się ostrą linią wokół Conca d’Oro góry, widoczne jeszcze w zapadającym zmroku. Na ich zboczach i szczytach płonęły dziesiątki ognisk rozpalanych co noc przez oddziały rebeliantów, głucha groźba dla tego królewskiego i klasztorowego miasta. Wyglądały one jak światła palące się nocą w pokojach konających ludzi.

– Widzę, ojcze, widzę.

I myślał, że może Tancredi jest teraz przy jednym z owych nienawistnych ognisk i arystokratycznymi rękami podsyca ten ogień, który płonie na zgubę takich właśnie rąk. „Rzeczywiście, ładny ze mnie opiekun, skoro mój pupil folguje każdej zachciance, jaka przychodzi mu do głowy!”

Droga biegła teraz lekko w dół i widać było już z bliska Palermo pogrążone w zupełnym mroku. Niskie, ściśnięte jeden przy drugim domy były przytłoczone kolosalnymi budynkami

klasztornymi, które trudno by nawet zliczyć. Stały one często grupami po dwa, po trzy, klasztory męskie i żeńskie, klasztory bogate i klasztory biedne, klasztory arystokratyczne i klasztory gminne, klasztory jezuitów, benedyktynów, franciszkanów, kapucynów, karmelitów, teatynów, augustianów... Wznosiły się nad nimi wyblakłe kopuły o niepewnych, jakby zapadniętych wypukłościach, przypominające opróżnione z pokarmu piersi; ale właśnie owe klasztory dodawały miastu ponurego blasku, stanowiły o jego charakterze, były jego ozdobą i zarazem piętnowały je powiewem śmierci, którego nigdy nie umiało rozproszyć nawet jaskrawe sycylijskie światło. Poza tym o tej godzinie, gdy już noc zapadła, panowały one despotycznie nad panoramą miasta. I właśnie przeciwko nim paliły się w górach owe ogniska, rozniecane zresztą przez ludzi bardzo podobnych do tych, którzy żyli w klasztorach, równie fanatycznych jak oni, zamkniętych w sobie jak oni, jak oni żądnych władzy rokującej próżniaczy żywot.

Tak myślał książę, podczas gdy gnjade konie szły stępą po wiodącej w dół drodze; myśli te kłóciły się z jego wewnętrznym przekonaniem, a zrodził je niepokój o los Tancreda oraz pobudliwość zmysłowa, buntująca się przeciwko wyrzeczeniom, których uosobieniem były klasztory.

A droga biegła teraz wśród pomarańczowych gajów i weselny aromat ich kwiatów zaćmiewał wszystko dokoła, jak pełnia księżycy zatapia w swym blasku krajobraz; zapach końskiego potu, zapach skóry, którą obite były siedzenia powozu, zapach księcia i zapach jezuita – to wszystko zostało unicestwione przez ową odurzającą woń, która przywodziła na myśl muzułmański raj, jego hurysy i ziemskie, cielesne uciechy. Wonność tych kwiatów podziałała także na ojca Pirrone.

– Jakież piękny byłby ten kraj, ekscelencjo, gdyby...

„Gdyby nie było w nim tylu jezuitów” – pomyślał książę, któremu głos księdza przerwał wątek słodkich marzeń. Zaraz jednak pożałował swojego utajonego szyderstwa i poklepał starego przyjaciela wielką dłonią po trójgraniastym kapeluszu.

Przy rogatce na przedmieściu, koło pałacu Airoidi, patrol zatrzymał karete. Głosy o akcencie neapolitańskim, głosy o akcencie pulijskim zakomenderowały:

– Stać!

Długie bagnety błysnęły w migotliwym świetle latami; ale podoficer od razu poznał księcia, który siedział trzymając na kolanach cylinder.

– Proszę wybaczyć, ekscelencjo, można jechać dalej.

I kazał nawet wsiąść na kozioł jednemu z żołnierzy, by nie zatrzymywały księcia po drodze inne patrole.

Obciążony dodatkowym pasażerem powóz jechał teraz wolniej, minął pałac Ranchibile, Torrerosse, ogrody Villafranca i wjechał do miasta przez Porta Maqueda. W kawiarni „Romeres” i w „Quattro Canti di Campagna” oficerowie oddziałów gwardii śmiali się i popijali mrożone napoje z ogromnych szklanic. Lecz była to jedyna oznaka życia w tym mieście: ulice świeciły pustkami, rozlegał się w nich głośnym echem tylko miarowy krok patrolujących żołnierzy, którzy mieli na mundurach białe, skrzyżowane ma piersiach pasy. A po bokach ulic ciągnące się bez końca klasztory: opactwo del Monte, klasztory stygmatystów, festynów, wszystkie, imponujących rozmiarów, czarne jak smoła, pogrążone we śnie, który podobny był do nicości.

– Przyjadę po ojca za dwie godziny. Przyjemnych modłów!

I podczas gdy powóz skręcał w zaułki, biedny ojciec Pirrone zastukał skłopotany do furty klasztornej.

Książę wysiadł przed jednym z pałaców i poszedł piechotą tam, dokąd miał zamiar się udać. Droga była krótka, ale biegła przez dzielnicę miasta, która nie cieszyła się dobrą sławą. Żołnierze w pełnym rynsztunku, co było widomą oznaką, że opuścili po kryjomu oddziały biwakujące na placach, spoglądając spode łba wychodzili z niskich domków; mogli tam wejść

bezkarnie o każdej porze, o czym świadczyły wymownie doniczki z bazyliżkiem ustawione na mikroskopijnych balkonikach. Ponure wyrostki w szerokich spodniach kłóciły się zawzięcie, a głosy ich przybierały niską barwę właściwą rozzłoszczonym Sycylijczykom. Z daleka dolatywało echo wystrzałów z muszkietu, oddawanych pochopnie przez bardziej nerwowych wartowników. Dalej, już poza ową dzielnicą, droga szła wzdłuż Cala: w starym porcie rybackim kołysały się na wpeł zmurszałe łodzie, przypominające swoim żalonym wyglądem parszywe psy.

„Jestem grzesznikiem, wiem, podwójnie grzesznikiem, i wobec Boga, i wobec kochającej mnie Stelli. To nie ulega wątpliwości i jutro wypowiadam się ojcu Pirrone. – Uśmiechnął się w duchu na myśl, że ta spowiedź będzie może zbyt dobra, bo jezuita wie zapewne o jego planach na dzisiejszy wieczór. Potem znowu wziął górę duch fantazji: – Grzeszę, to prawda, ale grzeszę po to, żeby nie grzeszyć gdzie indziej, żeby wyrwać sobie z ciała ten cierni, żeby nie dać się wciągnąć w stokroć gorsze rzeczy. I Ojciec Niebieski wie o tym. – Roztkliwił się nad sobą. – Jestem biednym, słabym człowiekiem – myślał, podczas gdy jego władczy krok miażdżył plugawy bruk – jestem słaby i w nikim nie mam podpory. Stella! Łatwo powiedzieć! Bóg wie najlepiej, czy ją kochałem; pobraliśmy się, jak miałem dwadzieścia lat. Ale teraz zrobiła się zanadto despotyczna, no i zestarzała się. – Znowu poczuł się pełny wigoru. – Jestem jeszcze mężczyzną w pełni sił; i jak może mi wystarczyć kobieta, która w łóżku przed każdym uściskiem kreśli na piersiach znak krzyża, a w momentach najwyższego uniesienia nie umie powiedzieć nic innego, jak «Jezus, Maria!» Zaraz po ślubie, kiedy miała, szesnaście lat, nawet mnie to roztkliwiało, ale teraz... Mam z nią siedmioro dzieci, siedmioro, i nigdy nie widziałem jej pępka! Czy tak być powinno?! – krzyczał prawie, podniecony swoim dziwnym rozżaleniem. – Czy tak być powinno? Pytam was wszystkich. – I zwracał się do portyku Cateny. – Grzesznicą jest ona!”

Podniesiony na duchu tym pocieszającym odkryciem, zastukał energicznie do drzwi Marianniny.

Dwie godziny później siedział już w powozie obok ojca Pirrone, który był bardzo przejęty: jego współpracownicy poinformowali go dokładnie o sytuacji politycznej; była ona o wiele bardziej napięta, niż się to mogło wydawać mieszkańcom spokojnego, położonego na uboczu pałacu Salina. Obawiano się lądowania Piemontczyków na południu wyspy w okolicach Sciacca; władze zauważyły głuchy ferment wśród ludu, męty uliczne czekały tylko na pierwszą oznakę słabości ze strony rządu; wszyscy aż się rwali do gwałtów i grabieży. Ojcowie byli poważnie zaniepokojeni i wysłali po południu trzech najstarszych zakonników ze swego zgromadzenia do Neapolu, powierzając im dokumenty klasztorne.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece i chroni to przenajświętsze królestwo!

Księżę słuchał go z roztargnieniem, pogrążony w błogim zaspokojeniu, lekko zaprawionym odrazą. Mariannina wpatrywała się w niego tępymi oczyma chłopki, niczego mu nie odmówiła, była pokorna i służalcza. Coś w rodzaju Bendica w jedwabnej spódnicy. A u szczytu upojenia wyrwał się jej okrzyk: „Moje panisko!” Księżę jeszcze uśmiechał się z zadowolenia na owo wspomnienie. Lepsze to na pewno od zwrotów w rodzaju „*mon chat*” czy „*mon singe blond*”, jakimi obdarzała go w analogicznych momentach Sara, paryska kurewka, którą odwiedzał przed trzema laty, kiedy podczas Kongresu Astronomów odznaczono go złotym medalem w Sorbonie. Lepsze od „*mon chat*”, niewątpliwie lepsze; no i bez porównania lepsze od „Jezus, Maria!”; przynajmniej nie ma w tym nic świętokradczego. Pocziwa dziewczyna z tej Marianniny; zawiezie jej dziesięć łokci jedwabiu, gdy wybierze się do niej następnym razem.

Ale przy tym jakie to wszystko smutne: to młode, nazbyt wyszkolone ciało, ten bezwstyd pełen rezygnacji; a on sam czym był? Wieprzem, i tyle. Przypomniał sobie wiersz, który przeczytał w paryskiej księgarni, gdzie wpadł mu do ręki tomik jakiegoś poety; nie pamiętał już nazwiska, ale był to jeden z owych świeżo upieczonych poetów, których Francja co

tydzień odkrywa i zapomina. Widział znów żółtocytrynowy stos nie sprzedanych egzemplarzy, stronicę, nieparzystą stronicę, i słyszał wydrukowaną na niej strofę, stanowiącą zakończenie dziwaczego poematu:

*...donnez moi la force et le courage  
de contempler mon coeur et mon corps sans dégoût.*<sup>8</sup>

I podczas gdy ojciec Pirrone perorował dalej, opowiadając z kolei o niejakim La Farina<sup>9</sup> i niejakim Crispim<sup>10</sup>, ksiązę zdrzemnął się pogrążony w jakiejś rozpaczliwej euforii, rozkołysany kłusem gniadych koni, których tłuste zady połyskiwały w świetle latarni umieszczonych po bokach karety. Obudził się na zakręcie przed pałacem Falconeri. „Z niego także dobry gagatek: rozpala ogień, który go pożre!”

Gdy znalazł się w sypialni małżeńskiej, widok Stelli śpiącej w czepeczku, pod który wsunięte były włosy, i wzdychającej raz po raz przez sen w olbrzymim, wysokim, mosiężnym łóżu, wzruszył go i roztkliwił: „Dała mi siedmioro dzieci i należała tylko do mnie. – W pokoju unosił się lekki zapach waleriany, ostatni ślad ataku hysterii. – Moja biedna Stella!” – robił sobie wyrzuty wdrapując się na łożo. Godziny mijały, a on nie mógł zasnąć: Bóg swoją potężną dłonią rozniecał w nim trzy płomienie: pieszczot Marianniny, wierszy francuskich i ów gniewny płomień ognisk palących się w górach.

Ale gdy zaczęła już świtać, księżna miała okazję się przeżegnać.

Następnego ranka słońce oświetliło rozpogodzoną twarz księcia. Napił się kawy i w czerwonym szlafroku w czarne kwiaty golił się przed lusterkiem. Bendicò oparł swój ciężki łeb na jego pantoflu. Gdy golił sobie prawy policzek, dostrzegł w lustrze za swoją twarzą twarz młodzieńca, szczupłą, pełną dystynkcji i leciutkiego szyderstwa. Nie odwrócił głowy i dalej się golił.

– Tancredi, coś ty wyprawiał dziś w nocy?

– Dzień dobry, wuju. Co wyprawiałem? Nic a nic; byłem w towarzystwie przyjaciół. Spędziłem noc niczym święty. Nie tak jak moi znajomi, którzy jeździli pohulać do Palermo.

Książę zaczął uważnie wygalać ten najtrudniejszy kawałek między dolną wargą a brodą. Z lekka nosowy głos siostrzeńca tryskał tak zawadiacką młodzieńczością, że niepodobieństwem było się gniewać; wypadało jednak udawać zdziwienie. Odwrócił się, trzymając ręcznik pod brodą, i spojrzał na siostrzeńca; miał na sobie kostium myśliwski, obcisłą kurtkę i wysokie buty.

– A jacy to znajomi, czy można wiedzieć?

– Ty, wujaszku, ty! Widziałem cię na własne oczy przy pałacu Airoidi, kiedy rozmawiałeś na rogatce z sierżantem. Ładne rzeczy! W twoim wieku i na dokładkę w towarzystwie księdza. Zgrzybiali rozpustnicy!

Był doprawdy zanadto zuchwały. Uważał, że wszystko mu wolno. Spomiędzy przymrużonych powiek patrzyły na niego śmiejące, matowo niebieskie oczy, oczy jego matki, jego własne oczy. Książę poczuł się obrażony: ten chłopak naprawdę przebierał miarękę, ale cóż, nie miał serca robić mu wymówki; a zresztą rację miał on.

– Ale dlaczego tak się wystroiłeś? Co to znaczy? Wybierasz się na bal maskowy z samego rana?

<sup>8</sup> „dodaj mi siły i odwagi, bym mógł spoglądać na moje ciało i w moje serce bez wstępu.” (Baudelaire)

<sup>9</sup> Giuseppe La Farina (1815-1863) – republikanin, wielokrotny uczestnik walk wyzwoleniczych, później zwolennik panowania dynastii sabaudzkiej i współpracownik Cavoura.

<sup>10</sup> Francesco Crispi (1818-1901), polityk sycylijski, był głównym organizatorem wyprawy na czele Tysiąca. Republikanin, jako deputowany lewicy był zagorzałym opozycjonistą w walce z pierwszymi ministrami zjednoczonych Włoch. Następnie przeszedł na pozycje bardziej umiarkowane i został dwukrotnie wybrany premierem.

Chłopak spoważniał; jego trójkątna twarz nabrała niespodziewanie męskiego wyrazu.

– Wyjeżdżam, wuju, wyjeżdżam. Przyszedłem się z tobą pożegnać.

Biedny Salina poczuł, że ściska mu się serce.

– Pojedynek?

– I to nie byle jaki, wuju. Pojedynek z Franceschiellim<sup>11</sup>. Jadę w górę do Ficuzzy; nie mów o tym nikomu, a zwłaszcza Paolowi. Szykują się wielkie rzeczy, nie chcę gnuśnić w domu. Zresztą gdybym został, od razu by mnie capnęli.

Księżciu stanęła przed oczami jedna z tych nieoczekiwanych wizji, które miewał dosyć często: krwawa wojenna potyczka, strzały z muszkietów i jego Tancredi na ziemi, z wyprutymi wnętrznościami jak ów nieszczęsny żołnierz.

– Oszalałeś, mój synu! Jak możesz przyłączać się do tych ludzi: to mafia i banda oszustów! Kto nosi nazwisko Falconeri, powinien być z nami, z królem.

Niebieskie oczy znowu zaczęły się uśmiechać.

– Z królem, oczywiście, ale z którym królem? – Chłopak wpadł nagle w jeden z tych nastrojów krańcowej powagi, które czyniły go tak dalekim i zarazem tak drogim. – Jeśli nas tam nie będzie, oni ogłoszą republikę. Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko się musi zmienić. Rozumiesz? – Uściskał wuja z pewnym wzruszeniem. – Do niedługo zobaczenia. Wrócę z trójkolorowym sztandarem!

Krasomówstwo przyjaciół odbarwiło indywidualność siostrzeńca; chociaż nie, w jego nosowym głosie brzmiał jakiś akcent, który przeczył patosowi słów. Co za chłopak! Chodząca nedorzecznosc i zarazem zaprzeczenie nedorzecznosci. A jego syn Paolo czuwał na pewno w tej chwili nad czynnościami trawiennymi Guiscarda! To ten był jego prawdziwym synem. Księżę szybko wstał z krzesła, zerwał z szyi ręcznik i wsunął rękę do szuflady.

– Tancredi, Tancredi, zaczekaj!

Pobiegł za siostrzeńcem, wsunął mu do kieszeni rulon złotych dukatów, uściskał go za ramię. Tamten śmiał się:

– Teraz dajesz subwencję na rewolucję! Dziękuję ci, wuju! Niedługo się zobaczymy. Uściskaj ode mnie ciocię.

I zbiegł szybko ze schodów.

Księżę zawołał Bendica, który pobiegł za przyjacielem napełniając cały pałac radosnym skowytym, dokończył golenia i umył twarz. Służący przyszedł go ubrać i obuć. „Sztandar! Brawo, trójkolorowy sztandar! Tylko to mają na ustach ci birbanci! I co właściwie oznacza ten geometryczny symbol, to małpowanie Francuzów, taki brzydki w porównaniu z naszym białym sztandarem ze złotymi, herbowymi liliami pośrodku? I jakie może budzić w nich nadzieje ta mieszanina krzyjących kolorów?” Przyszedł moment, by zawiązać na szyi monumentalny krawat z czarnego atlasu. Operacja niełatwa, w czasie, której należało przerwać rozważania polityczne. Zawija go raz, drugi i trzeci. Grube delikatne palce układają fałdy, wygładzają zmarszczki, wpinają w jedwab szpilką z główką meduzy o rubinowych oczach.

– Daj czystą kamizelkę! Nie widzisz, że ta jest zaplamiona?

Służący wspiął się na palce, wkładając księżciu surdut z brązowego sukna; wręczył mu chusteczkę skropioną wonną esencją z bergamoty. Klucze, zegarek z łańcuszkiem i pieniądze księżę włożył do kieszeni sam. Przejrzał się w lustrze: był jeszcze pięknym mężczyzną, bez wątpienia. „Zgrzybiały rozpustnik! Niesmaczne dowcipy ma ten Tancredi. Chciałbym widzieć, jak on będzie wyglądał w moim wieku, ten szkielet! Skóra i kości!”

Szedł przez salony, w których pod jego ciężkim krokiem drżały w oknach szyby. Dom był pogodny, jasny, pięknie urządony, a co najważniejsze – należał do niego. Schodząc ze

---

<sup>11</sup> Chodzi o Franciszka II Burbona – patrz przypis str. 12.

schodów, nagle zrozumiał: „Jeśli chcemy, żeby wszystko pozostało tak, jak jest...” Tancredi był wielkim człowiekiem, zawsze go za takiego uważał.

Pokoje administracji były jeszcze puste, spokojnie oświetlone wpadającym przez opuszczone żaluzje słońcem. I chociaż w tym właśnie skrzydle pałacu odbywały się najfrywolniejsze scenki, wszystko dokoła tchnęło uroczystą powagą. Wiszące na pobielanych wapnem ścianach olbrzymie obrazy, przedstawiające włości rodu Salina, odbijały się w lśniącej, woskowanej posadzce. Malowane żywymi kolorami, oprawne w czarne ramy widniały tam: Salina, górzysta wyspa otoczona pianistymi grzywami fal morskich, na których kołysały się ozdobione banderami galery; Querceta ze swymi niskimi domkami, przycupniętymi wokół przysadzistego kościoła parafialnego, do którego ciągnęły grupki niebieskawych pielgrzymów; Ragattisi, wciśnięte w kotliny górskie; Argivocale, mikroskopijne na szerokiej płaszczyźnie obsianych pszenicą pól na których pracowali chłopci; Donnafugata ze swoim barokowym pałacem, do którego zjeżdżały się szkarłatne karoce, zielonkawe karoce, pozłacane karoce, pełne, jak się zdawało, kobiet, butelek wina i skrzypiec; i jeszcze wiele innych posiadłości tchnących spokojem pod pogodnym niebem, bezpiecznych pod strażą Lamparta, który szczyrzył w uśmiechu zęby między długimi, nastroszonymi wąsami. Od każdego z tych obrazów biła radość, biła chęć przedstawienia, w pełni blasku, rozproszonego i zespolonego zarazem imperium rodu Salina. Naiwne arcydzieła sztuki ludowej z ubiegłego wieku, nie umiające jednak wyznaczyć granic, określić obszarów, dochodów, które zresztą w dalszym ciągu były wielką niewiadomą. Bogactwo to w przeciągu wieków wcieliło się w świetność, blask, luksus, wszelkiego rodzaju przyjemności, tylko w to; zniesienie praw feudalnych ukróciło zarówno obowiązki, jak przywileje. Bogactwo, jak stare wino w beczce, strąciło na dno osad zachłanności, zapobiegliwości, a nawet elementarnej ostrożności, pozostawiając sam tylko smak i barwę. I tym sposobem samo się unicestwiło: było jak mocny olejek, którego zapach szybko wyparował. Tak więc ulotniła się już niejedna z tych posiadłości, tak pogodnie wyglądających na obrazach, i pozostały po nich tylko nazwy i pejzaż wymalowany na płótnie. A inne przypominały jaskółki w jesieni, jeszcze obecne, lecz już zbierające się ze świergotem na drzewach, gotowe do odlotu. Ale było ich tyle! Zdawało się, że nie wyczerpią się nigdy.

Pomimo to uczucie, jakiego doznał książę wchodząc do swego biura, było, jak zawsze, niemiłe. Na środku pokoju stało ogromne biurko z dziesiątkami szuflad, wnęk, skrytek i podnoszonych blatów. Ten kolos z żółtego drzewa intarsjowanego hebanem roił się od schowków i zakamarków, zamaskowanych ściankami, otwieranych za pomocą mechanizmu sprężynowego, którego nikt prócz złodziei nie umiał już puścić w ruch. Było ono zavalone papierami i chociaż książę przezornie dbał o to, by lwia ich część dotyczyła pogodnych przestrzeni, w których króluje astronomia, wystarczyła myśl o pozostałych, by obudzić niechęć w jego sercu. Przypomniawszy sobie nagle biurko króla Ferdynanda w Casercie, także pełne spraw bieżących przedstawionych do decyzji monarchy; dawały mu one złudzenie, że wywiera wpływ na tok wydarzeń, które tymczasem płynęły swoim korytem w innej dolinie.

Salina pomyślał o lekarstwie wynalezionym niedawno w Stanach Zjednoczonych, które uśmierzało ból nawet przy najcięższych operacjach i pozwalało zachować pogodę ducha w nieszczęściu. Nazwano morfiną tę pospolitą chemiczną namiastkę starożytnego stoicyzmu, chrześcijańskiej rezygnacji. To fikcyjne administrowanie zastępowało biednemu królowi morfinę; on, Salina, posiadał lek wyższego rzędu – astronomię. I nie troszcząc się już o utracone Ragattisi i zagrożone Argivocale, zagłębił się w lekturze ostatniego numeru „*Journal des Savants*”: „*Les dernières observations de l'Observatoire de Greenwich présentent un intérêt tout particulier...*”<sup>12</sup>

Szybko jednak został wygnany z owych mroźnych, gwiazdzistych przestrzeni. Wszedł don

<sup>12</sup> Ostatnie dane Obserwatorium w Greenwich są szczególnie interesujące.

Ciccio Ferrara, zajmujący się sprawami finansowymi. Był to chudy człowieczek, ukrywający skłonność do złudzeń i drapieżną duszę liberała za budzącymi ufność okularami i nieskazitelnymi krawatami. Tego ranka był o wiele bardziej ożywiony niż zazwyczaj: niewątpliwie te same wiadomości, które tak przygnębiły ojca Pirrone, na niego podziały jak kieliszek pokrzedającego trunku.

– Smutne czasy, ekscelencjo – powiedział po rytualnych powitaniach – nadchodzą ciężkie chwile; no cóż, będzie trochę zamieszania i strzelaniny, ale potem wszystko jak najlepiej się ułoży. Dla naszej Sycylii przyjdzie okres pełen chwały i gdyby nie to, że zginie wielu maminsynków, można by się tylko cieszyć.

Księżę chrząknął nie wypowiadając swojej opinii.

– Don Ciccio – rzekł po chwili – trzeba zrobić porządek z wypłatami tenut dzierżawnych z Quercety; od dwu lat nie przysyłają nam stamtąd złamanego szeląga.

– Rachunkowość jest w porządku, ekscelencjo. – Było to magiczne zdanie. – Trzeba tylko napisać do don Angela Mazza, żeby przyspieszył ściąganie opłat. Dziś jeszcze napiszę list w tej sprawie i przyniosę go ekscelencji do podpisu.

I poszedł szperać w olbrzymich księgach rachunkowych. Były w nich wykaligrafowane z dwuletnim opóźnieniem wszystkie rachunki domu Salina, wszystkie oprócz tych najważniejszych. Gdy księżę został sam, zwlekał ze skokiem w obłoki. Był poirytowany nie tyle nadchodzącymi wydarzeniami, ile głupotą don Ciecica, w którym dostrzegł przedstawiciela klasy mającej ująć ster rządów w swoje ręce. „Ten pocziwina grubo się myli; współczuje maminsynkom, których wystrzelają przy tej okazji, a tymczasem będzie ich znikoma ilość, o ile znam obu przeciwników. Nie zginie ani jeden więcej, niż to będzie konieczne do sfabrykowania deklaracji o zwycięstwie Neapolu czy Turynu, a to zresztą jedno i to samo. I już widzę «ów okres pełen chwały dla naszej Sycylii», jak się górnolotnie wyraził! Przrzekano nam to przy okazji każdego lądowania, a były ich już tysiące, od tego w Nicią począwszy. Obiecanki cacanki! A zresztą dlaczego miałyby się tak stać? No i co wtedy? Rokowania poparte nieszkodliwą pukanią i potem znowu będzie to samo, kiedy się wszystko zmieni.” Przypomnił sobie niejasne słowa Tancreda, które dopiero teraz zrozumiał w całej pełni. Uspokoił się, odłożył na bok przegląd astronomiczny. Popatrzył na zbocze góry Pellegrino, wypalone, „zapadnięte, odwieczne jak nędza.

Po chwili zjawił się Russo, którego księżę uważał za osobnika najbardziej godnego uwagi ze wszystkich swoich podwładnych. Zwiny, nosił się elegancko w surducie z welwetu; pod jego pogodnym czołem płonęły oczy, których wyraz miał w sobie coś zachłannego; był idealnym przykładem człowieka wspinającego się po szczeblach drabiny społecznej. Odnosił się zresztą do księcia z wielkim szacunkiem i okazywał mu prawie szczere przywiązanie, bowiem gdy kradł, uważał, że ma do tego prawo.

– Wyobrażam sobie, jak wasza ekscelencja martwi się wyjazdem panicza Tancredi; ale jego nieobecność nie potrwa długo, jestem tego pewien, i wszystko się dobrze skończy.

Po raz nie wiadomo który księżę stanął w obliczu jednego z sycylijskich enigmatów: na tej zagadkowej wyspie, gdzie domy pozamykane są na cztery spusty, a chłopci mówią, że nie znają drogi do rodzinnej wsi, którą widać tuż tuż na wzgórzu, na tej wyspie, pomimo jej ostentacyjnej tajemniczości, poszanowanie cudzych sekretów jest mitem.

Dał znak Russowi, by usiadł, i przenikliwie popatrzył mu w oczy.

– Piętro, pomówmy jak mężczyzna z mężczyzną. Czy ty także jesteś wmieszany w te sprawy?

Odpowiedział, że nie, że jest ojcem rodziny, że na takie ryzyko porywać się mogą tylko młodzi chłopcy jak panicz Tancredi.

– Czy jest do pomyślenia, żebym cokolwiek ukrywał przed waszą ekscelencją, którego uważam za ojca? – (Tymczasem przed trzema miesiącami ukrył u siebie w magazynie trzysta koszy cytryn księcia i wiedział, że księżę wie o tym.) – Ale muszę powiedzieć, że sercem

jestem przy nich, przy tych zapaleńcach. – Wstał, by wpuścić do pokoju Bendica, pod którego przyjacielskim naporem drżały drzwi. Usiadł z powrotem. – Wasza ekscelencja wie, że trudno już dłużej wytrzymać: rewizje, śledztwa, papierki o byle głupstwo, za każdym rogiem domu – zbir; porządny człowiek nie ma prawa decydować o swoich własnych sprawach. Za to potem będziemy mieli wolność, bezpieczeństwo, zmniejszą nam podatki, wprowadzą ułatwienia, rozwinie się handel. Wszystkim nam będzie lepiej; jedni tylko księża na tym stracą. Pan Bóg otacza opieką takich biedaków jak ja, nie ich. – Księżę uśmiechnął się. Wiedział, że właśnie on, Russo, chce kupić przez podstawioną osobę Argivocale. – Przyjdzie okres rozruchów, strzelaniny, ale pałac Salina pozostanie niewzruszony jak skała, bezpieczny. Wasza ekscelencja jest naszym ojcem, a ja mam w okolicy tylu przyjaciół. Piemontczycy tylko tu wstąpią z kapeluszem w rękę, by się pokłonić waszej ekscelencji. Poza tym wasza ekscelencja jest przecież wujem i opiekunem don Tancreda.

Księżę poczuł się upokorzony i widział teraz siebie w poniżającej roli protegowanego przyjaciół Russa; wyglądało na to, że poczytywano mu za jedyną zasługę, iż jest wujem tego smarkacza Tancreda. „Za tydzień może się okazać, że ujdę z życiem dlatego, bo trzymam w domu Bendica!” Miętosił w palcach ucho psa z taką siłą, że pies aż zaskomlał, niemniej jednak cenił sobie wysoko nawet tak bolesną pieśczęotę.

Potem Russo powiedział coś, co pocieszyło księcia.

– Będzie lepiej, ekscelencjo, proszę mi wierzyć. Ludzie uczciwi i zdolni zrobią karierę. A poza tym będzie tak, jak było.

Ci ludzie, ci wiejscy liberałowie szukali tylko okazji, żeby jak najszybciej zrobić karierę. Kropka i kwita. Jaskółki szybciej odlecą, to wszystko. A zresztą było ich jeszcze tak dużo w gnieździe!

– Może rację masz ty. Kto wie? – Teraz przeniknął już wszystko: i zagadkowe słowa Tancreda, i kwieciste frazesy Ferrary, i pełne fałszu, ale wiele mówiące aluzje Russa. Dużo rzeczy się zdarzy, ale wszystko będzie tylko komedią; hałaśliwą, romantyczną komedią z kilkoma kroplami krwi na błazeńskim kostiumie. To był kraj kompromisów, brakło w nim francuskiej zaciętości; a zresztą i we Francji, z wyjątkiem czerwca czterdziestego ósmego roku, czy zdarzyło się kiedykolwiek coś poważnego? Gdyby nie powstrzymała go wrodzona uprzejmość, odpowiedziałby Russowi tak: „Zrozumiałem wszystko – wy nie chcecie nas zniszczyć, nas, waszych «ojców». Chcecie tylko zająć nasze miejsce. Grzecznie, łagodnie, w rękawiczkach. Może nawet wsuniecie każdemu z nas do kieszeni po parę tysięcy dukatów. Czy nie ,tak? Twój wnuk, drogi Russo, uwierzy święcie, że jest baronem; a ty dzięki swemu nazwisku uchodzić będziesz, czy ja wiem, za potomka wielkich książąt moskiewskich, a nie za syna ryżego chama, chociaż świadczy o tym najwymowniej to właśnie nazwisko<sup>13</sup>. A przedtem jeszcze twoja córka poślubi jednego z nas, może nawet samego Tancreda o błękitnych oczach i wypiełgnowanych dłoniach; jest zresztą bardzo ładna i kiedy wreszcie nauczy się myć... «Żeby wszystko pozostało tak, jak jest.» Tak, jak jest: w gruncie rzeczy będzie to tylko niedostrzegalna zamiana klas. Moje złote szambelańskie klucze, wiśniowy sznur Orderu Św. Januarego spoczną w szufladzie, a potem w gablocie mojego wnuka, lecz Salinowie zostaną Salinami i kto wie, czy nie otrzymają jakiejś rekompensaty, może godność senatorów Sardynii, może pistacjową wstęgę Św. Maurycego. To wisiorki i tamto wisiorki!”

Wstał.

– Piętro, pomów z twoimi przyjaciółmi. Tu jest tyle młodziutkich panienek. Nie należy ich przerażać.

– Rozmawiałem już na ten temat, ekscelencjo. W pałacu Salina będzie spokojnie jak w opactwie.

I uśmiechnął się z dobroduszną ironią.

---

<sup>13</sup> W dialekcie Sycylii „*russo*” – czerwony, ryży.



Książę wyszedł, za nim podreptał Bendicò; chciał wstąpić na wieżę do ojca Pirrone, ale błagalne spojrzenie psa skłoniło go, żeby pójść do ogrodu; rzeczywiście Bendicò zachował tak entuzjastyczne wspomnienia z rozpoczętej ubiegłego wieczoru gigantycznej pracy, że pragnął doprowadzić ją do końca zgodnie z wszelkimi regułami sztuki. Z ogrodu buchał zapach jeszcze intensywniejszy niż poprzednio; w porannym słońcu złote kiście akacji nie odcinały się tak krzycząco. „Ale władcy? Nasi władcy? Co się stanie z zasadą praworządności?” Ta myśl zaniepokoiła go, trudno było jej uniknąć. Upodobnił się na moment do Malviki. Ci tak pogardzani Ferdynandowie i Franciszkowie wydali mu się nagle braćmi, starszymi ,braćmi, czułymi, sprawiedliwymi, budzącymi ufność, prawdziwymi królami. Lecz tak czujny u księcia instynkt samoobrony przed zakłócaniem spokoju wewnętrznego biegł już na pomoc, ze zbrojnymi w muszkiety batalionami prawa, z artylerią historii. „A Francja? Czy taki Napoleon III jest legalnym monarchą? I czy Francuzi nie są szczęśliwi pod panowaniem tego świętego cesarza, który poprowadzi ich na pewno ku świetnej przyszłości? A na przykład Karol III, czy był całkiem w porządku? Również i bitwa pod Bitoaito<sup>14</sup> była tym, czym będzie bitwa pod Bisacquino czy Corleone, czy licho wie gdzie, w której Piemontczycy dadzą w skórę naszym; będzie to jeszcze jedna z owych bitew, w których przelewa się krew po to, żeby wszystko pozostało tak, jak jest. Zresztą nawet Jowisz nie był legalnym władcą Olimpu.”

Rzecz oczywista, że zamach stanu Jowisza przeciwko Saturnowi zwrócił jego myśli ku gwiazdom.

Zostawił w ogrodzie zziąjanego Bendica, którego roznosił temperament, wszedł po schodach, minął salony, gdzie córki rozmawiały o przyjaciółkach z Salvatore (panienki wstały na jego widok, zaszeleścił jedwab spódnic), wspiał się na długie, strome schodki i znalazł się w zalanym światłem obserwatorium. Ojciec Pirrone z pogodną twarzą księdza, który odprawił mszę i pokrzepił się mocną kawą z biszkoptami „Monreale”, siedział zagłębiony w swoich formułkach algebraicznych. Dwa teleskopy i trzy lunety, zalane promieniami słońca, były starannie przykryte czarnymi futerałami i stały sobie spokojniutko, niczym dobrze wytresowane zwierzęta, które wiedzą, że tylko wieczorem otrzymują swój pokarm.

Pojawienie się księcia oderwało ojca od jego obliczeń i przypomniało mu mało budujące wydarzenia ubiegłego wieczoru. Wstał, powitał księcia z szacunkiem, ale nie mógł powstrzymać się od zapytania:

– Czy ekscelencja przyszedł się wypowiedać?

Książę, który po przespanej nocy i porannych rozmowach zdążył już zapomnieć o wczorajszym epizodzie, zdziwił się.

– Wypowiadać się? Przecież dzisiaj nie jest sobota. – Potem przypomniał sobie wszystko i uśmiechnął się: – Doprawdy, ojczu, nie widzę potrzeby. I tak ojciec wie o tym.

Wypominanie narzuconego uczestnictwa w nocnej wyprawie zirytowało jezuitę.

– Ekscelencjo, znaczenie spowiedzi polega nie tylko na wyliczaniu faktów; trzeba mieć w sercu żal za popełnione grzechy. Dopóki ekscelencja nie wypowiada się przede mną i nie okaże skruchy, jego dusza pozostanie w stanie grzechu śmiertelnego, bez względu na to, czy ja wiem, czy nie wiem o uczynkach ekscelencji.

Zdmuchnął pedantycznie pyłek z rękawa i ponownie pogрузzył się w abstrakcyjnych rozważaniach.

Poranne odkrycia polityczne tak kojąco podziały na księcia, że uśmiechnął się tylko słuchając słów księdza, które kiedy indziej uważałby za obraźliwe. Otworzył jedno z okien wieży. Krajobraz tchnął ostentacyjnym pięknem. Pod spulchniającą siłą słońca wszystko

---

<sup>14</sup> Chodzi o Karola III, który zapoczątkował rządy bocznej linii Burbonów hiszpańskich w królestwie Neapolu. Bitwą pod Bitonto (1734), podczas wojny sukcesyjnej polskiej, położył kres panowaniu Habsburgów w południowych Włoszech, zdobywając Królestwo Obojga Sycylii.

dokoła zdawało się tracić swój ciężar gatunkowy: widoczne w dali morze wyglądało jako plama czystego koloru, góry, które w nocy robiły wrażenie pełnych grozy, przypominały teraz kłębowiska pary mającej rozpląnąć się lada chwila i nawet posępne Palermo ułożyło się spokojnie wokół klasztorów jak trzoda u stóp pasterza. Zakotwiczone w zatoce cudzoziemskie okręty, sprowadzone w przewidywaniu rozruchów, nie potrafiły wzbudzić uczucia lęku wśród tego majestatycznego spokoju. Tego poranka słońce, dalekie jeszcze zresztą od swego szczytowego żaru, w tym dniu trzynastym maja objawiło się jako prawdziwy władca Sycylii: słońce gwałtowne i bezwstydne, słońce działające jak narkotyk, słońce, które unicestwiała wolę poszczególnych ludzi i trzymało wszystko w służalczym bezwładzie wykołysanym gorączkowymi snami, w gorączce zrodzonej z samowoli snów.

– Trzeba by niejednego Wiktora Emanuela, żeby mógł powstrzymać ten magiczny odwar, który leje się na nas prosto z nieba!

Ojciec Pirrone wstał, poprawił sobie pas i z wyciągniętą dłonią podszedł do księcia:

– Ekscelencjo, zachowałem się zbyt gwałtownie. Proszę mi nie odbierać swojej łaskawości, ale proszę wysłuchać mojej rady i wypowiedzieć się.

Lody były przełamane i książę mógł poinformować ojca Pirrone o swoich prognozach politycznych. Lecz jezuita daleki był od tego, by podzielać jego optymizm. Co więcej, znowu zrobił się kąśliwy.

– A więc wy, szlachta, wchodzicie w konszachty z liberałami, żeby tylko z liberałami, ni mniej, ni więcej tylko z masonami, na naszą szkodę, na szkodę Kościoła. Bo nie ma się co ludzi: nasze dobra, te dobra, które stanowią majątek ubogich, zostaną nam wydarte i głupio rozdzielone pomiędzy najbezczelniejszych naczelników z administracji okręgowej; a kto wykarmi potem rzesze tych nieszczęśliwych, dla których Kościół jest po dziś dzień opiekunem i przewodnikiem? – Książę milczał. – Jakie kroki zostaną podjęte, by uspokoić te doprowadzone do ostateczności, zgłodniałe tłumy? Zaraz powiem waszej ekscelencji. Rzuci się im na żer najpierw częściowo, a potem w całości wszystkie wasze dobra rodowe. I tym sposobem, choć stanie się to za pośrednictwem masonów, wypełni się sprawiedliwość Boża. Bóg uzdrawiał ślepych na ciele, ale jaki koniec czeka ślepych na duchu?

Biedny ojciec z trudem chwytał oddech; trapiła go perspektywa utraty całego mienia przez Kościół i gnębiły zarazem wyrzuty sumienia, że znowu nie potrafił powściągnąć języka. Bał się, że obraził księcia, do którego był głęboko przywiązany; nierzadko odczuwał na własnej skórze burzliwy poryw jego gniewu, ale doznał też od niego wiele dobroci. Siedział więc jak na szpilkach i zerkał spod oka na księcia, który czyścił szczołeczką mechanizm lunety i tak był tym pochłonięty, że zdawało się zapominać o bożym świecie. Potem wstał i długo wycierał ściereczką ręce; twarz jego nie wyrażała absolutnie nic; jasne oczy zajęte były wyłącznie wyszukiwaniem resztek smaru, który dostał się pod paznokcie. Na dole wokół pałacu panowała głęboka, świetlana, prawdziwie wielkopańska cisza; podkreślało ją raczej, niż mąciło, dalekie szczekanie Bendica, który wymyślał psu ogrodnika w pomarańczowym gaju; słychać było także rytmiczne, głuche uderzenia noża o stolnicę: kucharz siekał w kuchni mięso na niedaleki już obiad. Potężne słońce wchłonęło niepokój ludzi i cierpkość ziemi. Książę podszedł do stołu ojca Pirrone, usiadł i zaczął rysować ostrokątne lilie burbońskie starannie zatemperowanym ołówkiem, który jezuita odłożył w przypiływie oburzenia. Twarz księcia była poważna, lecz tak pogodna, że ojciec Pirrone od razu przestał się martwić.

– Nie jesteśmy ślepi, drogi ojcze, ale jesteśmy tylko ludźmi. Żyjemy w zmiennej rzeczywistości, do której próbujemy się przystosować jak algi uginające się pod naporem fal. Kościołowi Świętemu została jawnie przyrzeczona nieśmiertelność; nam jako klasie socjalnej – nie. Dla nas paliatyw rokujący przetrwanie stu lat równa się wieczności. Moglibyśmy może jeszcze martwić się o nasze dzieci, względnie o nasze wnuki; ale poza kręgiem tych, których będziemy mogli wypieścić własnymi rękami, nie mamy już żadnych obowiązków. I ja nie zamierzam zaprzętać sobie głowy, czym będą moi ewentualni potomkowie w 1960 roku.

Kościół, tak, musi się o to troszczyć, bo przeznaczona mu jest nieśmiertelność. I to stanowi dlań pociechę w jego rozpacz. I czy ojciec myśli, że gdyby Kościół mógł teraz czy w przyszłości uratować się poświęcając nas, to by tego nie zrobił? Na pewno by to zrobił i dobrze by zrobił.

Ojciec Pirrone był tak uszczęśliwiony, że nie obraził księcia, że i on się nie obraził. Owo wyrażenie „rozpacz” Kościoła było nie do przyjęcia; lecz długoletnia praktyka spowiednika pozwoliła mu właściwie ocenić wpływający z rozgoryczenia nastrój don Fabrizia. Nie należało jednak dopuścić, by jego rozmówca zatriumfował:

– Zgrzeszył eksceleńcja wczoraj na ciele, a dzisiaj na duchu. Trzeba będzie w sobotę wyznać mi te dwa grzechy, proszę o tym pamiętać.

Uspokoili się obydwaj i zaczęli dyskutować na temat sprawozdania, które należało jak najszybciej wysłać do obserwatorium w Arcetri. Wspierane, kierowane, zdawałoby się, liczbami, niewidzialne dla oka o tej porze, ale obecne, ciała niebieskie przecinały wszechświat swymi dokładnie wytyczonymi drogami. Wierne wyznaczonym spotkaniom, komety przywykły pojawiać się punktualnie co do sekundy temu, kto je obserwował. I nie były one zwiastunkami nieszczęść, w co wierzyła Stella, wprost przeciwnie: ich z góry przewidziane ukazanie się było triumfem ludzkiej myśli, która promieniowała i stawała się częstką wysublimowanego ładu niebios. „Niech tam na dole Bencicò hasa i ugania się za zdobyczą, a kucharz sieka mięso Bogu ducha winnych zwierząt! Z wysokości tego obserwatorium brawura jednego i krwiożerczość drugiego zlewają się w spokojną harmonię. Istotnym problemem jest móc żyć dalej tym życiem intelektualnym w jego momentach najbardziej wysublimowanych, najbliższych śmierci.”

Tak rozumował książę, zapominając o swoich odwiecznych urazach, o wczorajszych cielesnych uciechach. I w takich właśnie chwilach całkowitego oderwania się od rzeczywistości był może pełniej rozgrzeszony, czyli zespolony ze wszechświatem, niż gdyby pobłogosławił go po spowiedzi ojciec Pirrone. Tego ranka, na pół godziny, bogom na plafonie i małpkom na makatach znowu nakazano milczenie. Ale w salonie nikt tego nie zauważył.

Gdy dzwonek obiadowy wezwał ich na dół, promienieli obydwaj, zadowoleni z tego, że odczytali rzeczywistość polityczną, jak i z tego, że potrafili się wznieść ponad nią. W pałacu zapanowała atmosfera niezwykłego odprężenia. Obiad był głównym posiłkiem dnia i Bogu dzięki przeszedł bez jednej chmurki. Dwudziestoletniej córce Carolinie osunął się jeden z loków okalających twarz, niezbyt widocznie dobrze podtrzymywany przez zapinkę, i upadł na talerz. Ten incydent, który kiedy indziej mógł wywołać bardzo przykre następstwa, tym razem wzmógł jeszcze ogólną wesołość, a gdy siedzący obok księżniczki brat chwycił lok i powiesił go sobie na szyi jak szkaplerz, nawet książę raczył się uśmiechnąć. Wyjazd Tancreda, miejsce i cel jego podróży wszystkim już były wiadome i nikt o niczym innym nie mówił, z wyjątkiem Paola, który jadł w milczeniu. Nikt zresztą nie niepokoił się ową wyprawą prócz księcia, który jednak nie ujawniał swoich uczuć, i prócz Concetty, której piękna twarz wyraźnie spochmurniała. „Ta dziewczyna na pewno podkochuje się w tym hultaju. Piękna, byłaby z nich para! Ale obawiam się, że Tancredi musi mierzyć wyżej, to znaczy mam na myśli – niżej.” Ponieważ rozpogodzenie na horyzoncie politycznym przepędziło chmury, wystąpiła w całej okazałości zazwyczaj przyćmiona dobroduszość księcia. Chcąc pocieszyć córkę, zaczął mówić o mało skutecznej broni wojska królewskiego; tłumaczył, że lufy tych wielkich muszkietów nie są gwintowane i że wystrzeliwane z nich pociski mają bardzo mały zasięg; te wyjaśnienia techniczne, wypowiedane ponadto wbrew przekonaniu, tylko dla niewielu były zrozumiałe i oczywiste, ale uspokoiły wszystkich z Concettą włącznie; zdołały bowiem przekształcić krańcowo ,realistyczny i plugawy chaos, jakim w rzeczywistości jest wojna, w uporządkowany diagram linii okopów.

Na deser podano rumową galaretkę. Był to ulubiony przysmak księcia, i księżna,

wdzięczna za doznaną pociechę, już wczesnym rankiem pomyślała o tym, by go zadysponować. Galaretka w kształcie warownej baszty osadzonej na bastionach i skarpach wyglądała groźnie, imponująco; po jej gładkich, śliskich ściankach nie wdrapałby się żaden śmiałek; z wierzchu przybrana była wiśniami i pistacją; a jednak łyżka zagłębiała się w niej ze zdumiewającą łatwością: ta bursztynowa forteca była przezroczysta i drżąca. Gdy doszła do szesnastoletniego Francesca Paola, którego obsługiwano na końcu, pozostały z niej już tylko zbombardowane ściany i poobrywane bloki. Książę, mile podniecony aromatem rumu i wykwinnym smakiem kolorowej fortecznej załogi, rozkoszował się deserem, biorąc czynny udział w ataku na ową twierdzę, której niosły zagładę apetyty. Jeden ze stojących przed nim kieliszków, ten z winem Marsala, był jeszcze wypełniony do połowy. Książę podniósł go do góry, powiódł spojrzeniem po całej rodzinie, spoglądając nieco dłużej w błękitne oczy Concetty.

– Za zdrowie naszego Tancreda! – powiedział i wypił wino jednym haustem. Litery „F. D.”, które przedtem odcinały się wyraźnie na tle wypełnionego złocistym płynem kieliszka, znikły, jakby w ogóle ich nie było.

Zaraz po obiedzie znowu zszedł do administracji; słońce padało tam teraz ukośnie i obrazy przedstawiające lenna wisiały w cieniu, dzięki czemu książę nie był narażony na ich milczący wyrzut.

– Kłaniamy się nisko waszej ekscelencji – wymamrotali Pastorello i Lo Nigro, dwaj dzierżawcy z Ragattisi, którzy przynieśli tak zwane „mięsiwa”, stanowiące część tenuty płatnej w naturze. Stali wyprężeni na baczność z wytrzeszczonymi oczyma; ich ogorzałe od słońca twarze były starannie wygolone. Zalatywał od nich zapach trzody. Książę gawędził z nimi serdecznie swoim wystylizowanym dialektem, wypytywał o ich rodziny, o stan bydła, o to, jak się zapowiadają urodzaje. Potem zapytał:

– Przywieźliście coś?

I gdy obydwaj odpowiedzieli, że tak, że złożyli wszystko w sąsiednim pokoju, książę nagle się stropił, bo uświadomił sobie, że ta rozmowa była powtórzeniem audjencji u króla Ferdynanda.

– Poczekajcie pięć minut, Ferrara da wam pokwitowanie. – Wcisnął im do ręki po kilka dukatów, które przedstawiały może większą wartość niż to, co przywieźli. – Wychylcie kieliszek za nasze zdrowie.

I poszedł obejrzyć wiktuały. Na ziemi leżały cztery dziesięciokilowe kręgi sera z gatunku primosale; spojrzawszy na nie obojętnie, nie cierpiał tego sera; obok spoczywało sześć jagniąt, ostatnich już z tego roku: ich głowy, patetycznie odrzucone do tyłu, ukazywały na szyi szerokie cięcia, przez które uszło z nich życie przed kilkoma godzinami. Brzuchy ich także były rozplątane i wylewały się z nich tęczowe jelita. „Panie, świeć nad jego duszą!” – pomyślał przypomniawszy sobie zmasakrowanego przed miesiącem żołnierza. Cztery pary związanych za nogi kur skręcały się ze strachu pod wścibskim nosem Bendica. „Oto jeszcze jeden przykład niepotrzebnego lęku – myślał. – Pies nie stanowi dla nich żadnego niebezpieczeństwa; nie schrupałyby nawet kosteczki z kury, bo rozbolałyby go brzuch.”

Jednakże ten strach i widok krwi wzbudziły w nim niesmak.

– Pastorello, zabierz te kury do kurnika, na razie nie będą potrzebne; a na przyszły raz masz zanieść jagnięta prosto do kuchni, tutaj brudzą; a ty, Lo Nigro, powiedz Salvatorewi, żeby tu przyszedł posprzątać i wynieść sery. I otwórzcie okno, żeby wywietrzał ten odór.

Potem wszedł Ferrara, który przyniósł pokwitowania.

Gdy książę wrócił na górę do swego gabinetu, gdzie na czerwonej kanapie odbywał poobiednią drzemkę, zastał u siebie Paola, pierworodnego, diuka Quercety. Chłopak zdobył się na odwagę i chciał z nim mówić. Niski, wąty, śniadawy, wyglądał starzej od księcia.

– Chciałem zapytać, papo, jak mamy się zachować wobec Tancreda po jego powrocie?

Książę zrozumiał od razu i uniósł się gniewem.

– Co przez to rozumiesz? Co się zmieniło?

– Ależ, papo, przecież nie możesz tego pochwalać: pojechał przyłączyć się do tej hałastry, która podjudza do buntu całą Sycylię; nie powinien robić takich rzeczy.

Zazdrość osobista, niechęć bigota do pozbawionego przesądów kuzyna, pretensje głupca do obdarzonego wyjątkową inteligencją młodzieńca, to wszystko przystroiło się w piórka argumentacji politycznej. Książę był tak oburzony na syna, że nawet nie zaproponował mu, żeby usiadł.

– Lepiej robić głupstwa niż przesiadywać całe dni w stajni i przyglądać się końskim kupom! Tancredi jest mi jeszcze droższy niż przedtem. A poza tym to nie są głupstwa. Jeżeli będziesz mógł zamówić sobie bilety wizytowe z tytułem diuka Quercety i jeżeli odziedzicysz coś niecoś po mojej śmierci, będziesz to miał do zawdzięczenia Tancredowi i innym podobnym mu ludziom. Wynoś się i żebyś mi się nie ważył wspominać o tym więcej! Tu rządzą tylko ja! – Potem się udobruchał; porywcze słowa zastąpiła ironia: – Idź, mój synu, idź, chcę się przespać. Idź porozmawiać o polityce z Guiscardem, zrozumiecie się doskonale.

I podczas gdy zmrożony słowami ojca Paolo zamykał drzwi, książę zdjął trzewiki, rzucił się na kanapę, która jęknęła pod jego ciężarem, i zasnął spokojnie.

Gdy się obudził, wszedł jego kamerdyner; niósł na tacy list i gazetę. Przysłał je księciu z Palermo przez konnego posłańca szwagier Malvica. Oszołomiony jeszcze poobiednią drzemką, książę otworzył list:

*Drogi Fabrizio, piszę do ciebie w stanie kompletnej prostracji. Przeczytaj te straszne wiadomości, które są zamieszczone w gazecie. Piemontczycy wylądowali. Wszyscy jesteśmy zgubieni. Jeszcze dziś wieczorem schronimy się z całą rodziną na angielskim okręcie. Zechcesz na pewno zrobić to samo; daj mi znać, to zarezerwuję dla ciebie kilka miejsc. Niech Bóg ratuje naszego ukochanego króla! Ściskam cię.*

*Twój Ciccio*

Złożył list, wsunął go do kieszeni i zaczął się głośno śmiać. Ten Malvica! To królik, zawsze był taki. Nic nie rozumie i teraz trzęsie się ze strachu. No i zostawia pałac na łasce służby; tak, tym razem na pewno zostanie w nim pustki! „A propos, trzeba będzie wysłać Paola do Palermo. W takich czasach opuszczone domy to stracone domy. Pomówię z nim o tym przy kolacji.”

Otworzył gazetę:

*„Dnia 11 maja miała miejsce piracka napaść, która jest aktem jawnego gwałtu: uzbrojeni ludzie wylądowali w Marsala. Późniejsze raporty donoszą, że banda ta liczy ośmiuset ludzi, jej dowódcą jest Garibaldi. Korsarze ci, raz stanąwszy na sycylijskiej ziemi, starannie unikają spotkania z wojskami królewskimi, kierują się, jak nas informują, w stronę Castelvetro, grożąc pokojowo nastawionym mieszkańcom, dopuszczając się gwałtów i grabieży” itd... itd...*

Nazwisko Garibaldiego trochę go zaniepokoiło. Ten brodaty awanturник o bujnej czuprynie, oddany ciałem i duszą Mazziniemu, mógł przysporzyć nie lada kłopotów. „Skoro jednak Galantuomo go tu przysłał, to znaczy, że da sobie z nim radę. Już oni go omotają.”

Uspokojony, uczesał się, kazał sobie włożyć surdut i buty. Wrzucił gazetę do szuflady. Zbliżała się godzina różańca, ale salon był jeszcze pusty. Czekał na innych, usiadł na kanapie, spojrzał na plafon i zauważył, że Wulkan jest nieco podobny do wizerunku Garibaldiego, który widział na litografiach w Turynie. Uśmiechnął się:

– Rogacz!

Rodzina zaczynała się schodzić. Szeleścił jedwab spódnic. Młodsze dzieci jeszcze przekomarzały się głośno ze sobą. Spoza drzwi, jak co dzień, dobiegały odgłosy zmagania się służby z Bendikiem, pragnącym za wszelką cenę wziąć udział w domowej ceremonii. Nasycony drgającym pyłem promień słońca oświetlał złośliwe małpki.

Ukląkł.

– *Salve Regina, Mater misericordiae.*<sup>15</sup>

---

<sup>15</sup> Witaj Królowo, Matko litości.

## Rozdział II

*Podróż do Donnafugaty – Postój – Wypadki przed podróżą i jej przebieg – Przyjazd do Donnafugaty – W kościele – Don Onofrio Rotolo – Rozmowa w łazience – Fontanna Amfitryty – Niespodzianka przed obiadem – Obiad i nastrój biesiadników – Don Fabrizio i gwiazdy – Wizyta w klasztorze – To, co zobaczyć można przez okno.*

*Sierpień 1860*

– Drzewa! Tutaj są drzewa!

Okrzyk ten, dobiegający z pierwszej karety, dotarł do czterech pozostałych, prawie niewidocznych w obłokach białego kurzu; ze wszystkich okienek wychyliły się spocone twarze, na których malował się wyraz znużonego zadowolenia.

Prawdę mówiąc, rosły tam tylko trzy drzewa i w dodatku eukaliptusy, te najbardziej koślawe twory matki natury. Ale były to pierwsze napotkane po drodze drzewa od godziny szóstej rano, od chwili wyjazdu rodziny Salina z Bisacquino. Teraz minęła już jedenasta i przez bite pięć godzin widać było wokoło tylko grzbiety jałowych pagórków połocisitożółtawych w promieniach słońca. Po płaskim terenie konie biegły kłusem, powoli wlokły się pod górę, na stromych zjazdach także szły stępa, ostrożnie stawiając kopyta. Zresztą różnica między jazdą kłusem i stępą zacierała się w nieustającym akompaniamencie dzwonek rozdzwonionych na końskich uprzężach; ów odgłos tak się w końcu zlewał z otoczeniem, iż zdawał się płynąć z tych doszczętnie wysuszonych słońcem okolic. Jechali przez jakieś osobliwe niebieskawe wsie; przez jakieś dziwaczne wspaniałe mosty, pod którymi ciągnęły się wyschnięte koryta olbrzymich potoków; ocierali się niemal o prostopadłe sterczące, tchnące beznadziejnością skały, których nie potrafiły pocieszyć ani rosnąca opodal gryką, ani jaskrawożółty żarnowiec. Ani jednego drzewa, ani kropli wody: słońce i kurzawa. Wewnątrz karet, których okna były pozamykane właśnie ze względu na ten kurz i słońce, temperatura dochodziła na pewno do pięćdziesięciu stopni. Te spragnione drzewa, których rozłożyste konary odcinały się na tle wyblakłego nieba, były dobrymi zwiastunami; zapowiadały, że za dwie godziny nastąpi koniec podróży; że wjeżdża się na teren posiadłości rodu Salina; że można będzie zjeść śniadanie i – kto wie – nawet umyć twarz w pokrytej kożuchem pleśni studziennej wodzie.

Dziesięć minut później znaleźli się na folwarku Rampinzeri; stał tam ogromny, opuszczony obecnie budynek, zamieszkały tylko przez jeden miesiąc w roku: znajdowali w nim schronienie najemni robotnicy rolni i muły oraz inne zwierzęta pociągowe, sprowadzane tam na okres żniw. Nad solidnie okutymi, ale wyłamanymi drzwiami tańczył Lampart, chociaż uderzenie kamieniem pozbawiło go właśnie nóg; obok tego budynku otoczona trzema eukaliptusami studnia ofiarowywała swoje usługi: mogła służyć jako basen pływacki, jako wodopój, jako więzienie i jako cementarz. Gasiła pragnienie, szerzyła tyfus, trzymała jak w kleszczach każdego, kto miał nieszczęście wpaść do środka, kryła w sobie ludzkie i zwierzęce ściery, które zmieniały się z czasem w gładziuteńkie, bezimienne szkielety.

Cała rodzina wysiadła z karet, księżę uradowany niedaleką perspektywą zobaczenia swojej ulubionej Donnafugaty, księżna senna i podrażniona, ale podtrzymywana na duchu dobrym humorem męża, dziewczęta zmęczone, dzieci podniecone nowością i nie zmożone nawet upałem. Mademoiselle Dombreuil, guwernantka francuska, słaśniała się na nogach i, na wspomnienie lat spędzonych w Algierze przy rodzinie generała Bugeaud, jęczała wycierając sobie zadarty nos:

– *Mon Dieu, mon Dieu, c'est pire qu'en Afrique!*<sup>16</sup>

Ojciec Pirrone, uśpiony czytaniem brewiarza, przespał całą drogę, był więc ze wszystkich najzwyczajniejszy. Pokojówce i dwóm lokajom, którzy pochodzili z miasta, działało na nerwy wiejskie otoczenie. Bendicò wyskoczył z ostatniej karety i z miejsca zaatakował latające nisko, żalobnie kraczące wrony.

Wszyscy ubieleni byli kurzem, który osiadał grubą warstwą nawet na wargach i brwiach; gdy zaczęło się wzajemne otrzepywanie, wokół każdego wzbijała się biaława chmura pyłu.

Na tym tle jeszcze wyraźniej odcinała się nieskazitelna elegancja Tancreda. Odbiwał on podróż konno i przyjechał do Rampinzeri pół godziny wcześniej niż reszta karawany, miał zatem dość czasu, by się oczyścić, umyć i zmienić biały krawat. Gdy wyciągnął ze skorej do różnorodnych usług studni wiadro wody, przejrzał się w niej i uznał, że jest mu bardzo do twarzy z czarną opaską na oku, upamiętniającą niegroźną zresztą ranę odniesioną przed trzema miesiącami podczas walk w Palermo, że interesująco wygląda jego drugie oko, zdające się w zastępstwie tamtego, przesłoniętego, skupiać zdwojoną dawkę szyderstwa, że bardzo dekoracyjnie przedstawia się szkarłatna tasiemka nad krawatem, przypominająca dyskretnie czerwoną koszulę, którą nosił w okresie rewolucji. Pomógł księżnej wysiąść z karety, wyczyścił rękawem zakurzony cylinder księcia, obdarzył karmelkami kuzynki, kuzynom dał parę kuksańców, przyklęknął prawie przed jezuitą, popieścił witającego go z entuzjazmem Bendica, pocieszał mademoiselle Dombreuil. żartował ze wszystkich i wszystkich zachwycił.

Stangreci powoli oprowadzali dokoła konie, żeby obeschły z potu, zanim się je napoi; lokaje rozciągnęli obrusy na pozostałej po młócce słomie, w miejscu gdzie budynek rzucał trochę cienia. I rozpoczęło się śniadanie nie opodal chętniej do usług studni. Dokoła ciągnęły się faliste żalobne pola, żółte od ściernisk, czarne od porozwlekanych gdzieś resztek wypalanej słońcem słomy; lament cykad bił aż po niebo i brzmiał niczym skarga wysuszonej do cna Sycylii, która w końcu sierpnia na próżno czekała na deszcz.

Po godzinie, z nowym zapasem sił, ruszono w dalszą drogę. I chociaż zmęczone konie biegły wolniej niż przedtem, ten ostatni etap podróży wydawał się krótki; na tym dobrze znanym odcinku drogi krajobraz robił wrażenie o wiele mniej ponure. Mijali miejsca znajome z urządzanych w latach ubiegłych wycieczek i pikników: oto wawóz Dragonari, oto rozstajne drogi w Misilbesi; dojeżdżali już do Madonna delle Grazie, miejsca najdalszych pieszych spacerów z Donnafugaty. Księżna zdrzemnęła się, książe, który jechał tylko z nią w obszernej karecie, popadł w błogi nastrój. Nigdy jeszcze tak się nie cieszył na trzymiesięczny pobyt w Donnafugacie jak tego sierpnia 1860 roku. I nie tylko dlatego, że lubił dom w Donnafugacie i tamtejszych ludzi, i feudalne stosunki, jakie przetrwały tam jeszcze, dzięki czemu mógł się czuć jak udzielny władca, ale także dlatego, że tym razem nie żałował jak dawniej spokojnych wieczorów spędzanych w obserwatorium i dorywczych wizyt u Marianniny. Prawdę mówiąc widok, jaki przedstawiało Palermo w ciągu ostatnich trzech miesięcy, obrzydł mu już w najwyższym stopniu. Książe byłby szczęśliwy mogąc sobie powiedzieć z dumą, że on jeden rozumiał sytuację polityczną i wiedział, co robi uśmiechając się do tych „baboków” w czerwonych koszulach, ale, niestety, musiał przyznać, że jasnowidztwo nie było monopolem domu Salina. Wszyscy palermitańscy wyglądali na szczęśliwych, wszyscy prócz garstki głupców. Taki na przykład Malvica, jego szwagier, dał się capnąć policji dyktatora i przesiedział dziesięć dni w kozie; i jego syn Paolo, również niezadowolony, ale ostrożniejszy, którego zostawili teraz w Palermo wplątanego w licho wie jakie dziecinne spiski. Wszyscy inni ostentacyjnie obnosili się ze swoją radością, paradowali z przypiętymi do kornierza trójkolorowymi kokardami, maszerowali w pochodach od świtu do nocy, a przede wszystkim gadali bez końca, dyskutowali, perorowali. W pierwszych dniach po wylądowaniu ten cały

<sup>16</sup> Mój Boże, mój Boże, to jeszcze gorsze niż w Afryce!



harmider miał jeszcze jakiś sens: objawiał się wiwatowaniem na cześć defilujących głównymi ulicami nielicznych rannych oraz jękami „szczurów”, agentów policji burbońskiej! torturowanych w zaułkach; ale obecnie ranni zdążyli już przyjść do zdrowia, a niedobitki „szczurów” zaciągnęły się do nowej policji, tak więc owe maskarady, których nieuniknioną konieczność rozumiał, stały się głupie i nieznosne. Księżę musiał jednak przyznać, że były to tylko objawy czysto zewnętrzne, wypływające z braku umiaru; natomiast sprawy istotne, ekonomiczne i socjalne, zostały załatwione zgodnie z tym, co przewidywał, w sposób zadowalający. Don Pietro Russo dotrzymał obietnicy i w pobliżu pałacu Salina nie zagrzmiął ani jeden wystrzał; a fakt, że w pałacu w Palermo skradziono cenny serwis chiński, można było przypisać tylko głupocie Paola: kazał go zapakować do dwóch koszy, które potem zostawił na dziedzińcu w czasie bombardowania. Wystarczyło to w zupełności, by ci sami ludzie, którzy pakowali porcelanę, postarali się o jej zniknięcie.

Piemontczycy (których księżę w dalszym ciągu wolał tak nazywać, by podnieść się na duchu, i których jedni nazywali garibaldczykami dla wyrażenia swego podziwu, a inni jeszcze garibaldiakami dla umniejszenia ich wartości), Piemontczycy zjawili się u niego, jeśli nie z kapeluszami w rękę, jak to było przewidziane, to w każdym razie z palcami przy daszkach pogniecionych czerwonych czap, równie wymiętoszonych jak czapki oficerów burbońskich.

Około 20 czerwca przybył do pałacu, zapowiedziany na dwadzieścia cztery godziny naprzód przez Tancreda, generał w czerwonej kurtce z czarnym szamerowaniem. Przyjechał w towarzystwie swego adiutanta i z wyszukaną uprzejmością poprosił o pozwolenie obejrzenia fresków w salonach. Naturalnie nie robiono mu żadnych przeszkód, bo w porę przysłana zapowiedź jego wizyty pozostawiła dość czasu, by usunąć z jednego z salonów portret Ferdynanda II w galowym stroju i powiesić na to miejsce *Sadzawkę Betsaida*; zresztą była to zamiana korzystna zarówno z politycznych, jak estetycznych względów.

Generał, trzydziestoletni pełen życia Toskańczyk, trochę fanfaron i trochę gaduła, był zresztą bardzo dobrze wychowany i sympatyczny; odnosił się do księcia z wielkim szacunkiem i nawet tytułował go „ekscelencją”, co było jawnie sprzeczne z dekretem dyktatora; adiutant, dziewiętnastoletni gołowąs, pochodził z hrabiowskiej rodziny mediolańskiej i zachwyił dziewczęta swymi lśnącymi jak lustro butami oraz gardłowym brzmieniem „r”, wymawianym z francuska. Oficerowie ci przyjechali w towarzystwie Tancreda, który dorobił się na polu walki stopnia kapitana. Wymizerowany trochę wskutek odniesionej rany, ale poza tym czarujący jak zawsze, w czerwonym mundurze, popisywał się swoją zażyłością ze zwyczajcami: wyrazem owej zażyłości było mówienie sobie po imieniu i używanie określeń w rodzaju „mój bohaterski przyjaciel”, przy czym tamci dwaj wymawiali je z młodzieńczym zapałem, a Tancredi nosowym głosem z lekką domieszką ironii, co robił z uwagi na księcia. Don Fabrizio potraktował ich z wielkopańską nieposzlakowaną uprzejmością; ich towarzystwo ubawiło go i uspokoiło do tego stopnia, że dwa dni później obaj Piemontczycy zostali zaproszeni na kolację. Przyjemnie było patrzeć, kiedy Carolina usiadła do fortepianu i akompaniowała generałowi, który na cześć Sycylii zaryzykował pieśń: *Vi ravviso o luoghi ameni*, a Tancredi przewracał nuty z takim skupieniem, jak gdyby nic poza muzyką nie istniało na świecie. Tymczasem mediolański hrabicz siedział pochylony na kanapie i zabawiał Concettę rozmową o kwiatach pomarańczowych oraz odkrywał jej istnienie poety Alearda Aleardi; ona udawała, że słucha, ale myślała ze smutkiem o mizernym wyglądzie kuzyna, którego twarz przy świetle świec wyglądała na jeszcze szczuplejszą, niż była w istocie.

Wieczór upłynął w idyllicznym nastroju; po nim nastąpiły inne, spędzone w nie mniej serdecznej atmosferze; podczas jednego z owych wieczorów zwrócono się do generała z prośbą o interwencję, by rozkaz usunięcia z Sycylii jezuitów nie dotyczył ojca Pirrone, którego przedstawiono jako schorowanego i ciężko doświadczonego przez życie człowieka; generał zdążył już nabrać sympatii do przeznaczonego księdza, udał więc, że wierzy w jego

godny pożałowania stan zdrowia, zakrzętnął się wokół tej sprawy, przeprowadził rozmowy z wpływowymi przyjaciółmi i ojciec Pirrone został. Utwierdziło to jeszcze księcia w przekonaniu, że jego przewidywania były słuszne.

Także i w sprawie przepustek, bez których niepodobna było podróżować w tych niespokojnych czasach, generał okazał się bardzo użyteczny i w dużej mierze rodzina Salina jemu właśnie zawdzięczała swój wyjazd na wakacje do Donnafugaty. Młody kapitan dostał miesiąc urlopu i pojechał razem z wujostwem. Pomijając sprawę przepustek, przygotowania do wyjazdu były długie i skomplikowane. Należy bowiem także przeprowadzić pertraktacje z „wpływowymi osobami” w administracji okręgowej z Girgenti, pertraktacje, które zakończyły się uśmiechami, uściskiem dłoni i brzękiem monety; tak więc otrzymano drugą, jeszcze ważniejszą przepustkę, ale sposób, w jaki ją zdobyto, nie był żadną nowością. Poza tym trzeba było jeszcze przygotować całe stosy bagaży i zapasów, wysłać trzy dni wcześniej część służby, zapakować teleskopik, no i przekonać Paola, żeby został w Palermo. Dopiero wtedy można było wyjechać; generał i podporucznik zjawili się z kwiatami, by życzyć szczęśliwej podróży. I kiedy karety ruszyły sprzed pałacu Salina, dwie ręce długo wymachiwały na pożegnanie, z okienka wychylił się cylinder księcia, ale rączka w czarnej koronkowej rękawiczce, na której ukazanie się tak liczył hrabicz, spoczywała na kolanach Concetty.

Podróż trwała trzy dni i była koszmarowa. Drogi, te osławione sycylijskie drogi, z powodu których książę di Satriano został usunięty ze stanowiska gubernatora, prawie że nie istniały, jeżyły się od kamieni, pełne były wybojów i kurzu. Pierwsza noc w Manrineo, spędzona w domu znajomego notariusza, była jeszcze znośna; następna, w zajeździe w Prizzi, gdzie musieli spać po trzy osoby na jednym łóżku, atakowani przez odrażające robactwo, stała się jednym pasmem udręki; trzecią spędzili w Bisacquino: nie było tam pluskiew, ale za to książę znalazł trzynaście much w szklance mrożonego napoju, ciężki odór uryny dolatywał zarówno z ulicy, jak i ze znajdującej się za ścianą „umywalni” i przyprawił księcia o nad wyraz męczące sny; gdy obudził się o świcie w oparach tego odoru, był cały zlany potem i mimo woli nasunęło mu się porównanie tej koszmarnej podróży z jego własnym życiem, które upływało najpierw na roześmianych równinach, wznosiło się potem na strome zbocza gór, wciskało się w głębokie kotliny, po to, by znaleźć się w końcu na niezmiernym falistym terenie, jednostajnym w kolorze, pustym jak sama rozpacz; te widziadła zrodzone o szarej godzinie przedświt były czymś najprzykrzejszym, co przydarzyć się może mężczyźnie w średnim wieku; i chociaż książę wiedział, że zapomni o nich w ciągu ruchliwego dnia, mimo to cierpiał dotkliwie, bo przeżył już dostatecznie wiele, by zdawać sobie sprawę, że pozostawiają one na dnie duszy osad goryczy, która narasta z dnia na dzień i staje się wreszcie istotną przyczyną śmierci.

Po wschodzie słońca owe zmory skryły się w zakamarkach podświadomości; Donnafugata była już blisko ze swoim pałacem, z szumiącymi strumykami, wspomnieniem swoich świętych przodków, z tą atmosferą, która dawała złudzenie, że dzieciństwo może tam trwać wiecznie. I tamtejsi ludzie byli tacy mili, oddani, prości. Ale właśnie w tym momencie nasunęła się księciu natrętna myśl: kto wie, czy po ostatnich „wydarzeniach” ludzie będą tacy oddani jak przedtem. „Zobaczymy.”

Teraz rzeczywiście byli już prawie na miejscu. Bystra twarz Tancreda pochyliła się w stronę okienka karety:

– Wuju, ciociu, bądźcie w pogotowiu, dojeżdżamy za pięć minut.

Tancredi miał zbyt wiele taktu, by wjechać przed księciem do Donnafugaty. Ściągnął konia i kłusował drobnym truchcikiem obok karety.

Za krótkim mostem, który prowadził do Donnafugaty, oczekiwali księcia miejscowi przedstawiciele władz i kilkudziesięciu chłopów. Gdy tylko karety wjechały na most, orkiestra miejska zagrała z patosem *Noi siamo zingarelle*, co od lat było dość oryginalnym i

serdecznym wstępem do powitania, jakie Donnafugata przygotowywała swojemu księciu. Zaraz potem rozdzwoniły się, powiadomione o przyjeździe przez postawionego na czatach chłopaczka, dzwony parafialnego kościoła i klasztoru Santo Spirito, napełniając wszystko dokoła uroczystą wrzawą. „Bogu dzięki, mam wrażenie, że wszystko jest tak samo jak zawsze” – pomyślał książę wysiadając z karety. Oczekiwali go: Calogero Sedàra, burmistrz, opasany w biodrach trójkolorową wstęgą nowiutką jak jego urząd; monsignor Trottolino, prałat, o szerokiej ogorzałej twarzy; don Ciccio Ginestra, notariusz, który jako kapitan gwardii narodowej zaprezentował się w blasku szlif i pióropusza; don Toto Giambono, lekarz, i malutka Nunzia Garitta, która wręczyła księżnej swojski bukiet kwiatów zerwanych zresztą przed pół godziną w pałacowym ogrodzie. Był tam także don Ciccio Tumeo, organista, którego skromna pozycja nie pozwalała na występowanie u boku przedstawicieli władz, ale który pomimo to przyszedł jako nieodstępny towarzysz polowania; co więcej, miał szczęśliwy pomysł, by przyprowadzić ze sobą brązową wyżlicę Teresinę, która miała nad oczami dwie łatki orzechowego koloru; zrobił tym księciu przyjemność i został wynagrodzony specjalnym uśmiechem. Don Fabrizio był w doskonałym humorze, jego serdeczność była szczerą; wysiadł wraz z żoną z karety, by wszystkim podziękować, po czym przy ogłuszających dźwiękach muzyki Verdiego i biciu dzwonów objął burmistrza, a innym uścisnął dłonie. Tłum chłopów był milczący, ale z ich nieruchomych oczu wyczierała ciekawość, bynajmniej nie wroga; wieśniacy z Donnafugaty odczuwali coś w rodzaju przywiązania do swego pobłażliwego pana, który często zapominał o należnych mu opłatach i czynszach. A poza tym, tak już przywykli do widoku wąsatego Lamparta na pałacowej fasadzie, na frontonie kościoła, na rzeźbach barokowych fontann, na majolikowych kafelkach wmurowanych w ściany domów, że byli zadowoleni widząc teraz Lamparta z krwi i kości, w spodniach z piki, który przyjaźnie podawał wszystkim łapę z dobrodusznym uśmiechem uprzejmego kota. „Nie ma co mówić, wszystko jest tak jak przedtem, a nawet lepiej niż przedtem!” Także Tancredi był przedmiotem wielkiego zainteresowania: wszyscy znali go od dawna, ale teraz wyglądał jak odmieniony; nie był to już rozhukany chłopak, ale arystokratyczny liberał, towarzysz Rosolina Pilo, bohater ranny w walkach w Palermo. A on w tej atmosferze ogólnego podziwu czuł się jak ryba w wodzie; ta wieśniacza admiracja mile łechtala jego próżność. Rozmawiał z nimi w dialekcie, żartował, kpił z siebie i ze swojej rany; lecz gdy wymawiał nazwisko „generała Garibaldiego”, zniżał głos i twarz jego przybierała wyraz skupienia jak twarz ministranta, gdy staje przed tabernakulum. A do don Calogera Sedàry, o którym gdzieś słyszał, że odznaczył się w okresie walk wyzwoleniczych, zwrócił się uroczystym tonem:

– O was, don Calogero, Crispi wyrażał się z wielkim uznaniem.

Potem podał ramię kuzynce Concettie i odszedł pozostawiając wszystkich pod głębokim wrażeniem.

Karety ze służbą, dziećmi i Bendikiem pojechały do pałacu, ale inni musieli przed wejściem do domu wysłuchać w kościele *Te Deum*, jak tego wymagał prastary obyczaj. Kościół znajdował się zresztą tuż obok i cały orszak ruszył w tamtą stronę: nowo przybyli zakurzeni, ale imponujący, przedstawiciele władz nieskazitelnie ubrani, ale pokorni. Na czele kroczył don Ciccio Ginestra, torując drogę autorytetem munduru; za nim postępował książę, prowadząc pod rękę księżną, i robił wrażenie sytego, oswojonego lwa; dalej szedł Tancredi z Concettą, którą ten pochód do kościoła przy boku kuzyna przyprawiał o wielkie zmieszanie i błogą chęć do płaczu; owo wrażenie potęgowało jeszcze dotknięcie ręki młodzieńca, który z całej siły ścisnął jej ramię, pod pozorem, by nie potknęła się na wyboistej drodze. Za nimi szli w rozsypce inni. Organista pobiegł szybko naprzód, by zostawić w domu Teresinę i zasiąść przy organach w chwili, gdy orszak wejdzie do kościoła. Dzwony w dalszym ciągu dzwoniły jak oszalałe. Napisy: „Niech żyje Garibaldi!”, „Niech żyje król Wiktor Emanuel!”, „Śmierć królowi Burbonowi!”, nagryzmołone niewprawną ręką na domach, zdążyły już wyblaknąć i

wyglądało, jakby miały ochotę zapaść się w głąb ścian. Gdy zaczęli wchodzić na schody, huknęły wystrzały muszkietów, a gdy wstąpili w progi kościoła, zagrzmiały organy, na których don Ciccio, nadbiegłszy zdyszany, ale na czas, zaintonował *Amami, Alfredo*.

Kościół parafialny był pełen ludzi, którzy cisnęli się w nawach między grubymi kolumnami z czerwonego marmuru; rodzina Salina zasiadła w stallach i don Fabrizio okazał się zaprezentował się tłumowi w czasie tej krótkiej ceremonii. Księżna o mało nie zemdleła ze zmęczenia i gorąca; Tancredi, pod pozorem opędzania much, niejedną raz musnął jasną główkę Concetty. Wszystko odbywało się zgodnie z tradycją i po kilku zwięzłych, ale gorących słowach monsignora Trottolina pochyłono głowy przed ołtarzem, po czym cały orszak ruszył ku drzwiom i wyszedł na rozżarzony słońcem plac.

U stóp schodów przedstawiciele władz zaczęli się żegnać z księstwem. Wtedy księżna, która wydała już szeptem odpowiednie dyspozycje w czasie ceremonii, zaprosiła na ten sam dzień na kolację burmistrza, prałata i notariusza. Prałat był kawalerem z zawodu, a notariusz z powołania, tym samym więc nie wyłaniała się kwestia ich małżonek; zaproszenie dla burmistrza rozszerzono, aczkolwiek niechętnie, na jego żonę: była ona chłopką, ale chociaż słynęła z urody, sam mąż uważał, że z wielu względów niepodobna się z nią pokazywać; nikt więc nie był zdziwiony, gdy oznajmił, że żona, niestety, jest niedysponowana, zdziwiono się natomiast, gdy dodał:

– Jeśli wasze ekscelencje pozwolą, przyjdę z moją córką Angelicą, która od miesiąca tylko o tym marzy, by pokazać się waszym książęcym gościom jako dorosła panna.

Oczywiście, pozwolenia udzielono, po czym książę, widząc wychylającego się spoza pleców innych don Tumea, zawołał:

– Wy oczywiście także, don Ciccio, przyjdźcie z Teresiną. – A zwracając się do pozostałych dodał: – A po kolacji, o dziewiątej, będziemy szczęśliwi widząc u nas wszystkich przyjaciół.

Donnafugata długo komentowała te ostatnie słowa. I książę, który znalazł Donnafugatę niezmienną, w oczach jej mieszkańców zmienił się nie do poznania, gdyż dawniej trudno było nawet pomyśleć, by wyrażał się z taką serdecznością. Od tego momentu zaczął się nieuchwytny spadek jego autorytetu.

Pałac Salina przylegał do kościoła. Krótka frontowa fasada z siedmioma oknami nie dawała wyobrażenia o jego ogromie; pałac miał dwieście metrów długości i składał się z budynków w rozmaitych stylach, ale harmonijnie stonowanych wokół trzech dziedzińców. Całość kończyła się olbrzymim ogrodem. Przed głównym wejściem od strony placu podróżni musieli się poddać dalszym ceremoniom powitalnym. Don Onofrio Rotolo, miejscowy administrator, nie brał udziału w oficjalnym powitaniu przy wjeździe do miasta. Dla niego, wychowanego w surowej szkole księżnej Karoliny, pospółstwo w ogóle nie istniało, a księcia uważał za rezydującego za granicą, dopóki nie przekroczył progu pałacu. Dlatego też stał dwa kroki za drzwiami, maciupęńki, stareńki, brodaty, z tęgą, o wiele młodszą od siebie żoną przy boku, a za nim służba i ośmiu strażników ze złotym Lampartem na czapkach, trzymających w rękach strzelby.

– Jestem szczęśliwy mogąc powitać wasze książęce gości w ich domu. Oddaję pałac w takim stanie, w jakim został mi powierzony.

Don Onofrio Rotolo był jednym z nielicznych ludzi, których książę szanował, i może jedynym człowiekiem, który go nigdy nie okradł. Jego uczciwość graniczyła z manią i podawano sobie z ust do ust różne anegdoty na jej temat, między innymi historię o nie dopitym przez księżnę w dniu wyjazdu kieliszku likieru, który zastała po roku na tym samym miejscu wraz z zawartością; tyle tylko, że trunek zdążył wyparować i została po nim na dnie scukrzona, kleista masa.

– Bo to także jest mikroskopijną częścią majątku księcia i nie ma prawa się zmarnować.

Po powitaniu się z don Onofriem i donną Marią księżną, którą trzymało na nogach tylko napięcie nerwowe, wymknęła się cichaczem do sypialni, dziewczęta pobiegły z Tancredem schronić się w orzeźwiającym cieniu ogrodu, a księżę i administrator poszli na obchód olbrzymiej rezydencji. Wszystko było w idealnym porządku: obrazy w ciężkich ramach były odkurzone, złoto antycznych opraw rzucało dyskretny blask, szare marmury lśniły w promieniach słońca wokół wszystkich drzwi. Każdy przedmiot znajdował się w identycznym stanie jak przed pięćdziesięciu laty. Po wydobyciu się z hałaśliwego kręgu nowej rzeczywistości don Fabrizio poczuł się jak odrodzony, uspokoił się, rozpogodził i popatrzał niemal z czułością na don Nofria, który dreptał u jego boku.

– Don Nofrio, jesteście naprawdę jednym z tych gnomów, które pilnują skarbów; winniśmy wam wielką wdzięczność.

Dawniej uczucie, jakiego doznawał w tej chwili, byłoby takie same, ale nie potrafiłby się zdobyć na wypowiedzenie tego rodzaju słów. Don Nofrio spojrział na niego ze zdumieniem i wdzięcznością:

– Obowiązek, ekscelencjo, obowiązek!

I by ukryć wzruszenie, drapał się w ucho bardzo długim paznokciem małego palca lewej ręki.

Potem administrator został poddany torturze herbaty. Don Fabrizio kazał przynieść dwie filiżanki i don Nofrio z trwogą w sercu musiał wypić jedną z nich. Gdy się z tym uporał, zaczął opowiadać księciu kronikę Donnafugaty: przed dwoma tygodniami odnowił dzierżawę lenna Acquila na warunkach nieco gorszych niż uprzednio; musiał wydatkować znaczną sumę na odnowienie sufitów w gościnnych pokojach; pomimo to, po odciążeniu wydatków, opłat podatkowych i jego pensji, w kasie leżało trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt pięć dukatów do dyspozycji jego ekscelencji.

Następnie przeszedł do informacji – związanych z wielkim wydarzeniem roku: mówił o nagłym wzroście majątku don Calogera Sedàry. Przed sześcioma miesiącami upłynął termin zwrotu pożyczki, której udzielił on baronowi Tumino, wobec czego zagarnął jego włości. Tak więc za tysiąc dukatów pożyczki wszedł w posiadanie ziemi, która przynosiła pięćset dukatów rocznego dochodu; poza tym w kwietniu nabył za psi grosz salmę gruntu, gdzie znajdowały się złoża bardzo poszukiwanego kamienia, i zamierzał je eksploatować; sprzedał też na wyjątkowo korzystnych warunkach pszenicę, bowiem zrobił to w momencie ogólnego zamieszania i klęski głodowej po wylądowaniu. W głosie don Nofria zabrzmiała nuta skargi:

– Porachowałem wszystko na palcach: dochody don Calogera będą niedługo dorównywać dochodom ekscelencji z Donnafugaty.

Wraz z bogactwem wzrastały także wpływy polityczne: został przywódcą miejscowych i okolicznych liberałów i liczył na to, że kiedy przyjdzie do wyborów, zostanie wysłany jako delegat do Turynu.

– A jak to zadziera nosa! On nie, jest na to zanadto szczywany, ale ta jego córka, Angelica, która wróciła z Florencji po ukończeniu pensji i paraduje w szerokiej i bombiastej spódnicy i w kapeluszu z powiewającymi aksamitkami.

Księżę milczał; cieszył się na zobaczenie córki don Calogera, Angeliki, która miała przyjść na kolację; był ciekaw, jak też teraz wygląda ta elegancka pastereczka; nie miał racji myśląc, że nic się nie zmieniło: don Calogero dorównywał mu bogactwem! Ale te rzeczy były właściwie do przewidzenia; to była ta cena, którą należało zapłacić.

Milczenie don Fabrizia zmieszało don Nofria; wydało mu się, że uraził księcia opowiadaniem wiejskich plotek.

– Ekscelencjo, kazałem zagrzać wodę do kąpieli, myślę, że jest już gotowa.

Don Fabrizio uświadomił sobie nagle, że jest zmęczony; była już prawie trzecia po południu, a dziewięć godzin spędził w tym piekielnym skwarze i w dodatku po takiej nocy! Czuł, że kurz pokrywa mu grubą warstwą całe ciało wciskając się nawet do najgłębszych jego

fałd.

– Dziękuję wam, don Nofrio, że pomyśleliście o tym. Zobaczymy się wieczorem przy kolacji.

Wszedł na wewnętrzne schody, minął salon arrasów, salon błękitny, salon żółty; przez opuszczone żaluzje łagodnie sączyło się światło, w gabinecie tykał pokornie wahadłowy zegar Boule.

– Co za spokój, Boże mój, co za spokój!

Wszedł do łazienki, której ściany były pobielane wapnem, a podłoga wyłożona chropowatą cegłą. W środku znajdował się otwór, który służył do wylewania wody. Olbrzymia metalowa wanna, w kształcie owalnej niecki, poemaliowana. była na żółto od zewnątrz, na szaro od wewnątrz i stała na czterech solidnych drewnianych nogach. Na wbitym w ścianę gwoździu wisiał płaszcz kąpielowy, na jednym krześle leżała czysta zmiana bielizny, na drugim ubranie, trochę jeszcze wygniecione, bo dopiero co wyjęte z kufra. Obok wanny przygotowane były przybory toaletowe: duże różowe mydło, szczotka, otrąbki zawiązane w chusteczkę, z której po zanurzeniu w wodzie wyciekało białe, pachnące mleczko, oraz potężnych rozmiarów gąbka, jedna z tych, jakie dostarczał administrator lenna Salina. Przez zasłonięte okno brutalnie wciskało się słońce.

Księżę klasnął w dłonie; weszli dwaj lokaje niosąc po dwa wiadra zimnej i gorącej wody; kilkakrotnie wychodzili i wracali z kubłami, dopóki wanna nie była pełna. Sprawdził ręką temperaturę wody: „była w sam raz. Kazał służącym wyjść, rozebrał się i wszedł do wanny. Gdy się w niej zanurzył, woda zaczęła się przelewać na podłogę pod ogromem jego tuszy. Namydlił się, wyszorował; ciepło doskonale mu zrobiło, poczuł błogie odprężenie. Już prawie zasypiał, gdy zastukano do drzwi, wszedł nieśmiało lokaj Mimi:

– Ojciec Pirrone chce się zaraz widzieć z waszą ekscelencją. Będzie czekał tu obok, aż wasza ekscelencja wyjdzie z kąpeli.

Księżę zdziwił się, ale pomyślał, że jeśli zdarzyło się coś niedobrego, to lepiej wiedzieć o tym od razu.

– Nie, niech wejdzie zaraz.

Don Fabrizio, zaalarmowany pośpiechem ojca Pirrone i powodowany po części niepokojem, a po części szacunkiem dla sukni kapłańskiej, szybko wszedł z wanny. Liczył na to, że zdąży narzucić płaszcz kąpielowy, zanim jezuita wejdzie do łazienki. Lecz nie udało mu się to i ojciec Pirrone trafił właśnie na moment, kiedy księżę wyłonił się już z pianistych mydlin, ale nie zasłonił się jeszcze prześcieradłem i stał nagi jak Herkules Farnezyjski; z całego jego ciała buchała para; z ramion, pleców, brzucha i bioder płynęła strumieniem woda, tak jak z alpejskich szczytów spływają Rodan, Ren, Dunaj i Adyga. Widok księcia kolosa w stroju Adamowym był zupełną nowością dla ojca Pirrone; przywykły poprzez sakrament pokuty do obnażonych dusz, był nieporównanie mniej oswojony z nagością ciała. Tak więc ten sam jezuita, który nawet nie mrugnąłby okiem słysząc podczas spowiedzi, na przykład, o grzechu kazirodztwa, zmieszał się na widok owej niewinnej nagości tytana. Wybełkotał jakieś słowo na przeproszenie i chciał się wycofać, ale don Fabrizio, rozdrażniony tym, że nie zdążył się w porę zasłonić, zwrócił naturalnie swój gniew przeciwko niemu:

– Niech ksiądz nie robi z siebie głupca, tylko poda mi płaszcz i pomoże się wytrzeć, o ile nie ma ksiądz nic przeciwko temu. – Zaraz potem przypomniał sobie jedną ze swoich kłótni z księdzem i dorzucił: – I niech ksiądz posłucha mojej rady i także się wykąpie.

Zadowolony, że miał sposobność dać upomnienie higieniczne temu, który nie szczędził mu upomnień moralnych, rozpogodził się. Górą płaszcz kąpielowego, który wreszcie miał na sobie, zaczął wycierać włosy, bokobrody i szyję, a tymczasem zawstydzony ojciec Pirrone wycierał mu dolnymi połami nogi.

Gdy szczyt i zbocza góry były już suche, powiedział:

– A teraz niech ojciec usiądzie i powie, jaka to pilna sprawa sprowadza go do mnie. – I gdy jezuita sadowił się na krześle, książę zabrał się do wycierania miejsc bardziej intymnych. – A więc, ekscelencjo, obarczono mnie delikatną misją. Pewna osoba bardzo bliska ekscelencji otworzyła przede mną swoje serce i powierzyła mi zadanie powiadomienia go o swoich uczuciach, pełna zaufania, być może, niesłusznie, że szacunek, jakim darzy mnie...

Wahanie ojca Pirrone znajdowało ujście w nieskończeniu długich i skomplikowanych zdaniach. Don Fabrizio stracił cierpliwość:

– Słowem, o kogo chodzi, ojczy? O księżnę?

Wyglądał tak, jak gdyby groził podniesioną ręką, w rzeczywistości wycierał się pod pachą.

– Księżna jest zmęczona, śpi i nie widziałem się z nią teraz. Idzie o pannę Concettę. – Pauza. – Jest zakochana.

Czterdziestopięcioletni mężczyzna może się uważać za młodego, dopóki nie nadejdzie chwila, w której uświadomi sobie, że jego dzieci dojrzały już do miłości. Książę poczuł się nagle stary; zapomniał o przemierzanych na polowaniach dziesiątkach mil, o okrzykach „Jezus, Maria!”, które wywoływał dość często, o swoim obecnym doskonałym samopoczuciu po trzech dniach uciążliwej podróży. W jednej chwili ujrzał siebie jako siwowłosego starca otoczonego czeredą wnucząt jadących na kozach do Villa Giulia.

– I po co ta głupia dziewczyna zwróciła się z tym do księdza? Dlaczego nie przysłała wprost do mnie?

Nie pytał nawet, kim jest „on”; było to zbyt bezsensowne.

– Wasza ekscelencja zbyt dobrze ukrywa serce ojca pod autorytetem pana i władcy. Nic więc dziwnego, że to biedactwo jest onieśmielone i zwraca się do oddanego rodzinie kapłana.

Don Fabrizio wciągał na nogi długie kalessy i prychał – przewidywał przewlekłe dyskusje, łyż, całą serię nie kończących się utrapień. Ta grymaśnica popsuła mu pierwszy dzień w Donnafugacie.

– Wiem, ojczy, wiem. Tutaj nikt mnie nie rozumie i to jest moje nieszczęście. – Siedział na taborecie, jasny puch na jego piersi perlił się lśniącoymi kroplami. Po podłodze z cegły płynęła krętymi strużkami woda, w powietrzu unosił się wonny zapach otrąbków pomieszany z migdałowym aromatem mydła. – Jak więc, zdaniem księdza, powinienem na to zareagować?

W łazience było tak gorąco, że na księdza biły siódme poty, a ponieważ wypełnił już swoją misję, miał ochotę jak najprędzej stąd wyjść; ale zatrzymało go na miejscu poczucie odpowiedzialności.

– Chęć stworzenia chrześcijańskiej rodziny jest jak najmilej widziana przez Kościół. Obecność Chrystusa na godach w Kanie...

– Nie odbiegajmy od tematu. Chcę mówić o tym małżeństwie, nie o małżeństwie w ogólności. Czy don Tancredi zdeklarował się może, i kiedy?

Ojciec Pirrone przez pięć lat próbował uczyć tego chłopaka łaciny, przez siedem lat znosił jego wybryki i psikusy, i jak wszyscy był pod jego wielkim urokiem. Lecz ostatnie posunięcia polityczne Tancreda głęboko go dotknęły i owo rozgoryczenie walczyło w nim teraz ze starym przywiązaniem. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie, nie wypowiedział się jeszcze wyraźnie, ale panna Concetta nie ma żadnych wątpliwości. Jego atencje, spojrzenia, niedomówienia coraz częstsze przekonały tę czystą duszyczkę i upewniły ją, że jest kochana. Ale jako posłuszna i pełna szacunku dla ojca córka, chciała zapytać za moim pośrednictwem, co ma zrobić, kiedy przyjdzie do owej deklaracji. Czuje, że ten moment jest już bliski.

Książę odczuł wyraźną ulgę: skądże by ta młodziutka dziewczyna mogła mieć na tyle doświadczenia, żeby przewidzieć, jakie są zamiary młodego człowieka, i w dodatku takiego jak Tancredi! Bardzo możliwe, że wchodziła tu w grę tylko jej wybujała wyobraźnia, że był to jeden z owych „złotych snów”, które przyprawiają o drżenie poduszki na pensjach dla panien. Niebezpieczeństwo było na razie zażegnane.

Niebezpieczeństwo? To słowo tak wyraźnie zarysowało mu się w myśli, że aż był tym zdumiony. Niebezpieczeństwo. Ale dla kogo? Bardzo kochał Concettę, ujmowała go. jej łagodność i niezmienna uległość, z jaką poddawała się wszelkim niemiłym przejawom ojcowskiej woli, ta uległość i łagodność, które księżę zresztą przeceniał. Owa wrodzona skłonność do unikania przykrości, by zachować niezmacony spokój wewnętrzny, sprawiała, że księżę nigdy nie zwrócił uwagi na zimny błysk w oczach dziewczyny, gdy jego dziwactwa, do których musiała się naginać, niemal graniczyły z tyranią. Księżę kochał bardzo córkę, ale jeszcze bardziej kochał siostrzeńca. Zawojowany od pierwszej chwili drwiącą serdecznością tego chłopca, od paru miesięcy zaczął podziwiać ponadto jego inteligencję: tę umiejętność natychmiastowego, przystosowania się do nowej sytuacji, intuicję światowca, naturalny dar słowa, który pozwalał mu swobodnie posługiwać się modnymi teraz, demagogicznymi zwrotami, dając zarazem do zrozumienia wtajemniczonym, że jest to tylko rozrywka, której on, księżę Falconeri, raczej oddawać się na chwilę. Bawił tym księcia, a u człowieka o takim charakterze i pochodzeniu jak don Fabrizio owa umiejętność decydowała w czterech piątach o uczuciu. Jego zdaniem, Tancredi miał przed sobą wielką przyszłość; mógł stanąć na czele kontraktaku zorganizowanego na pohybel obecnemu porządkowi rzeczy przez przyodzianą w nowe mundury szlachtę. Do tego brakowało mu tylko jednej rzeczy – pieniędzy, a on był goły jak święty turecki. By wysunąć się na czoło w polityce teraz, kiedy nazwisko nie miało już takiego znaczenia, potrzebne było morze pieniędzy: pieniądze na zakup głosów, pieniądze na świadczenie przysług wyborcom, pieniądze na podniesienie świetności domu, która by olśniła wszystkich. Świetność domu... Czy taka Concetta ze swymi biernymi zaletami mogłaby pomóc ambitnemu i błyskotliwemu mężowi we wspinaniu się po śliskiej drabinie nowego społeczeństwa? Ona, taka nieśmiała, nieufna, pełna rezerwy? Nie, zawsze będzie tą samą ładniutką pensjonarką; dla męża byłaby kulą u nogi.

– Czy ojciec widzi Concettę w roli ambasadorowej w Wiedniu czy Petersburgu?

To pytanie zaskoczyło ojca Pirrone.

– Co to ma z tym wspólnego? Nie rozumiem.

Księżę nie uznał za stosowne wyjaśniać mu tego i znowu pogrążył się w swoich myślach. Pieniądze? Concetta będzie miała posag, oczywiście. Ale majątek domu Salina musi być podzielony na siedem części, na siedem nierównych części, i w tym podziale dziewczętom przypadnie najmniej. A więc? Tancredi musi rozejrzeć się za czymś innym. Na przykład taka Maria Santa Pau, która już posiada cztery własne lenna i ma dziedziczyć po swoich wujach, księżach i ciułaczach, albo jedna z czterech panien Sutera, które wprawdzie nie grzeszą pięknnością, ale są bardzo bogate. Miłość. Zapewne, miłość... Ogień i płomień przez rok, popiół przez trzydzieści lat. On wiedział, co to jest miłość... No i poza tym ten Tancredi, przed którym kobiety będą padały jak dojrzałe ulegalki!

Poczuł nagle, że robi mu się zimno. Woda parowała z nie wytartych miejsc, tak że ramiona pokryły się gęsią skórką. Poduszki palców zmarszczyły się. A ile przykrych rozmów w perspektywie! Trzeba tego unikać za wszelką cenę...

– Idę się teraz ubrać, ojczu. Proszę powiedzieć Concettcie, że bynajmniej nie gniewam się na nią, ale że pomówimy o tym, kiedy już będziemy mieli pewność, że nie są to tylko romantyczne panięskie mrzonki. No, więc do zobaczenia, ojczu.

Wstał i przeszedł do garderoby. Z pobliskiego kościoła parafialnego dolatywały ponure dźwięki żałobnych dzwonów. Ktoś umarł w Donnafugacie; jakieś udreżone ciało nie zniosło ponurego smutku sycylijskiego lata, zabrakło mu sił czekać na deszcz. „Szczęśliwiec! – pomyślał księżę skrapiając wonnym olejkiem bokobrody. – Szczęśliwiec! Co go teraz obchodzą córki, posagi i kariery polityczne!” To efemeryczne utożsamienie się z nieznanym nieboszczykiem wystarczyło, by go uspokoić. „Dopóki jest śmierć, jest nadzieja” – pomyślał. Potem uznał, że jest śmieszny: dojść do stanu takiej depresji tylko dlatego, że jedna z córek



ma ochotę wyjść za mąż! „*Ce sont leurs affaires après tout*”<sup>17</sup> i – pomyślał po francusku, co robił zawsze, kiedy usiłował zbagatelizować jakąś sprawę. Usiadł w fotelu i zdrzemnął się.

Obudził się po godzinie, podniesiony na duchu, i zszedł do ogrodu. Słońce skłaniało się już ku zachodowi i jego spotulniałe promienie oświetlały łagodnie araukarie, pinie i potężne dęby, które były miejscową chlubą. Główna aleja biegła lekko w dół, po obydwu jej stronach ciągnęły się wysokie żywopłoty z wawrzynu; w ich łukowatych wnękach stały popiersia anonimowych bogiń bez nosów. Z głębi owej alei dolatywał rozkoszny szmer strumyczków wody opadających do fontanny Amfitryty. Stęskniony za jej widokiem, poszedł szybkim krokiem w tamtą stronę. Wydmuchiwana z muszli trytonów i najad, z nozdrzy potworów morskich, woda tryskała cieniutkimi strużkami, uderzała z metalicznym szelestem w zielonkawą powierzchnię basenu, tworzyła na niej rozpryski, bańki, pianę, fale, koliste drżenia, rozigrane wiry; od całej tej fontanny otoczonej wodną aureolą, od kamieni pokrytych aksamitnymi mchami emanowała obietnica szczęścia, które nigdy nie może zmienić się w cierpienie. Na wysepce, pośrodku okrągłego basenu, wyrzeźbiony niewprawnym, ale zmysłowym dłutem Neptun, uśmiechnięty i łapczywy, obejmował namiętą Amfitrytę: jej mokry pepek lśnił w słońcu i zdawało się, że za chwilę przylgną do niego w pocałunku te usta bożka ukryte w podwodnym cieniu. Don Fabrizio stanął, patrzył, wspominał, żałował. Stał tam bardzo długo.

– Wujaszku, chodź zobaczyć zagraniczne brzoskwinie, ślicznie owocują. I zostaw te nieprzyzwoitości, to nie dla mężczyzny w twoim wieku!

Szydercza czułość głosu Tancreda wyrwała go z lubieżnego zamyślenia. Wcale nie słyszał jego kroków: zakradł się jak kot. Po raz pierwszy wydało mu się, że widok tego chłopca budzi w nim uczucie rozżalenia: ten dandys z talią jak osa, w ciemnoniebieskim ubraniu, był przyczyną, że tak gorzko rozmyślał o śmierci przed dwiema godzinami. Potem uświadomił sobie, że to nie było rozżalenie, tylko coś podobnego do lęku: bał się, że Tancredi zacznie z nim mówić o Concetcie. Ale ani zachowanie, ani ton siostrzeńca bynajmniej nie wskazywały na to, żeby zamierzał robić zwierzenia takiemu jak on człowiekowi. Uspokoił się: oko siostrzeńca spoglądało na niego z ironiczną czułością, jaką młodość darzy starsze osoby. „Mogą sobie pozwolić na odrobinę uprzejmości wobec nas, wiedzą i tak, że od dnia naszego pogrzebu będą mieli rozwiązane ręce.” Poszedł z Tancredem obejrzeć „zagraniczne brzoskwinie”. Szczepienie przed dwoma laty niemieckich pędów przyniosło znakomite rezultaty: owoców było wprawdzie niewiele, tuzin na dwóch drzewkach, ale były ogromne, pokryte puszką, pachnące; te żółtawe kule, z dwoma odcieniami różowego koloru na policzkach, wyglądały jak główki wstydlivych Chincek. Książę dotknął owoców z tą osławioną delikatnością, właściwą jego grubym palcom.

– Zdaje mi się, że są już dojrzałe. Szkoda, że ich jest tak mało, można by podać dzisiaj na kolację. Ale jutro każemy je zerwać i spróbujemy, jaki mają smak.

– O, widzisz, wuju! Teraz mi się podobasz w tej roli *agricola pius*<sup>18</sup>, który cieszy się i delectuje owocami swojej pracy. To rozumiem, a nie jak przyłapałem cię przed chwilą na kontemplacji gorszących nagości.

– A jednak, Tancredi, także i te brzoskwinie stworzone są przez miłość, przez zespolenie.

– Oczywiście, ale przez legalną miłość, przypieczętowaną przez ciebie, pana, i przez ogrodnika Nina, notariusza. Z miłości przemyślanej, owocnej... Podczas gdy tamci... – powiedział robiąc aluzję do fontanny, od której poprzez kurtynę dębów dolatywał szmer – czy myślisz, że oni wstąpili do proboszcza?

Rozmowa zaczęła schodzić na niebezpieczne tory, wobec czego don Fabrizio skierował się szybkim krokiem w stronę domu. Po drodze Tancredi zaczął mu opowiadać najnowsze

<sup>17</sup> Ostatecznie, to ich sprawa.

<sup>18</sup> Przykładowy rolnik.

sercowe płoteczki z Donnafugaty. Menica, córka strażnika Saveria, zaszła w ciążę z winy narzeczonego, postanowiono więc przyspieszyć datę ślubu. Calicchio cudem uniknął śmierci od wystrzału zazdrosnego męża.

– Skąd ty już wiesz o tych sprawach?

– Wiem, wuju, wiem wszystko. Oni lubią mi wszystko opowiadać, bo wiedzą, że mam dla nich dużo zrozumienia.

Gdy weszli na schody, które łagodnymi skrętami i długimi podestami prowadziły z ogrodu do pałacu, spojrzeli na wieczorny krajobraz rozciągający się poza drzewami. Od strony morza kolosalne, koloru atramentu chmury zaczynały zasnuwać niebo. Może gniew Boży był już nasycony i doroczne przekleństwo wiszące nad Sycylią miało się ku końcowi? W tej samej chwili w owe nabrzmiałe ulgą chmurzyska wpatrywały się także tysiące innych oczu; czekały też na nie miliardy nasion ukrytych w łonie ziemi.

– Miejmy nadzieję, że lato się skończyło i przyjdzie deszcz – rzekł don Fabrizio. Tymi słowami dumny arystokrata, któremu osobiście deszcze mogły przynieść tylko nudę, okazał swoje braterstwo z nieokrzesanymi chłopami.

Księżciu zawsze bardzo zależało na tym, by pierwsza kolacja w Donnafugacie miała uroczysty charakter: dzieci poniżej piętnastu lat nie były dopuszczone do stołu, podawano tylko francuskie wina i poncio alla romana przed pieczystym, lokaje występowali w pudrowanych włosach i obcisłych, spiętych pod kolanami spodniach. Robił ustępstwo tylko co do jednego szczegółu: nie ubierał się w strój wieczorowy, żeby nie wprowadzać w zakłopotanie swoich gości, z których żaden oczywiście nie posiadał fraka. Tego wieczora, w tak zwanym Salonie Leopolda, rodzina Salina oczekiwała ostatnich gości. Lampy naftowe rzucały spod koronkowych abażurów żółtawe kręgi światła; ogromnych rozmiarów portrety, przedstawiające przodków rodu Salina na koniach, były już tylko wizjami przeszłości, wspaniałymi i nieco zatartymi, tak samo jak pamięć o nich. Don Onofrio przybył już z żoną, zjawił się też prałat wystrojony w pelerynkę z cienkiej fałdowanej materii, która miękko spływała mu z ramion. Rozmawiał teraz z księżną o niesnaskach w Collegio di Maria. Był i don Ciccio, organista (Teresinę przywiązano już do nogi stołu w przedsionku), który wspominał wraz z księciem najcelniejsze, niemal historyczne strzały w wąwozach Dragonary. Wszystko odbywało się, jak zazwyczaj, w największym porządku, gdy nagle szesnastoletni syn, Francesco Paolo, wtargnął jak burza do salonu:

– Papo, don Calogero już wchodzi na schody. Jest we fraku!

Tancredi ocenił wagę tej nowiny o sekundę wcześniej od innych. Był właśnie zajęty czarowaniem żony don Onofria, lecz gdy usłyszał fatalne słowo „frak”, nie mógł powstrzymać się od konwulsyjnego śmiechu. Natomiast nie śmiał się książę, na którym – należy to podkreślić – owa wiadomość zrobiła większe wrażenie niż biuletyn o lądowaniu w Marsala. Tamtego wydarzenia można się było spodziewać, a ponadto dokonano się daleko, poza zasięgiem jego wzroku. Książę, tak wrażliwy na przepowiednie i symbole, rozpamiętywał teraz minioną rewolucję w wizji tego białego krawata i dwóch czarnych ogonów fraka, wstępujących na jego schody. Nie dość, że on, książę, nie był już najmąjdniejszym człowiekiem w Donnafugacie, ale musiał witać w surducie gościa, który przyszedł we fraku.

Ogarnęło go dziwnie niemiłe uczucie, które spotęgowało się jeszcze, gdy machinalnie podchodził ku drzwiom, by powitać don Calogera. Lecz gdy go zobaczył, cierpienie jego znacznie zelżało. Nie ulegało wątpliwości, że frak don Calogera, bardzo udany jako chwyt polityczny, z punktu widzenia sztuki krawieckiej był katastrofą. Materiał w pierwszorzędnym gatunku, fason modny, ale skrojony po prostu monstrualnie. Londyński szyk stał się karykaturalny pod igłą krawca z Girgenti, do którego przysłowiowe skąpstwo don Calogera kazało mu się skierować. Obydwie poły końcami wznosiły się do nieba w niemym błaganiu, szeroki kołnierz był nieforemny, a przy tym – trzeba podkreślić ten bolesny szczegół – nogi

burmistrza obute były w zapinane trzewiki.

Don Calogero szedł ku księżnej, już z daleka wyciągając rękę w rękawiczce:

– Moja córka prosi o wybaczenie, ale jeszcze nie jest gotowa. Wasza ekscelencja wie, jak to bywa przy takich okazjach z kobietami – dodał wyrażając swoistym dialektem tę paryską myśl. – Ale będzie tu za momencik. Jak wasza wysokość wie, mamy dwa kroki do pałacu.

Momencik trwał pięć minut, po czym otworzyły się drzwi i weszła Angelica. Pierwszym wrażeniem było oszałamiające zdumienie. Rodzinie Salina zabrakło tchu w piersi, Tancredi poczuł, jak tętni mu krew w skroniach. Piękność tej dziewczyny jak obuchem uderzyła mężczyzn i nie pozwoliła im doszukiwać się defektów, których jej uroda nie była pozbawiona; na pewno zresztą wielu było takich, którzy w stosunku do niej nie mogli się zdobyć nigdy na krytyczną ocenę. Angelica była wysoka i pięknie zbudowana. Jej karnacja musiała mieć aromat bitej śmietanki, a dziecinne usta świeżość poziomek. Pod masą delikatnie falujących włosów koloru nocy błyszcząły jak jutrzenka oczy zielone, nieruchome jak oczy posągów i nieco okrutne jak one. Szła powoli, a jej szeroka biała spódnica łagodnie falowała; z całej postaci bił spokój i zwycięska siła kobiety świadomej swojej urody. Dopiero w kilka miesięcy później przyznała się, że w chwili swego triumfalnego wejścia nerwy jej były tak napięte, że omal nie zemdlą.

Nie zwróciła uwagi na księcia, który wybiegł jej naprzeciw, minęła uśmiechającego się z rozmarzeniem Tancreda, przed fotelem księżnej pochyliła się w lekkim ukłonie, i ta forma ceremonialnego powitania, niespotykana na Sycylii, dodała na chwilę egzotycznego wdzięku jej swojskiej urodzie.

– Jakże dawno cię nie widziałam, moja Angelico! Bardzo się zmieniłaś, i to nie na gorsze.

Księżna nie wierzyła własnym oczom; pamiętała trzynastoletnią dziewczynkę sprzed czterech lat, zaniedbaną i brzydką, i nie mogła połączyć owego wspomnienia z widokiem tej przepięknej panny, która stała przed nią w tej chwili. Książę nie miał żadnych reminiscencji, musiał tylko przyznać w duchu, że cios, jaki zadał jego dumie frak ojca, pogłębiła teraz powierzchowność córki, tyle że tym razem nie szło o czarne sukno, lecz o matowo mleczną cerę; a przy tym jaka zgrabna, jaka zgrabna! I on, stary koń wojskowy, natychmiast stanął w pogotowiu na dźwięk trąbki kobiecego wdzięku. Przemówił do dziewczyny tak wyszukanie, z taką galanterią, jak gdyby zwracał się do diuszesy di Bovino czy księżnej di Lampedusa:

– To prawdziwe szczęście dla nas, panno Angelico, że tak piękny kwiat zawitał w progi naszego domu. i mamy nadzieję, że jak najczęściej będziemy mieli sposobność go widywać.

– Dziękuję księciu. Widzę, że książę jest dla mnie równie łaskawy, jak bywał zawsze dla mego drogiego papy.

Głos był piękny, niski, może zbyt pieczołowicie wystudiowany; pobyt na pensji we Florencji wyeliminował z niego śpiewność wymowy typowej dla okolic Girgenti: z dialektu sycylijskiego pozostało tylko dobitne akcentowanie spółgłosek, doskonale zresztą harmonizujące z jej piękną pogodną, ale ciężką. We Florencji nauczyli ją także opuszczać „ekscelencję”.

Wielka szkoda, że mało można powiedzieć o Tancredzie: po przedstawieniu go przez don Calogera córce, po błyskotliwych spojrzeniach rzucanych lazurowym okiem, po powściągnięciu przemożnej chęci ucałowania dłoni Angeliki – znowu wrócił do rozmowy z panią Rotolo i nie rozumiał ani słowa z tego, co do niego mówiła. Ojciec Pirrone medytował w ciemnym kącie i myślał o Piśmie świętym, które tego wieczora przedstawiało mu się tylko jako seria kolejno ukazujących się Judyt, Dalill i Ester.

Główne drzwi salonu otworzyły się na oścież i majordomus zaanonsował:

– Pod do sto! – tajemnicze słowa, które oznaczały, że podano do stołu, po czym całe, tak pełne kontrastów towarzystwo ruszyło do jadalni.

Książę był człowiekiem nazbyt światowym, by uraczyć swoich sycylijskich gości, w

dotadku z zapadłej prowincji, kolacją rozpoczynającą się od filiżanki bulionu, a tym chętniej odstępował od kanonów wykwintnej kuchni, im bardziej dogadzało to jego podniebieniu. Ale informacje o barbarzyńskim zagranicznym zwyczaju podawania na pierwsze danie rosółu nabrały takiego rozgłosu nawet wśród śmietanki towarzyskiej w Donnafugacie, że nic w tym dziwnego, iż biesiadnicy byli zatrwożeni na początku owych uroczystych kolacji. Gdy więc lokaje, w zielonych liberiach szamerowanych złotem, w upudrowanych na biało włosach, wnieśli ogromne srebrne półmiski, na których piętrzyły się piramidy makaronu, tylko cztery z dwudziestu zasiadających przy stole osób powstrzymały się od okrzyku radosnego zdziwienia: księżę i księżna, dla których nie było to żadną niespodzianką, a poza tym Angelica i Concetta, pierwsza powodowana afektacją, druga brakiem apetytu. Wszyscy inni (niestety, także i Tancredi!) okazali swoją radość, która objawiła się całą gamą dźwięków, poczynając od ekstatycznych pochrząkiwań notariusza, a kończąc na piskliwym okrzyku Francesca Paola. Groźne spojrzenie pana domu, które spiorunowało cały stół, od razu położyło kres tym niewłaściwym aplauzom.

Ale odłóżmy na bok dobre maniery: widok tych monumentalnych zapiekaneek usprawiedliwiał w całej pełni okrzyki podziwu. Przyrumieniona na złoty kolor powierzchnia ciasta i bijący w nozdrza słodkawy aromat cynamonu stanowiły tylko preludium do delicii ukrywających się w środku; gdy nóż przecinał chrupiącą powłokę, najpierw dobywała się ze środka wonna para, a potem dopiero ukazywały się kurze wątróbki, cienkie plasterki jajek na twardo, szynki, kawałki pulardy i trufle zagłębione w tłustej, gorącej masie nitek makaronu, któremu esencjonalny sos mięsny nadawał ponętny kolor brunatnego zamszu.

Początek posiłku upływał, jak zwykle na prowincji, w skupionym milczeniu. Prałat nakreślił znak krzyża na piersi, po czym bez słowa rzucił się w odmęty łakomstwa. Organista upajał się znakomitymi potrawami przymknawszy oczy: był wdzięczny Stwórcy za to, że za swoją celność w strzelaniu do zajęcy i bekasów bywa wynagrodzony od czasu do czasu tego rodzaju ekstazą, i myślał o tym, że zawartość jednego z tych półmisków wystarczyłaby na cały miesiąc dla niego i Teresiny; Angelica, piękna Angelica, zapomniała o tokańskich przysmakach: zjadała z apetytem swoich siedemnastu lat i z szybkością, na jaką tylko mógł jej pozwolić trzymany w połowie trzonka widelec. Tancredi, próbując połączyć galanterię z łakomstwem, za każdym aromatycznym kęsem, który podnosił do ust, usiłował wyobrazić sobie smak pocałunków Angeliki, swojej sąsiadki, ale szybko przyszedł do przekonania, że ten eksperyment jest w złym guście i zaniechał go, rezerwując sobie powrót do tych marzeń przy deserze. Księżę, choć pochłonięty obserwacją Angeliki, która siedziała naprzeciw niego, zdążył jednak zauważyć, że krem do lodów nie był dostatecznie ubity, i postanowił powiedzieć to nazajutrz kucharzowi; inni jedli nie myśląc o niczym i nie wiedzieli, że potrawy smakuja im tak dlatego, iż do domu wkradła się zmysłowa atmosfera.

Wszyscy byli zadowoleni i spokojni. Wszyscy prócz Concetty. Uściskała i wycalowała Angelikę, oczywiście oburzyła się, gdy ta powiedziała do niej „pani”, i zażądała, żeby mówiły sobie po imieniu jak w dzieciństwie, ale pod bladoniebieskim staniczkiem serce krajało się jej w piersi. Budziła się w niej gwałtowna krew Salinów; pod gładkim czołem rodziły się niezdrowe myśli. Tancredi siedział między nią i Angeliką i jak człowiek, który czuje się winny, dzielił z uprzedzającą grzecznością spojrzenia, komplementy i żarciki między obydwie swoje sąsiadki. Ale Concetta czuła, czuła zwierzęcym niemal instynktem, ów prąd pożądania biegnący od kuzyna w stronę tej obcej dziewczyny; jej zmarszczka między brwiami pogłębiała się: równie gorąco pragnęła zabić, jak umrzeć. Ponieważ była kobietą, czepiała się drobiazgów: zauważyła wulgarny wdzięk małego palca prawej ręki, który Angelica unosiła do góry, gdy trzymała w ręku kieliszek; zauważyła czerwonawy pieprzyk na szyi; zauważyła powściągniętą w ostatniej chwili chęć wydlubania palcem kawałka mięsa spomiędzy zębów; a przede wszystkim zauważyła brak lotności umysłu. I choć były to drobiazgi nic nie znaczące, bo przyćmione przemożnym, zmysłowym wdziękiem, uchwyciła

się ich kurczowo, rozpaczliwie, tak jak spadający z rusztowania murarz łapie się rynny. Miała nadzieję, że Tancredi także to widzi i jest zgorzony owym rażącym brakiem dobrego wychowania. Tak, Tancredi dostrzegł to od razu, lecz, niestety, bez spodziewanego rezultatu. Dał się pociągnąć bez reszty zmysłowej piękności tej dziewczyny, działającej jak magnes na jego młodzieńczy temperament; a poza tym ta bogata jedynaczka podniecała jego wyrachowany umysł człowieka bardzo ambitnego i nie posiadającego majątku.

Pod koniec kolacji rozmowa stała się ogólna. Don Calogero opowiadał niezdarne, ale ze sprytnym wyczuciem, o rozmaitych zakulisowych wydarzeniach, które nastąpiły na prowincji w okresie podboju Garibaldiego; notariusz opisywał księżnej willę „za miastem”, którą zaczął sobie budować; Angelica, podniecona jasnym oświetleniem, smakowitymi potrawami, francuskim winem i ogólnym aplauzem siedzących przy stole mężczyzn, poprosiła Tancreda, by opowiedział jej jakiś epizod z „chwalebnych walk” w Palermo. Oparła łokcie o obrus i przyłożyła dłoń do podbródka. Policzki miała silnie zaróżowione i trudno wprost było oderwać od niej oczy: linia jej ramienia, łokcia, palców obciążonych białą rękawiczką zachwycała Tancreda, napęniała niesmakiem Concettę. Młody człowiek, nie przerywając ani na chwilę swojej admiracji, opowiadał o wojnie lekceważącym tonem jak o rzeczach nie mających żadnego znaczenia.

Wspomniął marsz na Gibilrossę, zatarg między Bixiem i La Masa, atak na Porta di Termini<sup>19</sup>.

– Bawiłem się jak nigdy, proszę mi wierzyć. A już najbardziej uśmieliśmy się 28 maja wieczorem. Generał kazał nam zająć punkt obserwacyjny na szczycie góry w klasztorze Origlione. Walimy we wrota, dobijamy się, klniemy, nikt nie otwiera: był to klasztor z klauzurą. Wtedy Tassoni, Aldrigheitti, ja i jeszcze kilku innych próbujemy wyważyć drzwi muszkietami. Nic, ani drgną. Biegniemy do sąsiedniego zbombardowanego domu, przyciągamy stamtąd ciężką belkę, włamujemy się z piekielnym hałasem i w końcu dostajemy się do wewnątrz. Pusto, nikogo nie widać, ale z kąta korytarza dochodzą rozpaczliwe krzyki: grupka sióstr schroniła się do kaplicy i zawodziła przed samym ołtarzem; licho wie, czego się obawiały ze strony krewkich młodzieńców. Zabawny był widok tych starych i brzydkich mniszek w czarnych habitach, które wytrzeszczały oczy i przygotowane były na... męczeństwo. Skomlały jak suki. Tassoni, ten gagatek, zawołał: „Nic z tego; siostrzyczki, mamy inne zadanie do wykonania! Wrócimy, kiedy będą tu nowicjuszki!” A my w śmiech, tarzaliśmy się po podłodze ze śmiechu. No i musiały obejść się smakiem! Zostawiliśmy je i pobiegli na górę, żeby dać ognia z tarasu do wojska królewskiego. Dziesięć minut potem zostałem ranny.

Angelica, w dalszym ciągu oparta łokciem o stół, śmiała się ukazując zęby młodego wilczka. Ten żart wydał się jej doskonały; aluzja do gwałtu zmieszała ją; tętno pulsowało na jej pięknej szyi.

– Ale z was były gagatki! Jaka szkoda, że mnie tam z wami nie było!

Tancredi wyglądał jak odmieniony; frywolne opowiadanie i siła wspomnień, pomieszane z podnieceniem, w jakie wprawił go zmysłowy urok Angeliki, przeistoczyły go w jednej chwili z dobrze wychowanego młodzieńca w brutalnego żołdaka.

– Gdyby pani tam była, nie musielibyśmy czekać na nowicjuszki.

Angelice nieraz zdarzyło się słyszeć w domu wulgarne słowa, ale przytrafiło się jej po raz pierwszy (i nie ostatni!), że stała się przedmiotem pieprznego dwuznacznika; ta nowość spodobała się jej i wybuchnęła histerycznym śmiechem.

W tym samym momencie wszyscy wstawali od stołu; Tancredi pochylił się, by podnieść

---

<sup>19</sup> Gibilrossa i Porta di Termini – miejscowości, w których doszło do starć garibaldczyków z wojskami Burbonów. Nino Bixio (1821-1873) – jeden z najbardziej energicznych i odważnych oficerów Garibaldiego. Giuseppe La Masa (1819-1881) – patriota sycylijski, który współpracował z Garibaldim podczas wyprawy na czele Tysiąca, a następnie był deputowanym lewicy.

wachlarz, z piór, który upuściła Angelica; gdy się podnosił, spostrzegł, że Concetta ma wypieki na twarzy i łzy w oczach.

– Tancredi, takie rzeczy mówi się spowiednikowi, nie opowiada się ich przy stole młodym pannom, a zwłaszcza w moim towarzystwie.

I odwróciła się do niego plecami.

Przed udaniem się na spoczynek don Fabrizio przystanął na chwilę na balkoniku swojej garderoby. W dole spał pogrążony w mroku ogród; w nieruchomym powietrzu drzewa robiły wrażenie odlanych z ołowiu; z groźnie zarysowującej się w ciemnościach dzwonnicy dolatywało baśniowe pohukiwanie puszczyków. Niebo było pogodne: chmury, które pojawiły się przed wieczorem, odpłynęły gdzie indziej, do innych, mniej grzesznych wsi i miasteczek, którym gniew Boży wyznaczył mniejszą karę. Gwiazdy wyglądały lęklivo, ich promienie z trudem przenikały przez zasłone rozżarzonego powietrza.

Dusza księcia wyrwała się do nich, do tych gwiazd nieuchwytnych, niedosiężnych, które dawały szczęście nie żądając nic w zamian; jak zawsze na ich widok, zaczął marzyć o tym, by jak najszybciej znaleźć się w tych mroźnych przestworzach jako czysty intelekt uzbrojony w notatnik do obliczeń matematycznych; obliczenia te należały do najtrudniejszych, ale zgadzały się zawsze. „Te gwiazdy są jedynymi czystymi, jedynymi prawymi istotami – myślał kategoriami światowca. – Kto troszczy się o posag Plejad, o karierę polityczną Syriusza, o tajemnice alkowy Vegi?” Dzień był paskudny, uświadamiał to sobie teraz nie tylko z powodu ucisku w żołądku, ale mówiły mu to także gwiazdy. Nie widział ich tak, jak układały się zwykle na niebie, lecz za każdym razem, gdy podnosił oczy, dostrzegał na firmamencie tylko jedną figurę geometryczną: dwie gwiazdy w górze – oczy, jedna niżej – czubek brody. Ten szyderczy schemat trójkątnej twarzy był odbiciem jego duszy na konstelacjach niebieskich, co zdarzało się zawsze, gdy był czymś wstrząśnięty. Frak don Calogera, miłość Concetty, aż nazbyt widoczne podniecenie Tancreda, jego własne tchórzostwo, nawet groźna uroda Angeliki – jakie to wszystko niskie; spadające kamienie, które poprzedzają lawinę. No, a ten Tancredi! Miał rację, zapewne; sam by mu pomógł, gdyby przyszło co do czego. Ale swoją drogą w jego zachowaniu było coś nikczemnego. A on sam nie był lepszy. „Dosyć, nie roztrząsajmy tego dłużej!”

W mroku Bendicò ocierał się łbem o jego kolano.

– Widzisz, Bendicò, i ty jesteś trochę podobny do nich, do gwiazd: jesteś szczęśliwie bezrozumny, nikogo nie możesz zasmucić. – Uniósł pysk psa, prawie niewidoczny w ciemności. – A przy tym masz oczy osadzone na tym samym poziomie co nos, brak ci brody, a więc nie możesz dojrzeć tam w górze szyderczego odbicia własnej głowy.

Odwieczny obyczaj wymagał, by nazajutrz po przyjeździe do Donnafugaty rodzina Salina odwiedziła klasztor Santo Spirito. Odbywano tam modły nad grobem błogosławionej Corbery, prababki księcia, która założyła ten klasztor, wyposażyła go, prowadziła tam świątobliwy żywot i umarła jak święta.

Klasztor Santo Spirito był poddany ostrej regule klauzury i wejście doń było surowo wzbronione mężczyznom. I właśnie dlatego książę tak chętnie go odwiedzał, bowiem on, potomek w prostej linii fundatorki, nie był objęty owym zakazem; dzielił ten swój przywilej tylko z królem Neapolu, co bardzo sobie cenił i z czego był dziecinnie dumny.

Lecz nie była ta jedyna przyczyna, dla której tak lubił klasztor Santo Spirito. Podobało mu się tam wszystko, poczynając od ubożuchnej, prymitywnej rozmównicy z beczkowym sklepieniem ozdobionym pośrodku Lampartem, z podwójną kratą okienka, przez które rozmawiało się z zakonnicami, z małym drewnianym kołem, które obracano przy odbieraniu i oddawaniu przesyłek, i z mocno okutymi drzwiami, których próg wolno było legalnie przestąpić tylko dwóm mężczyznom na świecie – królowi i jemu. Podobał mu się wygląd mniszek w szerokich, śnieżnobiałych, drobno plisowanych kryzach, odcinających się od

czarnych habitów; za każdym pobycem umacniał się na duchu, słuchając po raz nie wiadomo który opowiadań matki przełożonej o naiwnych cudach błogosławionej, odwiedzając w melancholijnym ogrodzie ów zakątek, gdzie święta zakonnica zawiesiła w powietrzu ogromny kamień rzucony w nią przez szatana rozwścieczonego jej ascetycznym życiem; zdumiewał się zawsze widząc na ścianie jednej z cel dwa oprawione w ramki słynne i nieczytelne już listy: list błogosławionej Corbery, który napisała do szatana, by nawrócić go na drogę cnoty, i odpowiedź wyrażającą jakoby żal z powodu niemożności wysłuchania tej prośby; smakowały mu migdałowe nugaty przyrządzane przez mniszki według prastarych przepisów, lubił słuchać oficjum na chórze, a nawet sprawiało mu przyjemność wypłacanie temu zgromadzeniu niemałej części swoich dochodów, jak nakazywał akt fundacji.

Tak więc tego ranka wszyscy byli zadowoleni, gdy wyruszyli dwiema karetami do klasztoru położonego tuż za miasteczkiem. W pierwszej karecie jechali książę i księżna z córkami Caroliną i Concettą, w drugiej młodsza córka Caterina, ojciec Pirrone i Tancredi; dwaj ostatni mieli oczywiście pozostać *extra muros*<sup>20</sup> podczas wizyty i czekać w rozmównicy, pocieszając się migdałowymi nugatami, które siostry wkładały w koło. Concettą była trochę roztargniona, ale pogodna, co napełniło księcia nadzieją, że wywietrzały jej z głowy wczorajsze kaprysy.

Przestąpienie klauzury nawet dla osób, które mają do tego pełne prawa, nie jest takie proste. Zakonnice lubią się drożyć, chociaż jest to zwykła formalność, która zresztą dodaje smaku udzielonemu pozwoleniu. Tak więc choć wizyta zapowiedziana była z góry, oczekiwanie w rozmównicy trwało dość długo. I właśnie pod koniec tego oczekiwania Tancredi niespodziewanie zagadnął księcia:

– Wuju, czy nie mógłbyś się postarać, żebym wszedł razem z tobą? Ostatecznie jestem w połowie Saliną i nigdy tam nie byłem.

Książę w głębi duszy był rad z tej prośby, ale potrząsnął głową przecząco:

– Ależ, synu, wiesz przecież, że tylko ja mam prawo tam wejść; dla innych wstęp jest wzbroniony.

Niełatwo było jednak przekonać Tancreda.

– Wybacz, wujaszku, ale: „może wejść książę Salina wraz z dwoma szlachcicami ze swojej świty, o ile pozwoli na to przeorysza”; przeczytałem to ponownie wczoraj. Będę szlachcicem z twojej świty, twoim koniuszym, czym tylko zechcesz. Zwróć się o pozwolenie do matki przełożonej, proszę cię o to.

Przemawiał niezwykle u niego, niemal błagalnym tonem; pragnął może, by jedna z obecnych osób zapomniała o jego wczorajszej niewłaściwej rozmowie. Księżciu wyraźnie pochlebił zapal siostrzeńca:

– Jeśli tak ci na tym zależy, mój drogi, zobaczymy...

Lecz nagle Concetta z czarującym uśmiechem zwróciła się do kuzyna:

– Zauważyłam po drodze belkę przed domem Ginestry. Przynieś ją, to prędzej wyłamiesz drzwi!

Niebieskie oko Tancreda spochmurniało, zrobił się czerwony jak burak, nie wiadomo czy ze wstydu, czy ze złości. Chciał coś powiedzieć do zaskoczonego księcia, ale Concetta odezwała się znowu, tym razem z nie ukrywaną złośliwością i bez uśmiechu:

– Nic mu nie wierz, papo, on żartuje. Był już w jednym klasztorze i to mu powinno wystarczyć; w naszym nie powinien się pokazywać.

Zgrzytnęły zasuwki i otworzyły się okute drzwi.

Z wnętrza klasztoru wpadł do dusznej rozmównicy świeży wiew powietrza i gwar zgromadzonych u progu mniszek. Było za późno na pertraktacje w sprawie Tancreda. Został więc za drzwiami, po czym wyszedł na dwór i zaczął spacerować pod rozprążonym niebem.

---

<sup>20</sup> Poza murami.

Wizyta w Santo Spirito doskonale się udała. Don Fabrizio, dla świętego spokoju, nie pytał Concetty, co znaczący jej słowa; zresztą szło zapewne o jedną z błahych sprzeczek wybuchających często między kuzynostwem; bądź co bądź kłótnia dwojga młodych oddalała na razie przewidywane utrapienia, dyskusje i konieczność powzięcia decyzji, była więc po prostu opatrnościowa. W głębokim skupieniu uczczono grób błogosławionej Corbery, z pobłażaniem wypito cienką kawkę podaną przez mniszki, z przyjemnością chrupano różowe i zielone nugaty. Księżna zrobiła przegląd bielizny klasztornej, Concetta gawędziła z zakonnicami z właściwą jej powściągliwą uprzejmością, on, książę, starym zwyczajem, zostawił na stole w refektarzu dziesięć dukatów. Co prawda, wychodząc zastali przed klasztorem tylko ojca Pirrone, ale skoro dowiedzieli się, że Tancredi wrócił piechotą do pałacu, by napisać jakiś pilny list, nie przejęli się jego zniknięciem.

Po powrocie do pałacu książę poszedł na górę do biblioteki, która znajdowała się pośrodku frontowej fasady, pod zegarem i pod piorunochronem. Z dużego balkonu, zamkniętego w tej chwili dla ochrony przed upałem, widać było plac Donnafugaty, szeroki, ocieniony zakurzonymi platanami. Fasady niektórych domów, stojących naprzeciw, były dziełem natchnienia domorosłych architektów: wiejskie potwory budowane z kamienia, wygładzonego zębem czasu, ozdobione były pretensjonalnymi, nieproporcjonalnie małymi balkonami; inne domy, między nimi dom don Calogera Sedàry, kryły się za wstydliwymi fasadkami w stylu Cesarstwa.

Don Fabrizio spacerował tam i z powrotem po olbrzymim pokoju od czasu do czasu rzucając okiem w kierunku placu. Na jednej z ławek ofiarowanych przez niego gminie trzech staruszków smażyło się na słońcu; do drzewa przywiązane były cztery muły; kilkunastu wisusów biegało dokoła krzycząc i wymachując drewnianymi szablami. Trudno było o bardziej wiejski krajobraz pod tym rozszalałym słońcem. Ale gdy po chwili znowu zerknął w okno, spojrzenie jego przyciągnęła typowo miejska sylwetka: prosta, szczupła, wytworna. Wytężył wzrok – to był Tancredi. Choć znajdował się już w sporej odległości od pałacu, poznał go po spadzistych ramionach i wąskiej talii podkreślonej jeszcze krojem surduta. Przebrał się; nie miał już na sobie brązowego ubrania, jak w klasztorze, ale niebieskie, w odcieniu błękitu pruskiego, o którym mówił zawsze: „To kolor moich podbojów.” Trzymał w ręku laskę z emaliowaną gałką (musiała to być ta z Jednorożcem Falconerich i z godłem *Semper purus*<sup>21</sup>). Stąpał lekkim krokiem jak kot, jak ktoś, komu zależy na tym, by nie zakurzyć sobie butów. Za nim, w odległości dziesięciu kroków, szedł służący, który niósł ozdobiony wstążkami kosz – leżało w nim kilkanaście żółtych brzoskwiń z różowymi policzkami. Odsunął chłopaczka z drewnianą szablą, który stanął mu na drodze, starannie wyminął pozostawioną przez muła kałużę. Doszedł do domu Sedàry.

---

<sup>21</sup> Zawsze bez skazy.



### Rozdział III

*Wyjazd na polowanie – Kłopoty don Fabrizia – List Tancreda – Polowanie i plebiscyt – Don Ciccio Tumeo wyraża swoje oburzenie – Jak się je ropuchę – Krótki epilog.*

*Październik 1860*

Deszcze przyszły, deszcze minęły; słońce znowu wstąpiło na tron niczym monarcha absolutny, wygnany na tydzień przez barykady podwładnych, który powraca do władzy gniewny, ale skrępowany kartą konstytucji. Ciepło nie dokuczało już, ale krzepiło, światło nadal się panoszyło, ale nie unicestwiało kolorów, z ziemi wyrastała koniczyna i nieśmiała mięta, na twarzach widniały nieufne nadzieje.

Don Fabrizio razem z Teresiną i Argutem oraz z nieodstępnym don Cieciami Tumeo spędzali na polowaniach długie godziny, od świtu do późnego popołudnia. Ów trud był niewspółmierny z rezultatem, ponieważ nawet najlepszemu strzelcowi trudno jest trafić do zwierzyny, której prawie nie ma; było dużym sukcesem, jeśli książę po powrocie z polowania mógł odesłać do kuchni parę kuropatw, tak samo jak don Ciccio uważał się za szczęśliwego rzucając na stół dzikiego królika, który, zgodnie z naszym obyczajem, otrzymywał ipso *facto* awans na zająca.

Zresztą, obfita zdobycz byłaby dla księcia drugorzędną przyjemnością; rozkosz dni spędzanych na polowaniu polegała na czym innym i składała się z bardzo wielu drobnych epizodów. Zaczynała się od golenia w ciemnym jeszcze pokoju, przy płomyku świecy, który z patosem odbijał każdy gest na pokrytym malowidłami suficie; pogłębiała się w mijaniu uspionych salonów, gdzie stały stoliki do gry, pełne pustych kieliszków, sztonów i porozrzucanych kart, z których walet pikowy wychylał się ku niemu z męskim pozdrowieniem; w przejściu przez ogród, martwy w szarawym oświetleniu, w którym najwcześniej budzące się ptaki strzepywały ze skrzydeł krople rosy; w przeciskaniu się przez maleńką, zarosniętą bluszczem furtkę, słowem – w ucieczce! Potem na drodze, nie splamionej jeszcze ludzką stopą o tak wczesnej godzinie, spotykał don Cieciami uśmiechającego się pod pozółkłym wąsem i czule przeklinającego psy, które w gorączce oczekiwania napinały mięśnie pod aksamitną sierścią. Wenus błyszczała jak ziarnko wyjęte z winnego grona, przezroczyste i wilgotne, lecz zdawało się, że już słychać turkot słonecznej kwadrygi podjeżdżającej stromą drogą do linii horyzontu; niedługo potem napotykali pierwsze stada, popędzane kamieniami przez bosych pasterzy, sunące naprzód leniwie jak mętne wody przypływu; wehnieste grzbiety owiec były miękkie i różowe w pierwszym blasku jutrzeńki; po drodze trzeba było uśmierzać gwałtowne zatargi wyźłów z psami owczarskimi; po tych ogłuszających przerwach w marszu, skręcali z boczem wzgórza i zagłębiali się w odwieczną ciszę pasterskiej Sycylii. Nagle wszystko oddaliło się nieskończenie w przestrzeni i bardziej jeszcze w czasie. Donnafugata ze swoim pałacem, ze swymi nowobogackimi była odległa zaledwie o dwie mile, lecz jej wspomnienie spłowiejało jak dalekie krajobrazy widywane czasem przez wylot tunelu kolejowego; jej troski i jej przepych wydawały się jeszcze mniej ważne, niż gdyby należały do przeszłości, bo w porównaniu z, tym niezmiennym od wieków ustroniem zdawały się być dopiero sprawą przyszłości, nie czymś z kamienia i ciała, ale czymś wysnutym z przędzy marzeń, owocem jakiejś utopii wykołysanej przez wiejskiego Platona; wystarczyłby drobny przypadek, żeby to wszystko uległo zmianie albo przestało istnieć. Tak więc pozbawione tej odrobiny dynamiki, jaką zachowuje w sobie wszystko, co należy już do przeszłości, te troski i ten przepych Donnafugaty nie mogły już przyprawiać o

udrękę.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy don Fabrizio miał wiele kłopotów; zbiegały się zewsząd jak mrówki w ataku na zdechłą jaszczurkę. Niektóre z nich wynikały z sytuacji politycznej; inne spadły mu na kark z powodu cudzych namiętności; inne jeszcze (i te były najbardziej dotkliwe) kielkowały z jego wnętrza, to znaczy z niedorzecznej reakcji na sprawy polityczne i na kaprysy bliźnich („kaprysami” nazywał w chwilach rozdrażnienia to, co w chwilach spokoju określał jako „namiętności”); i robił codzienny przegląd tych kłopotów, wysyłał je na manewry, zbierał w pułki, ustawiał w szeregu na placu musztry swojego sumienia, w nadziei, że dostrzeże w tych operacjach jakiś sens, który mógłby go pocieszyć; nie udawało mu się to jednak. W latach ubiegłych trosk było o wiele mniej, a przynajmniej pobyt w Donnafugacie stanowił okres wypoczynku; utrapienia rzucały broń, ginęły w krętych wąwozach, były tak potulne, tak zajęte zjadaniem chleba i sera, że zapominało się o ich bojowych mundurach i można je było wziąć za spokojnych chłopów zajętych orką. Tego roku natomiast jak tłuszcza rozwrzeszczanych, wygrażających bronią żołdaków obległy jego dom. i budziły w nim lęk podobny do lęku pułkownika, który wydaje rozkaz: „Rozejść się!”, i widzi, że żołnierze dalej stoją w szeregu, przybierając groźną postawę.

Orkiestry, muszkiety, dzwony, *Zingarelle* i *Te Deum* w chwili przyjazdu, wszystko to ślicznie – ale potem! Rewolucja burżuazyjna wkraczała na jego schody we fraku don Calogera, piękność Angeliki usuwała w cień nobliwą urodę jego Concetty, Tancredi przyspieszał bieg przewidzianych wypadków, co więcej, powodowany zaślepieniem zmysłowym, mógł idealizować interesowne motywy swego postępowania; skrupuły i dwuznaczne sytuacje związane z plebiscytem; tysiące wybiegów, do których musiał uciekać się on, Lampart, który przez lata całe odsuwał od siebie trudności jednym machnięciem łapy.

Tancredi wyjechał już przed miesiącem i przebywał teraz w Casercie, na dworze swojego króla; pisywał stamtąd dość często do don Fabrizia, który czytał jego listy powściągając na przemian uśmiechy i pomruki; potem chował te arkusiki do najtajniejszych skrytek biurka. Do Concetty nie napisał ani razu, ale nigdy nie zapominał jej pozdrowić ze zwykłą serdeczną ironią; pewnego razu nawet zakończył list tak: „Ucałowania rączek dla wszystkich Lamparcie, a przede wszystkim dla Concetty.” Owo zdanie, skonfiskowane przez cenzurę ojcowskiej zapobiegliwości, było pominięte przy głośnym odczytaniu listu zgromadzonej rodzinie. Angelica, piękniejsza niż kiedykolwiek, prawie codziennie przychodziła z wizytą do pałacu; odprowadzał ją albo ojciec, albo podobna do więdźmy służąca. Oficjalnie przychodziła do swoich przyjaciółeczek, do księżniczek, ale wyczuwało się, że cel jej wizyty był osiągnięty dopiero wtedy, gdy zapytywała obojętnie:

– Czy nadeszły jakieś wiadomości od księcia?

Słowo „książę” w pięknych ustach Angeliki nie odnosiło się, niestety, do niego, don Fabrizia, ale do garibaldczyka-kapitana, co wywoływało u Saliny śmieszne uczucie przetykane szorstką nicią zazdrości zmysłowej i jedwabiem zadowolenia z sukcesu ukochanego Tancreda; uczucie, w ogólnym podsumowaniu, raczej niemiłe. Na to pytanie zawsze odpowiadał on; w jak najbardziej przemyślanej formie mówił to, co wiedział, starannie oczyszczając gałązki nowin, które jego przezorna cenzura pozbawiała kolców (wzmianki o częstych wyjazdach do Neapolu, niedwuznaczne aluzje na temat pięknych nóżek Aurory Schwarzwald, baletniczki z opery „San Carlo”) oraz przedwcześnie rozwijających się pączków („Napisz, co słyhać u panny Angeliki?”, „W gabinecie Ferdynanda II widziałem *Madonnę* Andrea del Sarto, która przypomniła mi pannę Sedàra”). Tym sposobem kreślił bezbarwną sylwetkę Tancreda, daleko odbiegającą od rzeczywistości, lecz nie można mu było zarzucić, by odgrywał rolę intryganta lub swata. Owa oględność w słowach doskonale szła w parze z tym, co odczuwał wobec wyrozumowanej namiętności Tancreda; jednakże drażniło go to i nużyło zarazem. Była to zresztą tylko drobna część przeróżnych sztuczek, które musiał

od pewnego czasu stosować niemal we wszystkim, co mówił i robił. Z żalem wspominał sytuację sprzed roku, kiedy mógł mówić wszystko, co myślał, pewien, że każde głupstwo przyjęte będzie jak dogmat, a każda niedyskrecja pójdzie na karb książęcej nonszalancji. Gdy raz wstąpił na drogę smętnego rozpamiętywania przeszłości, w momentach szczytowej depresji zapędzał się niemal na kraniec tej niebezpiecznej pochyłości. Pewnego razu, wsypując cukier do herbaty podanej mu przez Angelikę, uświadomił sobie, że zazdrości owym Fabriziom Salina i Tancredom Falconeri sprzed trzystu lat, którzy mogli folgować chęci ,przespania się z ówczesnymi Angelicami, nie stając przed proboszczem, nie interesując się ich posagami (które zresztą wtedy nie istniały) i nie skazując swoich szacownych wujów na ekwilibrystyczne wyczyny w sztuce maskowania prawdy. Impuls dziedzicznej lubieżności (która nie była lubieżnością w pełnym znaczeniu tego słowa, ale swoistą pobudliwością zmysłową płynącą z lenistwa) był tak brutalny, że ten kulturalny, dobiegający pięćdziesiątki arystokrata, którego musnął wpływ romantyzmu Rousseau, zaczerwienił się i zawstydził głęboko. Z tego powodu przybrał w nim jeszcze na sile bunt przeciwko nowym warunkom społecznym, których konsekwencje tak mu się dawały we znaki.

Uczucie, że jest więźniem sytuacji, która rozwijała się o wiele szybciej, niż się tego było można spodziewać, wyjątkowo dotkliwie zaciążyło mu tego ranka. Bowiem wczorajszego wieczoru kanarkowożółty dylizans, dostarczający nieregularnie nieliczną pocztę do Donnafugaty, przywiózł mu list Tancreda. Zanim jeszcze go przeczytał, domyślił się jego znaczenia na widok luksusowych arkusików welinowego papieru zapisanych harmonijnym pismem przestrzegającym skrupulatnie zasad kaligrafii: górne pałeczki liter były proste, dolne zakręcone. Rzuciło się w oczy, że jest to list przepisany „na czysto” z Bóg wie ilu nagryzmołonych uprzednio kartek. W nagłówku nie było starego zwrotu „Wujaszku”, który książkę tak lubił; chytry garibaldczyk zastąpił go przemyślną formułką: „Ukochany wuju Fabrizio”, która posiadała rozliczne zalety: eliminowała żartobliwą atmosferę już u wrót świątyni, zapowiadała w pierwszej linijce wagę tego, co nastąpi dalej, umożliwiała pokazanie tego listu każdemu i nawiązywała do prastarych, przedchrześcijańskich tradycji religijnych, które przypisywały ogromne znaczenie dokładnemu sprecyzowaniu wzywanego imienia.

Tak więc „ukochany wuj Fabrizio” został powiadomiony, że jego „bardzo kochający i bardzo oddany siostrzeniec” był od trzech miesięcy w szponach najgwałtowniejszej miłości; że ani „niebezpieczeństwa wojny” (czytaj: „spacery po parku w Casercie”), ani „liczne atrakcje wielkiego miasta” (czytaj: „wdzięki baletnicy Schwarzwald”) nie zatarły nawet na chwilę wyrytego w jego sercu i myślach obrazu panny Angeliki Sedàra (tu następował długi spis przymiotników wynoszących pod niebo piękność, wdzięk, cnoty i intelekt wybranki serca); dalej, wypielegnowane zawijasy pióra donosiły, że on, Tancredi, czując się niegodny swej ukochanej, usiłował zabić w sobie ową miłość. („Długie to były godziny, w których wśród zgiełku Neapolu, wśród surowych towarzyszy broni usiłowałem stłumić moje uczucia, na próżno!”) Teraz jednak miłość przewyciężyła wszelkie hamulce, a więc oddany siostrzeniec zwracał się do ukochanego wuja, by w jego imieniu poprosił o rękę Angeliki „jej wielce szanownego ojca”. „Sam wiesz najlepiej, wuju, że nie mogę ofiarować wybrance mojego serca nic prócz mojej miłości, mojego nazwiska i mojej szpady.” Po tym zdaniu, co do którego nie należy zapominać, że rzecz dzieje się w epoce rozkwitu romantyzmu, Tancredi rozwodził się na temat potrzeby, a nawet konieczności łączenia węzłem małżeńskim rodzin takich jak Falconeri i Sedàra. Posunął się nawet tak daleko, że napisał zuchwale „dom Sedàra”. Tego rodzaju związki odświeżą krew starych rodów i przyczynią się do wyrównania warstw społecznych, co było jednym z celów aktualnego ruchu politycznego w Italii. Książkę czytał z przyjemnością jedynie tę część listu; nie tylko dlatego, że potwierdzała ona w pełni jego przewidywania, wieńcząc mu skroń laurem proroka, ale z tej przyczyny (ciężko byłoby powiedzieć „przede wszystkim”), że styl tchnący ukrytą ironią ukazywał mu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, postać siostrzeńca; słyszał jego szyderczy nosowy głos,

widział uprzejme uśmieški i złośliwe błyski niebieskich oczu. Kiedy się później zorientował, że ów jakobiński fragment mieścił się z precyzyjną dokładnością na jednym arkusiku, by w miarę potrzeby można było odczytać list opuszczając rozdziałik rewolucyjny, jego podziw dla taktu Tancreda osiągnął zenit. Po krótkim sprawozdaniu z ostatnich wydarzeń wojennych i wyrażeniu nadziei, że w ciągu roku przyjdzie do podbicia Rzymu, „wybranego na majestatyczną stolicę nowej Italii”, siostrzeniec dziękował za serdeczność i opiekę, jaką zawsze był otaczany. Przy końcu przeproszał za śmiałość, z jaką oddaje swoje sprawy w ręce wuja, „od którego zależy moje przyszłe szczęście”, i przesyłał pozdrowienia (tylko, dla niego).

Po pierwszym odczytaniu tego nadzwyczajnego fragmentu prozy księciu zakręciło się trochę w głowie: znowu zaskoczyło go zawrotne tempo historii; wyrażając to samo bardziej nowocześnie, powiemy, że don Fabrizio poczuł się jak współczesny człowiek, który myśląc, że wsiada do samolotu starego typu kursującego między Neapolem a Palermo, nagle zdaje sobie sprawę, że znalazł się w samolocie ponaddzwiękowym, którym dojedzie do celu swojej podróży, zanim jeszcze zdąży się przeżegnać. Względy uczuciowe natomiast sprawiły, że ucieszył się decyzją Tancreda, zapewniającą siostrzeńcowi przejściowe rozkosze cielesne i stały dobrobyt. Później jeszcze uderzyła go nuta niewiarygodnego tupetu młodego człowieka, który pisał o swoich zamiarach tak, jak gdyby uzyskał już zgodę Angeliki. W końcu jednak wszystkie te myśli pierzchły wobec uczucia głębokiego upokorzenia wywołanego koniecznością przeprowadzenia pertraktacji z don Calogierem w tak delikatnej materii; uświadomił sobie z niesmakiem, że będzie zmuszony zastosować taktykę pełną ostrożności i przebiegłych chwytów, co nie godziło się z jego rzekomo lwią naturą.

Don Fabrizio zakomunikował treść listu tylko żonie i zrobił to w momencie, kiedy położyli się już do łóżka przy świetle niebieskawego płomyka lampki oliwnej osłoniętej szklanym kloszem. Początkowo Maria Stella nic nie odpowiedziała, tylko raz za razem kreśliła znak krzyża na piersi; potem oświadczyła, że powinna się zegnać nie prawą, ale lewą ręką, bo nie posiada się ze zdumienia. Usiadła na łóżku i gdy palce jej nerwowo gniotły prześcieradło, rozpętały się równocześnie błyskawice jej wymowy, przecinając niczym gniewne pochodnie księżycową atmosferę przytulnej sypialni.

– I pomyśleć tylko, że ja się łudziłam, że on się ożeni z Concettą! To zdrajca, zdrajca jak wszyscy liberałowie; najpierw zdradził króla, teraz nas zdradza! On, z tą swoją twarzą pełną fałszu, z tymi słówkami słodkimi jak miód, z tymi postępkami przepojonymi trucizną! Oto co się dzieje, kiedy wpuszcza się do domu osoby nie ze swojej sfery! – Tu oddała salwę stosowaną w potyczkach rodzinnych: A nie mówiłam?! Ale mnie nikt nie słucha! Nigdy nie mogłam ścierpieć tego dandysa. Za to ty straciłeś dla niego głowę!

W rzeczywistości także księżna była pod urokiem Tancreda i bardzo go kochała; jednakże rozkosz wysunięcia argumentu: „A nie mówiłam?!”, dającego największą satysfakcję każdej ludzkiej istocie, kazała jej przekreślić prawdę i wyprzeć się sentymentu dla siostrzeńca.

– I teraz ma jeszcze czelność zwracać się do ciebie, księcia Salina, ojca dziewczyny, którą wywiódł w pole, z żądaniem, byś powiadomił o jego niegodnych zamiarach tego szalberza, ojca tej dziewczki! Ale ty tego nie zrobisz, Fabrizio, nie możesz tego zrobić, nie zrobisz tego, nie możesz tego zrobić!

Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy, ciało zaczynało się prężyć. Don Fabrizio leżał jeszcze na wznak, bez ruchu, i tylko zerknął w bok, by się upewnić, czy buteleczka z walerianą stoi na komodzie. Była tam i butelka, i oparta o jej korek srebrna łyżeczka; połyskiwały w seledynowym półmroku pokoju niczym budząca otuchę latarnia morska wzniesiona przeciwko historycznym nawałnicom. W pierwszej chwili chciał wstać i przynieść żonie walerianę, ale ograniczył się do tego, że usiadł na łóżku: odzyskiwał w ten sposób część swego autorytetu.

– Nie opowiadaj głupstw, Stello. Sama nie wiesz, co mówisz. Angelica nie jest dziewczką.

Może będzie nią w przyszłości, ale teraz jest młodą dziewczyną jak wszystkie inne, piękniejszą od innych, która chce po prostu zrobić dobrą partię; na pewno też, jak innym, Tancredi zawrócił jej trochę w głowie. I będzie miała pieniądze; po większej części nasze pieniądze, ale aż za dobrze procentujące w obrotnych rękach don Calogera; Tancredi bardzo tego potrzebuje; to pan z panów, o wielkich ambicjach, ale utracjusz. Nic nie obiecywał Concettie, a ona od czasu, jak przyjechaliśmy do Donnafugaty, traktowała go jak psa. I bynajmniej nie jest zdrajcą: idzie za głosem czasu, to wszystko, zarówno w polityce, jak w życiu prywatnym; zresztą to najmiłszy chłopak pod słońcem i ty, Stello, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Pięć olbrzymich palców musnęło jej małą główkę. Księżna łkała; miała tyle zdrowego rozsądku, że wypła łyk wody, i jej gniew przeszedł teraz w, rozżalenie. W księcia wstąpiła nadzieja, że nie będzie musiał wyskakiwać boso z ciepłego łóżka, co wcale mu się nie uśmiechało, bo w pokoju było już chłodnawo. By zapewnić sobie spokój na przyszłość, udał, że wpada we wściekłość:

– Nie życzę sobie słuchać tych wrzasków w moim domu, w moim pokoju, w moim łóżku! Koniec z tymi „zrobisz to”, „nie zrobisz tego”! Tutaj ja rządę, zdecydowałem, co mam robić, jeszcze kiedy ci się nawet o tym nie śniło, i basta!

On, który nie znosił krzyku, sam ryczał teraz na całe gardło, na ile mu starczyło siły w potężnej piersi. Zapominając w uniesieniu, że nie ma przed sobą stołu, z całej siły rąbnął pięścią we własne kolano. Zabolało go to i uspokoił się.

Wylękniona księżna skomlała cichutko jak przestraszone szczenię.

– A teraz już śpijmy! Jutro idę na polowanie i muszę wstać skoro świt. Dosyć! Będzie tak, jak zdecydowałem. Dobranoc, Stello.

Pocałował żonę najpierw w czoło, potem w usta. Wyciągnął się na łóżku i odwrócił do ściany obitej błękitnym jedwabiem, na którą jego leżąca pod kołdrą postać rzucała cień przypominający łańcuch górski rysujący się na pogodnym horyzoncie.

Stella także ułożyła się do snu, jej prawa noga dotykała lewej nogi księcia; spłynęło na nią wielkie ukojenie i pyszniła się tym, że ma za męża tak energicznego i dumnego mężczyznę. Mniejsza o Tancreda... nawet i o Concettę.

Te tańce na linie oraz przygnębiające myśli ustawały wśród patriarchalnej woni wsi, o ile można tak nazwać tereny codziennych polowań księcia. Przez określenie „wieś” rozumie się ziemię uprawioną ludzką ręką, natomiast rosnący na zboczach góry las był równie dziki i aromatyczny jak niegdyś, gdy bładzili po nim Fenicjanie, Dorowie i Jończycy, którzy ładowali na Sycylii, tej Ameryce starożytności. Don Fabrizio i Tumeo wspinali się pod górę, schodzili po stromych urwiskach, ześlizgiwali się kluci kolcami tak samo jak jakiś Archedamos czy Filostratos sprzed dwudziestu pięciu wieków. Widzieli to samo, co i tamci, taki sam lepki pot przemaczał im ubrania, ten sam obojętny, wiejący bez chwili przerwy wiatr poruszał żarnowcami i mirtami niosąc zapach tymianku. Nagłe przystawanie psów, ich patetyczne napięcie w oczekiwaniu zdobyczy, wszystko to odbywało się identycznie tak jak w czasach, kiedy na polowaniu wzywano imienia Artemidy. Sprowadzone do tych pierwotnych elementów po otrząśnięciu się z kurzu trosk, życie wyglądało znośnie. Tego ranka, na chwilę przed dojściem do szczytu pagórka, Arguto i Teresina rozpoczęły obrzędowy płas psów, które wywęszyły zwierzynę: czołgały się, przeżyły, ostrożnie podnosiły łapy, tłumili szczekanie; po kilku minutach jasnobrązowy tyłeczek zamigotał w wysokiej trawie i dwa jednocześnie oddane wystrzały położyły kres gorączce oczekiwania – Arguto złożył u stóp księcia konające zwierzątko.

Był to dziki królik; futerko w ochronnym kolorze gliny nie wystarczyło, by go uratować. Śrut rozszarpał mu pyszczek i pierś. Don Fabrizio zobaczył, że wpatrują się w niego duże czarne oczy, które pokryty się nagle niebieskawym bielmem. Patrzyły na niego bez wyrzutu, biło z nich tylko bolesne zdumienie, że taki jest porządek rzeczy na tym. świecie. Aksamitne

uszy były już zimne, zwinne łapki podrygiwały rytmicznie jak gdyby kontynuując bezcelową ucieczką: zwierzę konało w pełnej bólu i przerażenia nadziei ratunku, łudząc się, że ujdzie cało, podczas gdy los jego był już przesądzony, podobnie jak się to zdarza wśród ludzi. Gdy współczujące palce pogłaskały pyszczek królika, ten drgnął po raz ostatni i wyzionął ducha. Lecz obaj myśliwi byli syci chwały, a ponadto don Fabrizio połączył przyjemność zabijania z pokrzepiającą świadomością okazanego współczucia.

Skoro dotarli na szczyt góry, rzadko porośnięty tamaryszkiem i drzewami korkowymi, ujrzeni przed sobą krajobraz prawdziwej Sycylii, w porównaniu z którym barokowe miasta i gaje pomarańczowe są niczym; był to krajobraz wyżarty słońcem, falisty; niezliczone nagie, niemal nierzeczywiste wzgórza ciągnęły się jedno za drugim, bez końca. Niemożliwością było wyobrazić sobie, jak wyglądały ich kontury w natchnionym momencie stworzenia: przypominały morze, które skamieniało nagle w chwili, gdy raptowna zmiana wiatru zakotłowała fale. Donnafugata, skulona, kryła się w jakimś bezimiennym załamku terenu i nie było widać żywej duszy, jedynie rzędy krzewów winnej latorośli wskazywały na obecność człowieka. Z jednej strony, za linią wzgórz, widniała kryształowa plama w kolorze indy go: morze, bardziej jeszcze jałowe od ziemi. Lekki wietrzyk owiewał wszystko, przynosił zapach nawozu, padliny, szafwii, kołysał, rozdmuchiwał, przekształcał swoim nonszalanckim rozmachem wszystko, cokolwiek napotykał na drodze; osuszał na trawie krople krwi – ostatni ślad, jaki pozostał po króliku – pędził dalej, bardzo daleko, i targał czuprynę Garibaldiego, i dalej jeszcze oślepiął tumanami kurzu oczy burbońskich żołnierzy, którzy z nerwowym pospiechem umacniali warowne mury Gaety<sup>22</sup> pełni nadziei równie rozpaczliwej, jak daremna ucieczka zwierzyny. W kolistym kręgu korkowych drzew księżę i organista wypoczywali: pili letnie wino z drewnianych manierek, jedli pieczoną kurę wyjętą z torby myśliwskiej księcia, przegryzając placuszkami posypanymi mąką, które przyniósł don Ciccio. Zajadali słodziutkie winogrona insolia, tak nieurodzliwe na oko, a tak znakomite w smaku; karmili pajdami chleba głodne wyżyły, które stały przed nimi w wyczekującej pozycji, nieustępliwe, jak komornicy domagający się zapłacenia należności. Ciepło „konstytucyjnego” słońca przyprawiało ich obydwu o błogą senność; niemal już zasypiali.

Ale choć wystrzał zabił królika, gwintowane armaty Cialdiniego<sup>23</sup> siały spustoszenie wśród żołnierzy burbońskich, południowy upał usypiał ludzi, nic nie mogło powstrzymać inwazji mrówek. Zwabione resztkami zgniłych winogron, wyplutych przez don Ciecia, zbiegały się zewsząd całymi oddziałami; pchało je naprzód pragnienie zagarnięcia tej odrobiny zgnilizny pomieszanej ze śliną organisty. Śmiało sunęły przed siebie, w rozsypce, lecz zdecydowanie; zatrzymywały się małymi grupkami po dwie, po trzy, by podzielić się wrażeniami, i na pewno wносиły pod niebo wiekuistą chwałę i przyszły dobrobyt mrowiska numer dwa pod drzewem korkowym numer cztery na szczycie Monte Morco. Potem wraz z innymi podejmowały marsz ku lepszej przyszłości; połyskliwe odwłoki tych imperialistów zdawały się wibrować entuzjazmem, a ponad ich szeregi rozbrzmiewały na pewno dźwięki hymnu.

W wyniku pewnych skojarzeń myślowych, które lepiej pominąć milczeniem, krzątanina tych owadów przeszkodziła księciu w drzemce i przypomniała mu dni niedawnego plebiscytu w Donnafugacie; owe dni nie tylko go zadziwiły, ale postawiły przed nim kilka nowych zagadek do rozwiązania; teraz, w obliczu obojętnej na te sprawy natury (z wyjątkiem mrówek), można było spróbować odgadnąć którąś z nich. Psy spały wyciągnięte i

---

<sup>22</sup> Gaeta – forteca na północnej granicy Królestwa Obojga Sycylii; jeden z ostatnich punktów oporu Burbonów na wyspie.

<sup>23</sup> Enrico Cialdini (1811-1892) – generał wojsk sabaudzkich, a potem włoskich. Kierował m. in. oblężeniem fortec w Gaecie i Mesynie, ostatnich dwu warowni Burbonów w rejonie Neapolu i na Sycylii. Był kolejno senatorem, naczelnym dowódcą wojsk włoskich podczas wojny z Austrią w 1866, a w końcu ambasadorem w Paryżu.

rozpłaszczone, ich sylwetki wyglądały jak wycinanki; wiszący do góry nogami na gałęzi królik chwiały się na wietrze wahadłowym ruchem; Tumeo, dzięki swojej fajce, dzielnie walczył z sennością i miał otwarte oczy.

– A wy, don Ciccio, jak głosowaliście dwudziestego pierwszego?

Biedaczysko wzdrygnął się; to niespodziewane pytanie zaskoczyło go, gdy znajdował się poza obrębem ochronnego żywopłotu przezorności, w którym krył się zawsze, zwyczajem wszystkich chłopów. Zawahał się więc, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Książę wziął jego zaskoczenie za strach i zdenerwował się:

– Chciałbym wiedzieć, kogo się boicie? Jesteśmy tu tylko my dwaj, wiatr i psy.

Lista świadków nie budziła, prawdę powiedziawszy, otuchy: wiatr jest przysłowiowym gadułą, a książę był tylko na pół Sycylijszym. Pełne zaufanie można było mieć jedynie do psów, i to tylko dlatego, że nie wydawały z siebie artykułowanych dźwięków.

Don Ciccio zdołał się już opanować i chłopska przebiegłość podsunęła mu właściwą, to znaczy nic nie mówiącą odpowiedź:

– Ekscelencja wybaczy, ale jego pytanie jest zbędne. Ekscelencja sam wie najlepiej, że w Donnafugacie wszyscy głosowali na „tak”.

Don Fabrizio wiedział o tym; i właśnie dlatego ta odpowiedź zmieniała maleńką zagadkę w zagadkę historyczną. Przed głosowaniem wiele osób przychodziło po radę do niego; wszystkich namawiał szczerze, by głosowali „tak”. Istotnie, don Fabrizio nie wyobrażał sobie, co by można zrobić innego zarówno wobec dokonanego faktu, jak wobec banalnej teatralności samego plebiscytu; tak ze względu na konieczność historyczną, jak i w przewidywaniu kłopotów, jakie ci biedni ludzie ściągnęliby na swoje głowy, gdyby wyszła na jaw ich negatywna postawa. Książę zauważył jednak, że wielu było takich, których nie przekonały jego słowa: wchodził tu w grę abstrakcyjny makiawelizm Sycylijszczyków, który często doprowadzał tych szlachetnych z natury ludzi do wznoszenia skomplikowanych rusztowań przebiegłości opartych na bardzo chwiejnych podstawach. Podobnie jak biegli w leczeniu lekarze, którzy prowadzą kurację opierając się na fałszywych analizach krwi i moczu, gdyż zbyt są leniwi, by je sprawdzić, ówcześni Sycylijszczyki zabijali w końcu pacjenta, czyli samych siebie, właśnie wskutek przerafinowanej chytryści, prawie nigdy nie opartej na realnej znajomości problemów albo ludzi, z którymi mieli do czynienia. Wielu z przyjeżdżających *ad limina gattopardorum*<sup>24</sup> uznawało za rzecz niemożliwą, by taki książę Salina głosował za rewolucją (tak w tej zapadłej mieścinie określano jeszcze ostatnie wydarzenia), i komentowało jego wypowiedzi jako ukrytą ironią mającą na celu osiągnięcie rezultatów wręcz przeciwnych niż to, do czego namawiał. Ci pielgrzymi (a należeli oni do najrzetelniejszych) wychodzili z jego gabinetu z porozumiewawczym – na ile im szacunek pozwalał – przymrużaniem oka, dumni, że przeniknęli sens książęcych słów, i zacierali ręce winszując sobie własnej przebiegłości właśnie w chwili, gdy ta całkowicie ich zawiodła. Inni natomiast po wysłuchaniu słów księcia wychodzili zgnębieni, w przekonaniu, że jest on albo odstępcą, albo głupcem, i byli zdecydowani bardziej niż kiedykolwiek nie iść za jego radą, lecz za głosem prastarego przysłowia, które każe wybrać raczej zło już znane niż nie wypróbowane jeszcze dobro. Wzbraniali się przed zatwierdzeniem nowej rzeczywistości narodowej także ze względów osobistych: czy to z powodów religijnych, czy też dlatego, że dawny ustrój świadczył im pewne dobrodziejstwa, a oni nie okazywali się dość zręczni, by natychmiast zadomowić się w nowym, czy po prostu dlatego, że podczas zamieszek w dniach wyzwolenia skradziono im parę kapłonów, kilka miarek bobu lub że dorobili się rogów. Słowem, co do kilkunastu osób książę miał „prawie pewność, że będą głosowali „nie”; była to niewielka mniejszość, jednakże nie pozbawiona znaczenia w tak małym okręgu wyborczym, jak Donnafugata. Poza tym należało wziąć pod uwagę, że odwiedzający go ludzie byli

<sup>24</sup> Dosł.: „do progów Lamparta”; tu: trawestacja zwrotu „*ad limina apostolorum*”, którym określa się obowiązkową podróż każdego biskupa do Rzymu.

miejscową śmietanką towarzyską i że wśród setek wyborców, którym nawet nie przyszło do głowy udać się po radę do pałacu, musiał być także pewien procent niezadowolonych. Tak więc książę obliczył sobie, że większości pozytywnych głosów w Donnafugacie przeciwstawi się około czterdziestu malkontentów.

Dzień plebiscytu był wietrzny i pochmurny; po ulicach krążyły grupki zmęczonych młodych ludzi, którzy mieli zatknięte za wstążki od kapeluszy karteczki z napisem „tak”. Szli wśród śmieci i papierów pędzonych przez wiatr, śpiewając piosenkę *Bella Gigugin*, która w ich ustach zmieniała się w arabską kołysankę: los, jakiemu poddać się musi każda skoczna melodyjka, jeśli chce, by śpiewano ją na Sycylii. Widać było także kilka „cudzoziemskich twarzy” (to znaczy z Girgenti); ludzie ci siedzieli w knajpie zzu<sup>25</sup> Menico i opiewali tam „wspaniałe losy postępowej Sycylii” zjednoczonej z odrodzoną Italią. Kilku chłopów, wyniszczonych fizycznie zarówno nadmiernym używaniem motyki, jak i przymusowymi okresami lenistwa i postu, przysłuchiwało się im bez słowa. Sплюwali, głośno wycierali nosy, ale milczeli jak zakłęci; milczeli tak uparcie, że chyba właśnie wtedy (jak powiedział później książę) „cudzoziemskie twarze” postanowiły spośród sztuk kwadrywium umieścić na pierwszym miejscu matematykę, przed retoryką.

Książę poszedł głosować około czwartej po południu; po jego prawej stronie kroczył ojciec Pirrone, po lewej don Onofrio Rotolo. Don Fabrizio podążał w stronę ratusza marszcząc jasne brwi i zasłaniając co chwila oczy dłonią: bał się, by to wietrzyko, niosące z sobą wszystkie napotykanne po drodze śmieci, nie przyprawiło go o zapalenie spojówek, do którego z natury miał skłonności; mówił ojcu Pirrone, że bez wiatru powietrze byłoby jak zapleśniała sadzawka, ale przy tym narzekał, że te orzeźwiający podmuchy wzbijają w górę wszelkie możliwe brudy. Ubrany był w ten sam czarny surdut, w którym przed dwoma laty złożył w Casercie wizytę królowi Ferdynandowi. Całe szczęście, że ten biedaczysko umarł w porę i nie doczekał dnia, który rozpętał niezdrowe wiatry i przypieczętował jego głupotę. Ale czy była to rzeczywiście głupota? W takim razie można by powiedzieć, że ktoś, kogo zmógł tyfus, umiera z głupoty. Przypomniał sobie tego króla usiłującego powstrzymać potop niepotrzebnych papierków. I nagle uświadomił sobie, ile bezwiednej prośby o litość biło z tej antypatycznej twarzy. Były to przykre myśli, jak przykre jest zawsze stwierdzenie faktu, że się coś zrozumiało za późno; postać księcia stała się nagle tak uroczysta i żałobna, jak gdyby postępował za niewidzialnym karawanem. Tylko impet, z jakim pod jego krokami rozpryskiwały się kamyki na drodze, zdradzał wewnętrzną rozterkę. Nie trzeba dodawać, że za wstążką cylindra nie miał zatkniętej żadnej kartki, lecz w oczach tych, którzy go znali, na połyskliwym pilśniu pojawiały się na przemian „tak” i „nie”.

Wchodząc do niewielkiej salki w ratuszu, gdzie odbywało się głosowanie, zdziwił się, że wszyscy członkowie komisji wyborczej wstali z miejsc, gdy jego potężna postać pojawiła się w drzwiach wypełniając sobą całą ich wysokość. Kazano odsunąć się na bok kilku chłopom, którzy weszli przedtem, i książę mógł bez czekania złożyć swoje „tak” w patriotyczne ręce don Calogera Sedary. Ojciec Pirrone w ogóle nie głosował, bo przezornie nie zameldował się na liście mieszkańców Donnafugaty. Don Nofrio wyjawiał swoją monosylabową opinię w tym skomplikowanym zagadnieniu plebiscytu stosując się do życzeń księcia; dokonał tego arcydzieła lakoniczności z takim zapalem, z jakim dzieci wypijają olej rycynowy. Potem wszyscy zostali zaproszeni, by „wypić lampkę wina” na górze w gabinecie burmistrza; ale ojciec Pirrone i don Nofrio wymówili się od tej wizyty, pierwszy pod pretekstem abstynencji, drugi bólu brzucha, i pozostali na dole. Tak więc don Fabrizio musiał sam iść na poczęstunek.

Za biurkiem burmistrza prezentował się okazale portret Garibaldiego; obok niego wisiał (już!) portret Wiktora Emanuela, umieszczony na szczęście po prawej stronie. Pierwszy z nich był bardzo pięknym mężczyzną, drugi odznaczał się wyjątkową brzydotą, obydwa

---

<sup>25</sup> Wuja.



jednak zbratani byli bujnym i gęstym zarostem, który prawie zasłaniał ich twarze. Na niskim stoliczku stał talerz ze starymi biszkoptami, upstrzonymi w żałobne cętki przez muchy, oraz dwanaście pękatek kieliszków napełnionych likierem; w czterech był czerwony likier, w czterech zielony i w czterech stojących w środku – biały. Ten naiwny symbol nowego sztandaru wywołał uśmiech księcia. Wybrał biały likier, jako prawdopodobnie najmniej niestrawny, a nie, jak można by przypuszczać, dla złożenia spóźnionego hołdu burbońskiej fladze. Zresztą wszystkie trzy gatunki likieru były równie słodkie, gęste i niesmaczne. Wszyscy mieli dość taktu, by nie wznosić toastów, a don Calogero nawet zaznaczył, że każda wielka radość jest niema. Potem pokazał księciu list od władz w Girgenti, które obwieszczały pracowitym obywatelom Donnafugaty, że przyznano im subwencję w wysokości 2000 lirów na założenie kanalizacji. Burmistrz wtrącił ze swej strony, że te roboty ma pewno zostaną ukończone w 1961 roku; było to jedno z tych przejęzyczeń, których mechanizm miał wytłumaczyć Freud dziesiątki lat później; na tym skończyło się przyjęcie.

Przed zachodem słońca kilka kurewek z Donnafugaty (nie brakło ich i tam, nie były wprawdzie zrzeszone, ale bardzo czynne, każda w swoim prywatnym przedsiębiorstwie) ukazało się na placu z trójkolorowymi wstążkami we włosach na znak protestu przeciwko odmówieniu kobietom prawa głosu; biedaczki spotkały się tylko z szyderstwem, nawet ze strony najbardziej zagorzałych liberałów, i szybko musiały się wycofać. Co nie przeszkodziło, by „Giornale di Trinacria” doniósł cztery dni później palermitańczykom, że „kilka przedstawielek płci pięknej w Donnafugacie, pragnąc zmanifestować niezłomną wiarę w nową, chwalebłą przyszłość Ojczyzny, defilowało ulicami wśród ogólnego poklasku patriotycznej ludności”.

Później punkt wyborczy został zamknięty i komisja zabrała się do obliczania głosów. Wieczorem otworzyły się drzwi środkowego balkonu Ratusza i ukazał się don Calogero w całej swojej krasie, przewiązany na biodrach trójkolorową szarfą; przy nim stanęli dwaj lokaje trzymający zapalone kandelabry, które zresztą zaraz zdmuchnął wiatr. Burmistrz obwieścił niewidzialnemu w ciemności tłumowi wyniki głosowania w Donnafugacie:

– Uprawnionych do głosowania 515; głosowało 512; „tak” 512, „nie” – 0.

Z głębi pogrążonego w mroku placu buchnęły okrzyki i oklaski; na balkoniku swojego domu Angelica w towarzystwie pokojówki-wiedźmy też biła brawo swoimi drapieżnymi rączkami; rozpoczęły się przemówienia najeżone superlatywami i pompatycznymi zwrotami, które obijały się po ciemku o ściany domów; wśród huku petard wysłano pismo do króla (nowego) i Garibaldiego; kilka trójkolorowych rakiet pomknęło z ciemnego miasta ku bezgwiazdnemu niebu. O ósmej wszystko się skończyło i nie pozostało nic prócz ciemności, jak co wieczór, jak zawsze.

Na szczycie Monte Morco wszystko było aż przejrzyste od rozżarzonej jasności, ale ponury osad tamtej nocy pozostał jeszcze w głębi duszy don Fabrizia.

To niemiłe uczucie, jakiego doznawał, było tym przykrzejsze, że nie mógł doszukać się jego przyczyny. Nie wypływało ono bynajmniej z ogólnopństwowych zagadnień, których rozwiązanie zapoczątkował plebiscyt. Wielkie interesy Królestwa (Obojga Sycylii), interesy arystokracji, jego prywatne korzyści wychodziły z tych wydarzeń okrojone, ale jeszcze żywotne. W tych okolicznościach byłoby nieprzyzwoitością żądać więcej, nie był to więc niepokój natury politycznej, jego źródło musiało kryć się o wiele głębiej, w przyczynach, które nazywamy irracjonalnymi, bo nasza świadomość nie umie do nich dotrzeć. Italia narodziła się tego pochmurnego wieczora w Donnafugacie; narodziła się tam, w tej zapomnianej mieścinie, tak samo jak w zniedołężniałym Palermo, jak w ruchliwym Neapolu, ale jakaś zła wróżka o nieznanym imieniu musiała być przy tym obecna. Tak czy owak, narodziła się i należało sobie życzyć, by się jej ustrój nie zmienił; każda inna byłaby gorsza. Zgoda. A jednak ten nieustający wewnętrzny niepokój musiał coś oznaczać. Książę czuł, że

wtedy, podczas tego zbyt suchego wyliczania cyfr, jak i podczas zbyt kwiecistych przemówień, ktoś czy coś umarło. Bóg jeden wie, w jakim zakątku kraju, w jakim zakamarku ludzkiego sumienia.

Lekki chłodek przepędził senność don Ciecica, imponująca postać księcia rozwiła jego obawy; dał teraz upust swojej pogardzie, niepotrzebnej zapewne, lecz niepozbowionej godności. Stojąc zaczął perorować w dialekcie: ta żalosna marionetka miała swoją śmieszna rację.

– Ja, ekscelencjo, głosowałem „nie”! „Nie”, sto razy „nie”! Wiem o tym, co mi ekscelencja mówił: konieczność, jedność, korzyści. I na pewno ekscelencja ma rację; ja się nie znam na polityce. Pozostawiam to innym. Ale Ciccio Tumeo, choć biedny, nędzny, w podartych portkach (tu poklepał starannie wszyte na pośladkach łąty w swoich myśliwskich spodniach), jest przyzwoitym człowiekiem i nie zapomniał wyświadczonych mu dobrodziejstw. A te świny z Ratusza mają odwagę połknąć mój głos, kaknąć i przerobić go, na co im się podoba! Ja powiedziałem „czarne”, oni mówią „białe”. Raz mogłem wreszcie powiedzieć to, co myślę, a ten krwiopijca Sedàra stawia na tym krzyżyk, zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle nie było, jakbym się wcale nie liczył, ja, Francesco Tumeo La Manna, syn zmarłego Leonarda, organista z kościoła parafialnego w Donnafugacie, który nigdy nie dał sobie w kaszę dmuchać! I pomyśleć tylko, że zadedykowałem mu skomponowany przeze mnie mazurek, kiedy się urodziła ta (ugryzł się w palec, by powściągnąć zbyt mocny epitet)... ta smarkata, jego córka!

W tym momencie wielki spokój spłynął na księcia – rozwiązał w końcu dręczącą zagadkę, wiedział teraz, kogo zabito w Donnafugacie oraz w innych miastach i miasteczkach tego wieczoru, kiedy wiatr wzbijał na ulicach tumany śmieci: zaufanie. Tak, zabito to dopiero co zrodzone uczucie, które należy otaczać najtroskliwszą opieką, którego utrwalenie usprawiedliwiłoby wiele dokonanych okrucieństw. „Nie” don Ciecica, pięćdziesiąt takich głosów w Donnafugacie, sto tysięcy w całym Królestwie nie zmieniłoby wyniku wyborów, wprost przeciwnie – nadałyby im większego znaczenia i uniknęłyby się niepotrzebnego rozjątrzenia ludzi. Przed sześcioma miesiącami słyszało się nieznoszący sprzeciwu, despotyczny głos, który powiadał tak: „Rób, co ci mówię, bo w przeciwnym razie poczęstuję cię kopniakami.” Teraz już odnosiło się wrażenie, że ową groźbę zastąpiły układne słowa lichwiarza: „Przecież sam podpisałeś. Nie widzisz? To takie proste. Musisz zrobić to, czego żądamy, no, bo spójrz tylko na weksel – twoja wola równa się mojej.”

Don Ciccio grzmiał dalej:

– Dla was, panów, to całkiem inna sprawa! Za jedno lenno więcej – można nie być wdzięcznym, ale wdzięczność za kawałek chleba staje się obowiązkiem. A jeszcze inaczej sprawa przedstawia się dla ludzi interesu, takich jak Sedàra: dla nich zysk jest prawem natury. Dla nas szaraczków jest tak, jak jest. Ekscelencja wie, że mój ojciec, świec Panie nad jego duszą, był łowczym w San Onofrio za Ferdynanda IV, kiedy byli tutaj Anglicy. Ciężko się żyło, ale zielony królewski mundur i srebrna blaszka budziły posłuch. Królowa Izabela Hiszpańska, która była wtedy diuszesa Kalabrii, kazała mnie uczyć i właśnie dzięki niej stałem się tym, czym jestem: organistą kościoła parafialnego, zaszczyconym łaskawością waszej ekscelencji; a kiedy w gorszych latach moja matka zwracała się o pomoc do dworu, zawsze przychodziło pięć dukatów zapomogi i można było na nie liczyć z taką pewnością jak na śmierć. Bo tam w Neapolu lubili nas, wiedzieli, że porządni z nas ludzie i wierni poddani; gdy król przyjeżdżał, klepał mojego ojca po ramieniu: „Don Lionà, chciałbym mieć wokół siebie więcej takich jak wy, którzy jesteście wierną podporą tronu i mojej osoby.” Potem adiutant rozdawał złote monety. Nazywają teraz jałmużną ową szczodrobliwą prawdziwych królów; tak ją nazywają, żeby sami nie musieli dawać, ale to była zasłużona nagroda za wierność. I jeśli dziś ci święci królowie i królowe spoglądają z nieba, to co powiedzą? „Syn don Leonarda Tumeo zdradził nas!” Dobrze chociaż, że w raju zna się prawdę. Wiem,

ekscelencjo, wiem, mówiło mi to wiele wysoko postawionych osób, że te łaski doznane od królów nic nie znaczą, że stanowią nieodzowną część ich zawodu. Może to i prawda, a nawet na pewno prawda. Ale pięć dukatów przychodziło, to fakt, i dzięki nim mogliśmy przetrwać zimę. I teraz, kiedy mogłem spłacić swój dług wdzięczności, nic z tego, „nie ma mnie”! Moje „nie” zmienia się w „tak”. Byłem „wiernym poddanym”, stałem się „zniechęconym burbończykiem”. Teraz wszyscy są zwolennikami dynastii sabaudzkiej, ale *savoiardy*<sup>26</sup> to ja sobie pogryzam do kawy!

Trzymając w dwóch palcach wymaginowany biskopt maczał go w wymaginowanej filiżance.

Don Fabrizio zawsze bardzo lubił don Ciccio, lecz było to uczucie oparte na współczuciu, jakie budzi człowiek, który za młodu wierzył w swoje przeznaczenie artysty i który uświadamiając sobie na starość, że nie starcza mu talentu, pracuje dalej zgodnie ze swoimi zamiłowaniem, ale na niższym szczeblu, rezygnując z ambitnych marzeń. I było mu go żal, że żyje w biedzie, którą znosił zresztą z wielką godnością. W tej chwili jednak odczuwał w stosunku do niego coś w rodzaju podziwu i słyszał w najskrytszych zakamarkach swojego dumnego sumienia głos, który pytał, czy czasami don Ciccio nie zachował się bardziej po pańsku niż księżę Salina. A tacy Sedàra, ci wszyscy Sedàra, poczynając od tego pionka, który poszachrował obliczenia plebiscytu w Donnafugacie, a kończąc na bardziej znamienitych w Palermo i w Turynie, czy nie popełnili oni zbrodni zadając gwałt sumieniom tych ludzi? Don Fabrizio nie mógł wówczas przewidzieć, że lenistwo i zobojętnienie, o które przez dziesiątki lat oskarżano później mieszkańców Południa, należało przypisać w dużej mierze owemu bezsensownemu przekreśleniu pierwszej nadarzającej się w tym kraju sposobności swobodnego wypowiedzenia swoich przekonań, Don Ciccio powiedział już wszystko, co leżało mu na sercu. Po szczerym, lecz rzadkim u niego wcieleniu w człowieka o surowych zasadach, don Ciccio wcielił się – co mu się zdarzało o wiele częściej i było równie naturalne – w snoba. Bowiem don Tumeo należał do zoologicznego gatunku „biernych snobów”, dzisiaj zwłaszcza tak niesłusznie pogardzanych. Oczywiście, słowo „snob” było nieznaną na Sycylii w 1860 roku; ale jak przed Kochem istniały prątki gruźlicy, tak i w tych jakże dawnych czasach istnieli ludzie, dla których racją bytu było ślepo słuchać, naśladować, a przede wszystkim nigdy w niczym nie uchybić oso, bom przewyższającym ich swoim pochodzeniem; snobizm jest bowiem rzeczywiście przeciwieństwem zawiści. W owym czasie różnie określano snoba – nazywano go „przywiązany”, „wiernym”, „oddany”; i taki snob żył sobie szczęśliwie, gdyż jeden nikły uśmiech jakiegoś arystokraty potrafił mu opromienić cały dzień; a ponieważ występował pod tak pochlebnym mianem, owe pokrzepiające łaski spływały nań częściej, niż to bywa dzisiaj. Tak więc snobistyczne przeczulenie don Ciccio podsunęło mu obawy, że uraził don Fabrizia; wszystkie jego wysiłki poszły w kierunku wyszukania jakiegoś środka zaradczego, który rozproszyłby chmury zebrane z jego, jak przypuszczał, winy na olimpijskim czole księcia; najskuteczniejszym sposobem wydała mu się propozycja podjęcia dalszego polowania i, jak się okazało, wybrał trafnie. Zaskoczone zniecka podczas popołudniowej drzemki dwa bekasy i drugi królik padły pod strzałami myśliwych, a strzały te były dzisiaj wyjątkowo celne i bezlitosne, ponieważ zarówno Salina, jak i Tumeo znajdowali wyrafinowaną przyjemność w utożsamianiu don Calogera z tą niewinną zwierzyną. Jednakże ani ta pukanina, ani te kłaczki futra i strzępki piór połyskujące przez sekundę po wystrzale w promieniach słońca nie wystarczyły tego dnia, by na dobre rozchmurzyć księcia; w miarę jak upływały godziny i zbliżał się czas powrotu do Donnafugaty, gnębiło go coraz bardziej upokorzenie i niepokój wobec bliskiej rozmowy z prostackim burmistrzem; nie pomagało nawet nazwanie Sedàrą zabitych bekasów i królika; i choć był już zdecydowany na przełknięcie tej obrzydliwej ropuchy, doznał potrzeby

---

<sup>26</sup> Po włosku gra słów: *casa Savoia* – dynastia sabaudzka, a *savoiardy* – rodzaj biskoptów.

zasięgnięcia bliższych informacji o wrogu, a raczej wysondowania opinii publicznej w związku z zamierzonym krokiem. I po raz drugi tego dnia ksiązę zaskoczył don Ciecchia niespodziewanym zapytaniem:

– Posłuchajcie no, don Ciccio, stykacie się z tyloma ludźmi w miasteczku, więc powiedzcie mi, co naprawdę myślą o don Calogerze w Donnafugacie?

Don Ciecchiowi wydawało się, że dostatecznie jasno wyraził swoją opinię o burmistrzu; już chciał ją potwierdzić, kiedy nagle przypomniał sobie to, co obilo mu się o uszy na temat umizgów Tancreda do Angeliki; zrobiło mu się nad wyraz nieprzyjemnie, że pozwolił sobie na oratorskie wystąpienia, które na pewno nie przypadły do smaku księciu, o ile zasłyszane plotki były prawdą; z drugiej strony, cieszył się, że nie powiedział nic obrażającego o Angelice, a nawet lekki ból, jaki jeszcze odczuwał we wskazującym palcu prawej ręki, podziałał na niego jak balsam.

– Ostatecznie, ekscelencjo, don Calogero Sedàra nie jest gorszy od innych ludzi, którzy wypłynęli na powierzchnię w ostatnich miesiącach.

Ten pochlebny sąd był raczej umiarkowany, ale wystarczył, by ksiązę przycisnął do muru don Ciecchia.

– Bo widzicie, don Ciccio, bardzo mi na tym zależy, żeby znać całą prawdę o don Calogerze i jego rodzinie.

– Prawda jest taka, ekscelencjo, że don Calogero jest bardzo bogaty, a przy tym ma wielkie wpływy; że jest bardzo skąpy (podczas pobytu córki na pensji jadali razem z żoną do spółki jedno jajko sadzone), ale kiedy trzeba, umie potrząsnąć sakiewką; a ponieważ każdy wydany grosz dostaje się w końcu do czyjejś kieszeni, stało się tak, że teraz wielu ludzi jest zależnych od niego; ale kiedy jest przyjacielem – jest przyjacielem, to trzeba przyznać; puścił w dzierzawę swoją ziemię i chłopcy żyły ze siebie wypruwają, żeby zapłacić wygórowane tenuty, za to miesiąc temu pożyczył pięćdziesiąt dukatów Pasqualowi Tripi, który pomagał mu w okresie lądowania. Dał mu tę pożyczkę bez procentów, co jest największym cudem, jaki wydarzył się od czasu, kiedy święta Rozalia położyła kres zarazie w Palermo. Zresztą jest przebiegły jak sam diabeł; trzeba go było widzieć waszej ekscelencji w kwietniu i maju tego roku – kręcił się jak mucha w ukropie, docierał wszędzie: bryką, wierzchem na mule, pieszo w pogodę i w niepogodę. I gdzie się tylko pojawił, organizowano tajne kółka, przygotowywano grant dla tych, którzy mieli nadzieję. Kara Boża, ekscelencjo, kara Boża! A widzimy dopiero początek kariery don Calogera: za kilka miesięcy zostanie deputowanym do parlamentu w Turynie, za kilka lat, kiedy będą wystawione na sprzedaż dobra kościelne, zagarnie za psie grosze lenno Marca i Fondachello, stanie się najmajętniejszym właścicielem ziemskim w całej prowincji. To jest don Calogero, ekscelencjo, jest taki, jaki powinien być nowy człowiek; szkoda tylko, że tak być musi.

Don Fabrizio przypomniał sobie rozmowę z ojcem Pirrone, która odbyła się przed kilkoma miesiącami w zalanym słońcem obserwatorium. Sprawdziło się to, co przewidywał jezuita; ale czy w takim razie nie było najmądrzejszą taktyką wciągnąć się do tego ruchu i wykorzystać go choćby częściowo dla dobra niektórych osób z własnego środowiska? Rozdrażnienie wywołane perspektywą rozmowy z don Calogerem zmniejszyło się.

– Ale jego rodzina, don Ciccio, jaka jest naprawdę jego rodzina?

– Ekscelencjo, żony don Calogera od wielu lat nie widział nikt oprócz mnie. Wychodzi z domu tylko na mszę, na pierwszą mszę o piątej rano, kiedy w kościele nie ma nikogo. O tej porze odprawia się ciche nabożeństwo, nie gram na organach, ale raz wstałem skoro świt specjalnie po to, żeby ją zobaczyć. Donna Bastiana przysła ze służącą, ja byłem ukryty za konfesjonalem. Początkowo nie widziałem jej twarzy, ale w kościele było tak duszno, że w pewnej chwili biedna kobieta nie wytrzymała i odrzuciła do tyłu czarny welon. Daję ekscelencji słowo honoru, że ona jest piękna jak słońce! Trudno się dziwić, że don Calogero, ten karaluch, trzyma ją z daleka od wszystkich. Jednakże i z najzazdrośniej strzeżonych

domów zawsze przeciekają jakieś wiadomości, służące plotkują i zdaje się, że donna Bastiana jest prymitywna jak zwierzę. Nie umie ani czytać, ani pisać, nie zna się na zegarze, podobno też z mówieniem jest kiepsko; to wspaniała klacz, ognista i dzika; nie umie nawet kochać rodzonej córki; nadaje się do łóżka, i tyle.

Don Ciccio, który był pupilem królowych i stronnikiem książąt, przykładał wielką wagę do swojego prostego sposobu bycia uważając go za szczyty wykwintu; teraz uśmiechał się z zadowoleniem – znalazł sposób, by odegrać się na człowieku, który zlekceważył jego wolę tak bezczelnie.

– A zresztą – ciągnął dalej – nie może być inaczej. Czy ekscelencja wie, czyją córką jest donna Bastiana? – Odwrócił się, wspiął na palce i wskazał widniejącą w oddali grupkę domków zdających się zsuwać ze zbocza wzgórza, do którego przygwałdziła jej niedostatecznie mocno wyrastająca pośrodku nędzna dzwonnica; owa wioska wyglądała jak ukrzyżowana. – To córka jednego z dawnych dzierzawców ekscelencji z Runici; nazywał się Peppe Giunta i był taki brudny i nieokrzesany, że wszyscy go nazywali Peppe Łajno, za przeproszeniem waszej ekscelencji. – Zadowolony, zawijał na palec ucho Teresiny. – Dwa lata po ucieczce don Calogera z Bastianą znaleziono go martwego na ścieżce wiodącej do Rampinzeri: dostał dwanaście kul w plecy. I don. Calogero znowu miał szczęście, bo ten stary był zadziorny i stawał się niebezpieczny.

Don Fabrizio wiedział wiele z tych rzeczy i już przedtem położył je na szali, ale przezwisko, jakim obdarzono dziadka Angeliki, było mu nie znane; odsłaniało ono nową historyczną perspektywę, otwierało przepaść, wobec której osoba don Calogera przedstawiała się sielsko jak ogrodowa alejka. Czuł, że grunt usuwa mu się pod nogami; czy Tancredi zdoła przełknąć tę pigułkę? A on sam? Zaczął się zastanawiać nad tym, jakie węzły pokrewieństwa mogłyby łączyć księcia Salina, wuja pana młodego, z dziadkiem panny młodej, ale na szczęście nie znalazł żadnych, nie istniały. Angelica była Angeliką, dziewczyną piękną jak kwiat, różą, której przezwisko dziadka posłużyło tylko jako mierzwa. „*Non olet*<sup>27</sup> – powtarzał – *non olet*; co więcej, *optime feminam, ac contubemium olet*<sup>28</sup>.”

– O wszystkim mi opowiadacie, don Ciccio, o narwanym matkach i o obmierzłych dziadkach, ale nie wspomnieliście ani słowem o tym, co najbardziej mnie interesuje, o pannie Angelice.

Plany matrymonialne Tancreda, choć nie skryształizowane do dnia wczorajszego, dawno dotarłyby do wiadomości ogółu, gdyby nie to, że szczęśliwym przypadkiem udało im się przybrać barwę ochronną. Zauważono bez wątpienia częste wizyty młodzieńca w domu don Calogera, jak również jego pełne zachwyty uśmiechy i całe mnóstwo drobnych uprzejmości, na które w większym mieście nikt nie zwróciłby uwagi, ale które były oznakami nieposkromionej namiętności w oczach cnotliwych mieszkańców Donnafugaty. Największy skandal wywołała pierwsza wizyta: smażący się na słońcu staruszkowie i walczący w kurzu ulicy chłopcy widzieli wszystko, wszystko zrozumieli i wszystko powtórzyli; zapytywano najbardziej doświadczonych wróżki-megery, jakie znaczenie w zakusach miłosnych mogły mieć ofiarowane brzoskwinie, szukano rozwiązania w zbiorach przepowiedni, a przede wszystkim w dziele Rutilia Benincasa, tego Arystotelesa chłopów. Na szczęście, zdarzyło się to, co zdarza się u nas bardzo często: złośliwość ludzka zamaskowała prawdę; wszyscy widzieli w Tancredzie rozpustnika, który skierował swoje żądze do Angeliki i otaczał ją względami tylko po to, by ją po prostu uwieść. Tego rodzaju myśl, żeby książę Falconeri chciał się żenić z wnuczką Peppe Łajna, nawet nie zaświtała w wyobraźni owych prostaczków, którzy w ten sposób oddawali rodom feudalnym hołd równy temu, jaki bluźnierca oddaje Bogu. Wyjazd Tancreda położył kres wszystkim plotkom na ten temat i nie mówiono o tym więcej. W tym względzie don Tumeo nie różnił się od innych i dlatego przyjął pytanie księcia z rozbawioną

<sup>27</sup> Nie cuchnie.

<sup>28</sup> Jak najbardziej kobietą i konkubiantem cuchnie.

miną, z jaką ludzie starsi rozprawiają o hultajstwach młodych.

– O pannie Angelice, ekscelencjo, nie ma nic do powiedzenia. Ona mówi sama za siebie, jej oczy, jej cera, jej wspaniała uroda są tak wyraziste, że wszyscy je rozumieją. I myślę, że ten język, jakim przemawiają, był zrozumiały i dla panicza Tancreda, ale może to jest zuchwalstwo z mojej strony?... Jest w niej cała piękność matki bez zapaszku dziadka. A jaka jest przy tym rozumna! Ekscelencja sam widzi, że wystarczyło tych kilka lat pobytu we Florencji, by zmienić ją nie do poznania. Stała się prawdziwą damą – ciągnął dalej don Ciccio, który był niewrażliwy na subtelności – damą w całym znaczeniu tego słowa. Kiedy wróciła z pensji, zaprosiła mnie do siebie i zagrała mi mojego starego mazurka: źle grała, ale przyjemnie było na nią patrzeć, na te czarne warkocze, na te oczy, na te nogi, na ten biuścik. Uhhh! Wszystko, tylko nie smród jej dziadka; jej pościel musi mieć rajski zapach!

Książę poczuł się urażony: duma arystokracji jest tak przemożna, nawet w momencie, gdy się deklaruje, że te bezwstydne zachwyty nad przyszłą siostrzenicą obraziły go; jak don Ciccio śmiało wyrażać się z tak lubieżnym liryzmem o przyszłej księżnej Falconeri? No tak, ale ten pocziwina nic nie wiedział; należało go o wszystkim zawiadomić, a zresztą i tak za kilka godzin echo tych zaręczyn rozniesie się po całej Donnafugacie. Zdecydował się natychmiast i zwrócił się do don Ciecica z lamparcim, lecz przyjaznym uśmiechem:

– Uspokójcie się, don Ciccio, uspokójcie się; mam w domu list od mego siostrzeńca, w którym pisze, żebym w jego imieniu poprosił o rękę panny Angeliki; od dzisiaj będziecie o niej mówili z należnym jej szacunkiem. Jesteście pierwszą osobą, która się o tym dowiaduje, ale musicie zapłacić za to wyróżnienie. Kiedy wrócimy, każę was zamknąć na klucz w pałacowej zbrojowni razem z Teresiną. Będziecie mieli dość czasu, żeby oczyścić i naoliwić całą broń, jaka się tam znajduje, i wypuszczę was na wolność dopiero po wizycie don Calogera. Nie chcę, żeby ktokolwiek zawczasu coś o tym wiedział.

Don Ciccio był tak zaskoczony, że jego skorupa snobizmu i ogłady rozprysnęła się w drobne kawałeczki; przetrwało tylko uczucie dawnego przywiązania.

– To, ekscelencjo, jest świństwo! Siostrzeniec waszej ekscelencji nie powinien się żenić z córką jednego z tych, którzy zawsze byli waszymi wrogami, którzy zawsze rzucali wam kłody pod nogi. Próba uwiedzenia to był akt podboju, małżeństwo to kapitulacja na całej linii. To koniec rodu Falconerich, a także i rodu Salina!

Wypowiedziawszy te słowa spuścił głowę zrozpaczony i pragnął tylko jednego: by ziemia rozstała mu się pod nogami. Książę zrobił się purpurowy po uszy, nawet białka oczu nabiegły mu krwią. Zaciśnął pięści i zrobił krok w stronę don Ciecica. Ale był mądrym człowiekiem, przywykłym widzieć zawsze wszystkie „za” i „przeciw”, a poza tym pod jego lwią naturą krył się sceptyk. Zniósł już dzisiaj tyle: wyniki plebiscytu, przewisko dziadka Angeliki, jego niesławną śmierć. I Tumeo miał rację: jego ustami przemawiała czysta tradycja. Ale był głupi, bowiem to małżeństwo nie było końcem niczego, ale początkiem wszystkiego. Znajdowało się w kręgu najświetniejszych tradycji.

Rozluźnił pięści; na jego dłoniach pozostały ślady paznokci.

– Idziemy do domu, don Ciccio, wy nie potraficie zrozumieć pewnych rzeczy. Nie zapominajcie też o tym, co wam powiedziałem przed chwilą. No co, doszliśmy do porozumienia?

I gdy tak schodzili ku drodze, trudno było powiedzieć, który z nich był don Kichotem, a który Sanczo Pansą.

Kiedy o godzinie wpół do piątej zaanonsowano punktualnie co do minuty przybycie don Calogera, książę nie skończył jeszcze toalety, kazał więc lokajowi poprosić pana burmistrza, żeby zaczekał w gabinecie, i z całym spokojem zabrał się znowu do zabiegów kosmetycznych. Skropił włosy substancją „lemoliscio”: był to „Lime Juice” Atkinsona, gęsty białawy płyn, który przysyłano mu w skrzynkach z Londynu i którego nazwa była tu

zmieniona na swojską nutę, tak samo jak rytm piosenek. Nie chciał włożyć czarnego surduta i wybrał jasnioletowy, który wydał mu się bardziej odpowiedni na tę rzekomo radosną okazję; jeszcze trochę czasu zajęło mu wyrwanie szczypczykami jasnego włoska, który ocalał przy pośpiesznym porannym goleniu i sterczał zuchwale na brodzie; kazał zawołać ojca Pirrone; przed wyjściem z pokoju wziął ze stołu streszczenie „Blätter der Himmelsforschung” i nakreślił na piersi znak krzyża zwiniętym w trąbkę rulonem. Jest to znak pobożności często nie mający na Sycylii znaczenia religijnego.

Przechodząc przez dwa pokoje prowadzące do gabinetu, uległ złudzeniu, że jest potężnym lampartem o połyskliwej, wyperfumowanej sierści, który gotuje się do skoku na tchórzliwego szakalika; ale wskutek mimowolnego skojarzenia myśli, które są przekleństwem takich ludzi jak on, przypomniał mu się nagle jeden z historycznych obrazów francuskich, na którym udekorowani orderami, wystrojeni w pióropusze marszałkowie i generałowie austriaccy defilują uniżenie przed uśmiechającym się ironicznie Napoleonem. Oni wyglądają wspaniale, ale zwycięzcą jest człowieczek w szarym surducie. Rozjuszony tymi wspomnieniami spod Ulm i Mantu!, które przyszły tak nie w porę, księżę wszedł do gabinetu jak gniewny lampart.

Don Calogero oczekiwał go stojąc; niski, niepozorny, źle ogolony, wyglądałby istotnie jak szakalik, gdyby nie oczy błyszczące inteligencją; a ponieważ owa inteligencja objawiała się wyłącznie w sprawach czysto materialnych, podczas gdy księżę posługiwał się swoim intelektem wyłącznie – jak sądził – w zagadnieniach abstrakcyjnych, tak więc spojrzenie don Calogera zostało przez niego uznane za złośliwe. Don Calogero absolutnie nie miał wycucia (u księcia było ono wrodzone), jak dostosować ubiór do okoliczności; po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że najwłaściwiej będzie przyoblec się w żałobę; był niemal w takiej czerni jak ojciec Pirrone; ale gdy tamten siedział w kącie z kamiennym wyrazem twarzy kapłana, który nie chce zaciążyć swoją obecnością na decyzjach innych, z oczu burmistrza wyzierało tak zachłanne oczekiwanie, że nieprzyjemnie było na niego patrzeć. Rozmowa zaczęła się od banalnych frazesów, jakie poprzedzają zawsze szermierkę słowną. Pierwszy przystąpił do ataku don Calogero.

– Ekscelencjo – zapytał – czy otrzymał ekscelencja dobre wiadomości od don Tancreda?

W owych czasach na prowincji burmistrz miał możliwość nieoficjalnie kontrolować pocztę i ten. wyjątkowo elegancki papier listowy najwidoczniej obudził jego czujność. Gdy księciu przyszło to na myśl, zaczęło go ogarniać rozdrażnienie.

– Nie, don Calogero, nie. Mój siostrzeniec oszalał...

Lecz istnieje bóg czuwający nad książętami. Nazywa się – Dobre Maniery. I często ratuje on Lamparty od zrobienia fałszywego kroku. Tak samo jak interwencja Pallady powściągnęła niepohamowanego Odysa, tak bóg Dobre Maniery pojawił się przed księciem, by zatrzymać go na brzegu przepaści; lecz księżę musiał drogo zapłacić za ten ratunek i raz w życiu bez osłonek wyłożyć karty na stół. Z wyjątkową naturalnością i bez zająknięcia dokończył zdanie:

– ...oszalał z miłości do waszej córki, don Calogero. I doniósł mi o tym wczoraj.

Burmistrz zachował zadziwiającą równowagę. Uśmiechnął się lekko i wpatrywał się z uwagą we wstążkę swojego kapelusza; ojciec Pirrone wbił oczy w sufit, jak gdyby był budowniczym i miał za zadanie ocenić jego solidność. Księżę poczuł się głęboko zawiedziony: owo milczenie odebrało mu nawet drobną przyjemność zadziwienia swoich słuchaczy. Toteż z ulgą przyjął słowa don Calogera.

– Wiedziałem o tym, ekscelencjo, wiedziałem o tym. Widziano ich, jak się całowali 25 września, we wtorek, przed odjazdem don Tancreda. W waszym ogrodzie, koło fontanny; żywopłoty z wawrzynu nie są tak gęste, jak można by przypuszczać. Czekam od miesiąca na jakiś krok ze strony siostrzeńca waszej ekscelencji i ostatnio myślałem już o tym, żeby przyjść tutaj i zapytać, jakie są jego zamiary.

Rój kąśliwych os otoczył księcia. Przede wszystkim, jak przystoi mężczyźnie, który nie jest jeszcze zgrzybiałym starcem, poczuł kłującą zazdrość: Tancredi zakosztował smaku tych

świeżych poziomek i kremu, którego on nie zakosztuje nigdy. Poza tym doznał upokorzenia arystokraty, którego uznano za winowajcę, nie za zwiastuna dobrych wieści. Po trzecie, spotkał go osobisty zawód, zawód człowieka, który ludzi się, że ma wszystkich pod swoją kontrolą, i który dowiaduje się, że wiele rzeczy dzieje się bez jego wiedzy.

– Don Calogero, nie odwracajmy sytuacji. Nie zapominajcie, że to ja was do siebie wezwałem. Chciałem poinformować was o liście mojego siostrzeńca, który dostałem wczoraj. Zawiadamia mnie on o swoim uczuciu dla waszej córki – tu książe zawahał się na moment, bo nie było mu łatwo kłamać pod świdrującym wzrokiem burmistrza – o uczuciu, z którego siły nie zdawałem sobie dotychczas sprawy; i w związku z tym zwraca się do mnie, bym poprosił was o rękę panny Angeliki.

Don Calogero zachowywał się w dalszym, ciągu bardzo powściągliwie; ojciec Pirrone z rzeczoznawcy budowlanego zmienił się w muzułmańskiego mędrca i splótłszy cztery palce lewej ręki z czterema palcami prawej kręcił młynka kciukami to w tę, to w tamtą stronę, zmieniając za każdym razem kierunek swoich choreograficznych popisów z nie zrównaną fantazją. Milczenie trwało dość długo i książe zniecierpliwił się:

– Don Calogero, teraz ja czekam, żebyście się zadeklarowali z waszymi zamiarami.

Burmistrz, który miał wzrok utkwiony w pomarańczowych frędzlach fotela księcia, zasłonił na chwilę oczy prawą dłonią, po czym podniósł je na don Fabrizia; były teraz rozjaśnione, pełne szczerzego zdumienia, jak gdyby don Calogero wymienił je na inne owym poruszeniem ręki.

– Książe będzie łaskaw mi wybaczyć – piorunujące pominięcie tytułu „ekscelencji” dało księciu do zrozumienia, że pertraktacje zostaną pomyślnie zakończone – lecz ta piękna niespodzianka tak mnie zaskoczyła, że zaniemówiłem. Jednakże będąc nowoczesnym ojcem nie mogę dać ostatecznej odpowiedzi, zanim nie rozmówię się z moim aniołem, który jest pociechą naszego domu. Ale ponieważ znam święte ojcowskie obowiązki, wiem wszystko, co dzieje się w sercu i w myślach Angeliki; i dlatego wydaje mi się, że wolno mi powiedzieć, iż uczucie don Tancreda, które przynosi zaszczyt nam wszystkim, jest odpłacane szczerą wzajemnością.

Książe wrzucił się: ropucha była już połknięta. Przeżuta głowa i wnętrzności schodziły do przełyku. Pozostawały jeszcze do zgryzienia tylne nogi, ale w porównaniu z resztą była to po prostu błahostka: najgorsze miał już za sobą. Don Fabrizio rozkoszował się uczuciem wyzwolenia i zarazem odżyło w nim przywiązanie do Tancreda; wyobraził sobie przymrużone błękitne oczy, które rozblyszą przy czytaniu uroczystej odpowiedzi, wyobraził sobie, a raczej przypomniał pierwsze miesiące małżeństwa z miłości, w których wszystkie uniesienia i akrobacje zmysłów są pastelowo podbarwione i popierane przez chóry aniołów, nieco zdziwionych, ale łaskawych dla nowożeńców. Biegając myślą dalej jeszcze, widział dobrobyt i rozwój talentów Tancreda, który w innych warunkach przy braku pieniędzy nie mógłby rozwinąć skrzydeł do lotu.

Książe wstał, postąpił krok naprzód w stronę zdumionego don Calogera, uniósł go z fotela i przycisnął do piersi – krótkie nogi burmistrza zawisły w powietrzu. W tym pokoju na głuchej prowincji sycylijskiej mignął na chwilę rodzajowy obrazek z japońskiego sztychu: olbrzymi fioletowy irys, z którego płątka zwisa uwłosiona mucha. Gdy don Calogero dotknął podłogi, książe pomyślał sobie: „Tak dalej być nie może, muszę mu ofiarować kilka angielskich brzytew.”

Ojciec Pirrone przestał kręcić młynka kciukami; wstał, uściśnął dłoń księcia.

– Ekscelencjo, proszę Boga, by miał w opiece bo stadło małżeńskie. Radość ekscelencji jest moją radością.

Don Calogeroowi podał końce palców nie mówiąc ani słowa. Potem popukał w wiszący na ścianie barometr – spadał; zapowiadała się niepogoda. Usiadł z powrotem i otworzył brewiarz.



– Don Calogero – rzekł książę – miłość tych dwojga młodych jest bazą wszystkiego, jest jedynym fundamentem, na którym można budować ich przyszłe szczęście. Kropka. Wszyscy wiemy o tym. Ale my, ludzie starsi, ludzie doświadczeni, bierzemy pod uwagę jeszcze inne rzeczy. Nie muszę rozwodzić się nad tym, jak wspaniały jest ród Falconeri: przybywszy na Sycylię z Karolem Andegaweńskim, rozkwitał pod panowaniem Aragonów, Hiszpanów i królów z dynastii burbońskiej, o ile wolno mi wspomnieć ich w waszej obecności, i pewien jestem, że będą prosperować dalej pod rządami nowej dynastii, Boże zachowaj. – (Nigdy nie było wiadomo, kiedy książę ironizował, a kiedy rozmawiający mylnie interpretował jego słowa.) – Byli parami królestwa, grandami Hiszpanii, kawalerami Santiago, a kiedy przyjdzie im do głowy zachcianka, żeby być kawalerami maltańskimi, wystarczy jedno kiwnięcie palcem i *via Condotti*<sup>29</sup> bez słowa sprzeciwu w mig wypieczę im dyplomy i poda je na tacy jak świeże bułeczki; przynajmniej tak było aż do dzisiaj. – Ta perfidna insynuacja poszła na marne, gdyż don Calogero nie miał zielonego pojęcia o statucie zakonu jerozolimskiego Św. Jana. – Jestem pewien, że wasza córka ze swoją wyjątkową urodą przyozdobi jeszcze drzewo genealogiczne Falconerich i dorówna swoimi cnotami świętym księżnym, z których ostatnia, moja siostra, na pewno, pobłogosławi z nieba nowożeńców. – Książę znowu się wzruszył na wspomnienie swojej drogiej Giulli, której życie, zmarnowane przy boku narwanego męża, fantasty i utracjusza, było jednym pasmem poświęceń. – Co do Tancreda, to znacie go, a gdybyście go nie znali, dałbym wam za niego wszelkie gwarancje bez, najmniejszych zastrzeżeń. W tym chłopcu są całe tony dobroci i moje zdanie nie jest odosobnione, nieprawda, ojcze Pirrone?

Przezacny jezuita wyrwany ze swojej lektury stanął nagle przed trudnym problemem. Był od lat spowiednikiem Tancreda i znał niejednego jego grzeszek. Żaden z nich nie należał może do ciężkich, lecz wszystkie były takie, że ujmowały co najmniej kilka kwintali z owych ton dobroci, o której książę wspominał, oraz gwarantowały (trzeba to podkreślić) żelazną niewierność małżeńską. Tego oczywiście jezuita nie mógł powiedzieć, zarówno z uwagi na tajemnicę spowiedzi, jak również z czysto świeckich względów. Poza tym bardzo kochał Tancreda i chociaż w głębi serca był przeciwny temu małżeństwu, nie pisnąłby ani słowa, które mogłoby nie tyle uniemożliwić jego zawarcie, ile stworzyć jakieś przeszkody. Chwycił się niczym koła ratunkowego przezorności, która spośród wszystkich cnót głównych jest najbardziej giętka i podatna do wszelkiego rodzaju manewrów.

– Nasz drogi Tancredi jest z gruntu dobrym młodzieńcem, don Calogero, i wspomagany łaską Bożą oraz ziemskimi cnotami panny Angeliki może się stać w przyszłości przykładnym, prawdziwie chrześcijańskim małżonkiem.

Proroctwo to, dość ryzykowne, ale wygłoszone w trybie warunkowym, przeszło gładko jak po maśle.

– Ale, don Calogero – ciągnął dalej książę przeżuając ostatnie chrząstki ropuchy – tak samo jak nie potrzebuję wam mówić o starożytności rodu Falconerich, tak nie muszę wam przypominać, bo sami o tym wiecie, że obecne warunki materialne mojego siostrzeńca nie dorównują splendorowi jego nazwiska. Ojca don Tancreda, mojego szwagra Ferdynanda, nie można by nazwać przewidującym ojcem: jego wielkopański tryb życia, lekkomyślność jego administratorów nadszarpnęły poważnie majątek mego drogiego siostrzeńca i eks-wychowanka. Wielkie lenna pod Mazzara, gaje pistacji w Ravanusa, plantacje morwy w Olivieri, pałac w Palermo, to wszystko przepadło ze szczętem. Wiecie o tym dobrze, don Calogero. – Istotnie, don Calogero o tym wiedział – był to najgigantyczniejszy odlot jaskółek, jaki pamiętał. Jego wspomnienie budziło do tej pory lęk, ale nie przezorność wśród całej sycylijskiej arystokracji, natomiast dla wszystkich ludzi pokroju Sedary było niewyczerpanym źródłem uciechy. – W okresie gdy sprawowałem opiekę nad Tancredem,

---

<sup>29</sup> Przy *via Condotti* w Rzymie znajdowała się główna siedziba zakonu kawalerów maltańskich.

udało mi się uratować tylko pałac znajdujący się w pobliżu mojego. Zdołałem to zrobić dzięki pewnym kruczkom prawnym, no i osobistym wyrzeczeniom, które poniosłem zresztą z radością, tak ze względu na pamięć mojej świętej siostry Giulii, jak i z powodu uczucia, które żywię dla tego drogiego chłopca. To przepiękny pałac, schedy były zaprojektowane przez Marvuglię, salony malowane przez Serenaria, ale obecnie ta cała budowla może służyć w najlepszym razie za mieszkanie dla kóz.

Ostatnie kosteczki ropuchy okazały się trudniejsze do zgryzienia, niż można się było tego spodziewać, ale w końcu i one jakoś przeszły przez gardło. Teraz należało przepłukać sobie usta miłym frazesem, nie pozbawionym zresztą szczerości.

– Jednakże, don Calogero, w sumie te wszystkie kłopoty i utrapienia – dały Tancreda. My się przecież na tym znamy: jest niemal niemożliwością osiągnąć taką dystynkcję, taką delikatność, taki wdzięk, jaki ma ten chłopak, bez. tego, żeby przodkowie nie przepuścili co najmniej pół tuzina olbrzymich włości. A przynajmniej tak jest na Sycylii, to coś w rodzaju prawa natury, jak trzęsienia ziemi czy klęska suszy.

Przerwał na chwilę, gdyż wszedł lokaj niosący na tacy dwie zapalone lampy. Gdy je ustawiał, królowało milczenie nabrzmiałe przyjemną melancholią. Potem księżę znowu zabrał głos:

– Don Calogero, Tancredi nie jest tuzinkowym młodzieńcem; jest nie tylko prawdziwym arystokratą, ale, choć nie ma wielkiego wykształcenia, zna wszystko, co znać należy: mężczyzn, kobiety, dzisiejsze warunki, i idzie z postępem czasu. Ma wielkie ambicje, i nie bez racji: zajdzie daleko. I wasza Angelica będzie szczęśliwa, jeśli zechce piąć się do góry z, nim razem. Poza tym żyjąc u boku Tancreda można się czasem gniewać, ale nudzić nigdy. A to jest bardzo cenne.

Byłoby przesadą utrzymywać, że burmistrz ocenił wielkoświatowe subtelności tej części przemówienia księcia; lecz potwierdziło mu ono z grubsza własne przypuszczenia o sprycie i oportunizmie Tancreda, a właśnie takiego lisa, takiej chorągiewki na dachu potrzeba mu było w rodzinie; nie żądał niczego więcej. Miał głębokie poczucie i przekonanie o swojej wartości, uważał, że dorównuje każdemu, i był nawet nieco rozżalony na córkę, że trochę się podkochuje w tym pięknym młodziku.

– Proszę księcia, wiedziałem o tym wszystkim, a nawet wiem więcej. I nic mnie to nie obchodzi. – Przystroił się w sentymentalizm. – Miłość, ekscelencjo, miłość jest wszystkim i ja wiem o tym najlepiej! – Biedaczysko miał może nawet rację, jeśli można się było pogodzić z jego pojęciem miłości. – Ale ja też jestem światowym człowiekiem, ja też chcę wyłożyć moje karty na stół. Byłoby zbędne mówić o posagu mojej córki: ona jest krwią mego serca, wątrobą moich wnętrzności. Nie mam nikogo innego, komu mógłbym pozostawić mój majątek, i wszystko, co posiadam, do niej należy. Uważam jednak za słuszne, żeby młodzi wiedzieli z góry, na co mogą liczyć. W kontrakcie ślubnym zapiszę mojej córce lenno Settesoli, liczące 664 salmy, czyli, jak to dzisiaj nazywają, 1010 hektarów; to same pszeniczne ziemie, urodzajne, nie wyjąłowane. Poza tym 180 salm winnic i gajów oliwkowych w Gibildolce. I w dniu ślubu wręcę panu młodemu 20 płóciennych woreczków: każdy z nich będzie zawierał 10 000 dukatów. Sam zostanę z pustymi rękoma – dodał pragnąc w głębi duszy, by mu nie uwierzono (czego zresztą był pewien) – ale co córka, to córka. Za te pieniądze można odrestaurować wszystkie schody Marruggia i wszystkie plafony Sorcionaria, jakie istnieją na świecie. Angelica musi pięknie mieszkać.

Nieokrzesana wulgarność tryskała z wszystkich jego porów; pomimo to dwaj słuchacze nie wierzyli własnym uszom. Don Fabrizio musiał się zdobyć na najwyższy wysiłek woli, by ukryć zdumienie – strzał Tancreda był celniejszy, niż można było przypuszczać. Uczucie niesmaku znowu zaczęło opanowywać księcia, na szczęście piękność Angeliki i wdzięk narzeczonego zdołały jeszcze przesłonić poezją brutalność kontraktu; ojciec Pirrone mlasnął językiem, po czym, niezadowolony z tego, że zdradził swój podziw, starał się zatuszować ów

nieopatrznie wydany dźwięk szurając butami, skrzypiąc krzesłem i szeleszcząc szybko przerzucanymi kartkami brewiarza, ale wszystko na próżno, wrażenie wywołane młasniciem pozostało nie zatarte.

Na szczęście gafa don Calogera, jedyna zresztą, jaką popełnił w tej rozmowie, przyniosła odprężenie.

– Proszę księcia – rzekł burmistrz – wiem, że to, co powiem, nie robi wrażenia na księciu, który jest w prostej linii potomkiem imperatora Tytana i królowej Bereniki, ale także Sedàrowie są szlachtą, tyle tylko, że jeszcze do niedawna jakoś nie mieli szczęścia, zagrzebali się na prowincji, byli szarymi ludźmi. Ale ja mam wszystkie papiery w porządku, trzymam je w szufladzie i pewnego pięknego dnia okaże się, że siostrzeniec księcia ożenił się z baronówną Sedàra dell Biscotto, tytuł nadany przez jego królewską mość Ferdynanda IV i związany z pobieraniem opłat portowych w Mazzara. Brak mi jeszcze tylko jednego ogniwa.

Sprawa brakujących ogniw, tytułów łączących się ze ściąganiem królewskich należności, prawie identycznie brzmiących nazwisk, była sto lat temu ważnym czynnikiem w życiu wielu Sycylijczyków, przyczyniała wiele radości lub smutku tysiącom ludzi, bez względu na to, jaką przedstawiali sobie wartość; lecz jest to temat zbyt ważny, by pokrótce go omówić, tutaj zadowolimy się więc tylko stwierdzeniem, że wywody heraldyczne don Calogera sprawiły księciu nieporównaną przyjemność estetyczną: osobowość don Calogera ukazała mu się ze wszystkimi szczegółami, a tłumiąc śmiech poczuł w ustach słodycz zadowolenia, która wkrótce przyprawiła go niemal o mdłości.

Potem rozmowa zeszała na inne, boczne tory; don Fabrizio przypomniał sobie o don Ciccio zamkniętym to ciemku w zbrojowni i po raz nie wiadomo który przeklinał w duchu przeciągające się w nieskończoność prowincjonalne wizyty. W końcu zaciął się we wrogim milczeniu. Don Calogero zrozumiał, obiecał, że przyjdzie nazajutrz, by obwieścić niewątpliwą zgodę Angeliki, i pożegnał się. Odprowadzony przez dwa salony, powtórnie wyściskany, zaczął schodzić ze schodów, podczas gdy księżę, wyprostowany, obserwował z góry ten zmniejszający się w oddali zlepek chytryści, źle skrojonego ubrania, złota i głupoty, który od tej chwili stał się już prawie częścią jego rodziny.

Trzymając w jednej ręce świecę, poszedł zaraz potem uwolnić Tumea, który siedział zrezygnowany w ciemnościach, paląc swoją fajkę.

- Bardzo mi przykro, don Ciccio, ale zrozumcie, musiałem to zrobić.
- Rozumiem, ekscelencjo, rozumiem; czy przynajmniej wszystko dobrze poszło?
- Doskonale, nie mogło pójść lepiej.

Tumeo wymamrotał powoli kilka słów powinszowania, przypiął smycz do obroży Teresiny, która spała wyczerpana polowaniem, podniósł myśliwską torbę.

– Weźcie także moje bekasy, dla nas i tak ich nie wystarczy. Do widzenia, don Ciccio, pokażcie się znów niedługo. I wybaczcie mi wszystko.

Potężne klepięcie po plecach było oznaką zawarcia zgody i zarazem upomnieniem. Ostatni wierny rodowi Salina odszedł do swojego nędznego mieszkania.

Gdy księżę wrócił do gabinetu, spostrzegł, że ojciec Pirrone wymknął się, chcąc uniknąć wszelkich dyskusji. Poszedł więc w kierunku pokoju żony, chcąc zawiadomić ją o tym, co się stało. Jego ciężkie, szybkie kroki słyhać było z odległości dziesięciu metrów. Minął po drodze salonik dziewcząt: Carolina i Caterina związały kłębek wełny i uśmiechnięte poderwały się z krzeseł na jego widok, mademoiselle Dombreuil szybko zdjęła okulary i odpowiedziała na ukłon księcia z ugrzecznoną miną; Concetta siedziała odwrócona plecami; haftowała na bębenku, a ponieważ nie dosłyszała kroków ojca, nie obejrzała się nawet.

## Rozdział IV

*Don Fabrizio i don Calogero – Pierwsza wizyta Angeliki jako narzeczonej – Przyjazd Tancreda i Cavriaghiego – Przybycie Angeliki – Miłosny cyklon – Odprężenie po cyklonie – Piemontczyk przybywa do Donnafugaty – Mały wypad w okolicę – Chevalley i don Fabrizio – Wyjazd o świcie.*

*Listopad 1860*

Z powodu coraz to częstszych kontaktów, będących następstwem oficjalnych zaręczyn, w don Fabriziu zaczął się budzić swoisty podziw dla zdolności Sedàry. Zdażył już przywyknąć do źle ogolonych policzków, do prostackiego akcentu, do dziwacznych ubiorów, do przenikliwego zapachu zatęchłego potu i dostrzegał coraz to wyraziściej wyjątkową inteligencję tego człowieka. Problemy, które księciu wydawały się nierozwiązalne, bywały w mig rozstrzygane przez don Calogera; wyzwolony z pęt, jakie uczciwość, przyzwoitość lub choćby tylko dobre wychowanie narzucają wielu ludziom, szedł on przez puszcę życia z pewnością słonia, który, wyrываяc po drodze drzewa i tratując jamy, idzie prosto przed siebie i nie zwraca uwagi ani na szarpiące kolce, ani na jęki miazdżonych ofiar. Księżę, wychowany w sielskich dolinkach, po których snują się łagodne zefiry zwrotów, jak: „proszę”, „byłbym ci bardzo wdzięczny”, „jak to miło z twojej strony”, rozmawiając teraz z don Calogorem doznawał wrażenia, że odkrywa pustynię, po której hulają nieokiełznane wichry. I chociaż w dalszym ciągu były mu bliższe sercu górskie kotliny, nie mógł nie podziwiać tego pędu powietrza, który dobywał z dębów i cedrów Donnafugaty nigdy dotąd nie słyszane dźwięki.

Z czasem, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, księżę zaczął mówić z don Calogorem o swoich interesach, które były bardzo rozległe, bardzo skomplikowane i nie całkiem zrozumiałe dla niego samego; niezrozumiałe nie wskutek braku przenikliwości, ale z powodu pogardliwej obojętności dla tego rodzaju spraw, uznawanych powszechnie za coś najniższego, i spowodowanej w dużej mierze indolencją oraz wypróbowaną metodą postępowania po linii najmniejszego oporu, czyli sprzedażą kilkuset z tysięcy posiadanych hektarów.

Środki zaradcze, jakie znajdował don Calogero po wysłuchaniu księcia i przemyśleniu po swoim każdej relacji, były wprost opatrnościowe i dawały natychmiastowe rezultaty; jednakże końcowy efekt owych porad, wykoncypowanych z okrutnym realizmem i wprowadzanych w życie przez dobrodusznego don Fabrizia z lękliwą miękkością, był taki, że z upływem lat dom Salina zyskał famę wyzyskiwaczy swoich podwładnych, famę, która, choć całkiem niezasłużona, obaliła autorytet rodu Salina w Donnafugacie i Quercecie, a na domiar złego niebezpieczeństwo ruiny majątkowej nie było wcale zażegnane.

Nie wolno pominąć milczeniem faktu, że częstszy kontakt z księciem wywarł pewien wpływ także na Sedàrę. Dotychczas stykał się on z arystokracją tylko w sprawach handlowych (to znaczy przy okazji kupna lub sprzedaży) albo o wiele rzadziej na przyjęciach, na które zapraszano go czasem po „bardzo długich namysłach i wahaniach, a więc w obu przypadkach, kiedy ta przedziwna klasa społeczna nie przedstawia się z najlepszej strony. Podczas tych spotkań wyrobił sobie opinię, że arystokracja składa się jedynie i wyłącznie z ludzi-owiec, którzy istnieją tylko po to, żeby podstawić pod jego nożyce wełnę do strzyżenia oraz ofiarować opromienione niewytłumaczonym mirem nazwisko – jego córce. Lecz już po zetknięciu się z Tancredem w epoce pogaribaldijskiej stanął w obliczu zaskakującego

przykładu młodego arystokraty, równie bezwzględny jak on sam, umiejącego wymieniać nader zyskownie swoje uśmiechy i tytuły na cudze uprzejmości i kapitały, ale przystrajającego nawet te „sedàrowe” pociągnięcia ujmującym wdziękiem i urokiem. Don Calogero czuł, że on tego wdzięku nie posiada, i ulegał mu bezwiednie, na próżno usiłując odgadnąć, gdzie leży jego źródło. Gdy z konieczności poznał bliżej don Fabrizia, odnalazł w nim ową miękkość i bezbronność, które cechowały stworzony w jego wyobraźni typ arystokraty-owcy, ale poza tym także ową magnetyczną siłę, odmienną w tonie niż u młodego Falconeri, lecz niemniej urzekającą; dostrzegł w nim także pewną skłonność do abstrakcji oraz do szukania kształtu życia w tym, co płynie z wewnątrz, a nie w tym, co można wydrzeć innym. Owa skłonność do abstrakcji wywarła na burmistrzu głębokie wrażenie, pomimo że przedstawiała mu się bardzo niejasno i nie mógł jej zdefiniować, jak to staraliśmy się uczynić powyżej. Zorientował się, że lwia część tego wdzięku wypływa z wytwornych manier, i uświadomił sobie, jak mdły jest dobrze wychowany człowiek, dlatego że po prostu eliminuje ze swego postępowania nieprzyjemne posunięcia właściwe olbrzymiej większości rodzaju ludzkiego i każdy jego postępek nacechowany jest czymś, co można by nazwać „zyskowym altruizmem” (sformułowanie, w którym wymowa przymiotnika pozwalała mu tolerować bezużyteczność rzeczownika). Don Calogero zrozumiał wreszcie, że wspólny posiłek nie musi być orgią mlaskania i tłustych plam na obrusie; że rozmowa może wcale nie przypominać warczenia doskakujących do siebie psów; że oddanie pierwszeństwa kobiecie jest oznaką siły, nie słabości, jak sądził dotychczas; że w rozmowie można osiągnąć o wiele więcej mówiąc „widocznie wyraziłem się niejasno” niż „nic nie zrozumiałeś, głąbie”; i że podchodząc w taki sposób do rozmów, do jedzenia, do kobiet, wszystko obraca się na korzyść tego, kto umie być uprzejmy.

Byłoby przesadą stwierdzić, że don Calogero potrafił od razu wykorzystać to, czego się nauczył. Nauczył się staranniej golić i przestała go przerażać ilość mydła zużywanego do prania bielizny, to wszystko. Lecz właśnie od tej chwili dla niego i dla jego bliskich rozpoczął się proces ciągłego szlifowania klasy, która w przeciągu trzech generacji przekształca prymitywnych gburów w bezbronną szlachtę.

Pierwsza wizyta Angeliki w domu Salina jako narzeczonej wyreżyserowana była bez zarzutu. Zachowanie dziewczyny było takim arcydziełem, że mimo woli nasuwała się myśl, iż musiało być ono w każdym szczególe podyktowane przez Tancreda; ale żółwie tempo komunikacji owych czasów wyłączało tę możliwość i co najwyżej można było przypuszczać, że Tancredi dał narzeczonej pewne wskazówki w tym względzie jeszcze przed oficjalnymi zaręczynami. Była to hipoteza dość ryzykowna nawet dla tych, którzy znali przewidujące usposobienie młodego księcia, ale nie całkiem absurdalna. Angelica zjawiła się o godzinie szóstej wieczorem w biało-różowej sukni; jej miękkie czarne warkoczki ocienione były słomkowym, jeszcze letnim kapeluszem, przystrojonym sztucznymi kiściami winogron oraz złotymi kłosami, które przypominały dyskretnie winnice w Gibildolce i spichrze w Settesoli. Zaraz po wejściu do pałacu wyprzedziła ojca; wbiegła lekkim krokiem w powiewnej spódnicy na stopnie wysokich, wewnętrznych schodów i rzuciła się w ramiona don Fabrizia. Pocałowała go dwukrotnie w bokobrody i księżę odwzajemnił jej pocałunki ze szczerym uniesieniem: może tylko dłużej, niżby należało, wdychał zapach gardenii bijący z dziewczęcych policzków. Angelica zacerwieniła się i cofnęła o pół kroku.

– Jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa... – Znowu przybliżyła się do księcia i, wspinając się na czubki palców, szepnęła mu do ucha: – Wujaszku!

Ten świetny chwyt reżyserski, tak czytelny i zarazem tak dyskretny, którego siłę wyrazu można by porównać do sceny z wózkiem dziecinnym w filmie Eisensteina<sup>30</sup>, wprawił w

<sup>30</sup> Aluzja do znakomicie wyreżyserowanej sceny z filmu *Pancernik „Potiomkin”*, w której z rąk zastrzelonej przez białogwardzistów matki wysuwa się wózek z dzieckiem i stacza się po wysokich schodach.

zachwyty pełne prostoty serce księcia: piękna dziewczyna podbiła go do reszty. Tymczasem don Calogero wstępował na schody, wyrażając głośno żal, że musiał przyjść bez żony, która poprzedniego wieczora potknęła się tak nieszczęśliwie, że zwicznęła nogę w kostce, co sprawiało jej niewypowiedziane cierpienia.

– Kostka spuchła jak dynia, proszę księcia.

Don Fabrizio, mile podniecony pieszczotliwym słówkiem Angeliki, a przy tym pewien, że nic nie ryzykuje, pamiętał bowiem podyktowane chęcią zemsty zwierzenia don Ciecica, natychmiast zaofiarował się pójść osobiście z wizytą do pani Sedàra. Owa propozycja wprowadziła w osłupienie don Calogera i zmusiła go do wynalezienia małżonce jeszcze jednej dolegliwości, tym razem ciężkiej migreny, która zmuszała tę nieszczęsną kobietę do leżenia w ciemności.

A księżę już podawał ramię Angelice. Przeszli razem przez kilka salonów tonących w mroku, oświetlonych tylko lampkami oliwnymi, których słabe płomyki ułatwiały zaledwie znalezienie drogi. Za to w głębi, w perspektywie komnat, jarzył się Salon Leopolda, w którym zgromadziła się reszta rodziny. Ten marsz w mrocznej pustce ku jasnemu, intymnemu kręgowi miał w sobie rytm masońskiego wtajemniczenia.

Wszyscy członkowie rodziny cisnęli się przy drzwiach: księżna zapomniała o swoich sprzeciwach, które gniew męzowski nie tylko rozwiązał, ale unicestwił; obrzuciła gradem pocałunków piękną przyszłą siostrzenicę i przytuliła ją do siebie tak mocno, że dziewczynie odcisnął się na dekolcie zarys słynnego rodowego naszyjnika z rubinów, który Maria Stella włożyła pomimo wczesnej godziny dla uczczenia tak wielkiego święta. Szesnastoletni Francesco Paolo był uszczęśliwiony, że on także ma wyjątkową okazję pocałowania Angeliki pod bezradnie zazdrosnym wzrokiem ojca. Concetta okazała dziewczynie wiele czułości: jej radość była tak głęboka, że wycisnęła jej łzy z oczu. Inne siostry wesoło cisnęły się wokół Angeliki; mogły się naprawdę cieszyć, właśnie dlatego że nie były wzruszone. Ojciec Pirrone, który nie był niewrażliwy na kobiece wdzięki (w najniewinniejszym znaczeniu tego słowa, oczywiście) widząc w nich niezaprzeczalny dowód dobroci Bożej, poczuł, że w ciepłe uroku Angeliki topnieją w nim wszelkie zastrzeżenia, i szepnął:

– *Veni, sponsa, de Libano*<sup>31</sup>.

(Potem musiał się nieco opanować, by nie przywołać w pamięci innych, gorętszych strof.) Mademoiselle Dombreuil, jak przystoi guwernantkom, płakała z przejęcia, ścisnęła w swoich zawiedzionych dłoniach kwitnące ramiona dziewczyny mówiąc:

– *Angelicà, Angelicà, pensons à la joie de Tancrede!*<sup>32</sup>

Tylko Bendicò, zazwyczaj tak przyjacielski, schował się pod konsolkę i warczał groźnie, dopóki nie przywołał go energicznie do porządku oburzony Francesco Paolo, którego wargi jeszcze drżały.

Na dwudziestu czterech z czterdziestu ośmiu ramion świecznika umieszczono świece i każda z nich, śnieżnobiała i płonąca zarazem, wyglądała jak dziewczica, która spala się w miłości. Dwubarwne kwiaty Murano na zakrzywionej łodyżce ze szkła spoglądały w dół, podziwiając przybyłą i przesyłając jej tęczy, kruchy uśmiech. Na dużym kominku rozpalono ogień raczej dla podkreślenia świątecznego nastroju niż dla rozgrzewki, bo było jeszcze ciepło; światło ognia drżało odbijając się w posadzce, wyzwalało nieskończoną ilość odbłasków z wyblakłych złocen mebli: było prawdziwym symbolem ogniska rodzinnego, domu; jego żagwie przypominały o iskrach pożądania, węgielki – o zawartym w nim żarze.

Księżna, która miała prawdziwy dar ograniczania do minimum wszelkich wzruszeń, opowiedziała wiele podniosłych epizodów z dzieciństwa Tancreda; i z takim naciskiem zatrzymywała się na każdym szczególe, że doprawdy można by uwierzyć, iż Angelica dostąpiła najwyższego szczęścia wychodząc za mąż za człowieka, który w szóstym roku życia

<sup>31</sup> Pójdźże z Libanu, oblubienico.

<sup>32</sup> Angelico, Angelico, pomyśl o radości Tancreda!

był tak rozsądny, że bez sprzeciwu pozwalał sobie robić lewatywę, a mając lat dwanaście tak odważny, że ośmielił się skraść garstkę czereśni. Gdy wspomniano o tym przejawie nieustraszonego zuchwalstwa, Concetta zaczęła się śmiać i powiedziała:

– Tej wady Tancredi jeszcze po dziś dzień nie umiał się pozbyć. Pamiętasz, papo, jak dwa miesiące temu zerwał ci brzozkwinię, na których tak ci zależało?

Nagle spochmurniała, jak gdyby była przewodniczącą związku ochrony sadów.

Niedługo potem słowa księcia odsunęły na bok te głupstewka: mówił o Tancredzie takim, jaki był obecnie, o młodzieńcu bystrym i uważającym, zawsze gotowym do ciętych powiedzonek, które podbijały tych, którzy go kochali, a innych doprowadzały do rozpacz. Opowiadał, jak podczas pobytu w Neapolu przedstawiono Tancreda diuszecie di Sanetcetera, która była nim oczarowana do tego stopnia, że chciała go widzieć u siebie o każdej porze dnia, bez względu, na to, czy była w salonie, czy w łóżku, bo, jak utrzymywała, nikt nie umiał tak opowiadać *les petits riens*<sup>33</sup> jak on. I choć don Fabrizio wyjaśnił skwapliwie, że Tancredi nie miał jeszcze wtedy szesnastu lat, a diuszesa przekroczyła pięćdziesiątkę, oczy Angeliki zabłysnęły, gdyż miała dokładne wiadomości o młodzieńcach z Palermo oraz niejakię podejrzenia w stosunku do diuszies neapolitańskich.

Kto wnioskowałby z tego zachowania Angeliki, że kocha ona Tancreda, byłby w błędzie; posiadała zbyt wiele dumy i ambicji, żeby zdobyć się na owo prowizoryczne przekreślenie własnej osobowości, bez której miłość nie istnieje; poza tym młodzieńczy brak doświadczenia nie pozwalał jej jeszcze ocenić istotnych zalet Tancreda, ich delikatnych odcieni; jednakże nawet nie kochając go, była w nim w owym czasie zakochana, a to jest coś całkiem innego. Błękitne oczy, żartobliwa tkliwość, zaskakująca chwilami, poważna intonacja głosu, to wszystko sprawiało, że na samo jego wspomnienie odczuwała głębokie zmieszanie i pożądała tylko jednego: żeby ugięły ją jego ręce; potem zapomniałaby o nich i zamieniła je na inne, jak się rzeczywiście stało; ale w tej chwili gorąco pragnęła do niego należeć. Podejrzewając więc Tancreda o romans z diuszesa (którego zresztą w ogóle nie było) doznała najbardziej niedorzecznego ze wszystkich uczuć: zazdrości retrospektywnej; jednakże atak ten szybko minął przy chłodnym podsumowaniu wszystkich „za” erotycznych i nieerotycznych, jakie da jej małżeństwo z Tancredem.

Don Fabrizio wygłaszał w dalszym ciągu hymny pochwalne na cześć Tancreda. Porwany uczuciem, mówił o nim jak o jakimś Mirabeau.

– Zaczął wcześniej i dobrze zaczął. Zajdzie daleko.

Gładkie czoło Angeliki skłoniło się w niemym potakiwaniu. Lecz w istocie wcale nie przykładała wagi do przyszłości politycznej Tancreda; była jedną z wielu dziewcząt, dla których wydarzenia polityczne zachodzą jak gdyby na innej planecie, i nie wyobrażała sobie nawet, że przemówienie Cavoura<sup>34</sup> może z biegiem lat, na skutek tysiąca drobnych okoliczności, wpłynąć na jej życie i zmienić je. Myślała po sycylijsku: „Mamy pszenicę i to nam wystarcza; po co ta cała reszta!” Naiwne dziewczęce mrzonki, które musiała porzucić bezpowrotnie z upływem czasu, gdy stała się jedną z najbardziej jadowitych egerii Montecitoria i Consulty<sup>35</sup>.

– A poza tym pani jeszcze nie wie, Angelico, jaki Tancredi umie być zabawny. Wie wszystko, widzi wszystko od niezwykłej strony. Kiedy jest się z nim razem i kiedy on jeszcze w dodatku ma wenę, cały świat wygląda pogodniej, a czasem – poważniej.

O tym, że Tancredi umie być zabawny, Angelica dobrze wiedziała; że potrafi odkrywać nowe światy, tego nie tylko się spodziewała, ale miała na to dowody od 25 października, dnia

---

<sup>33</sup> Głupstewka.

<sup>34</sup> Camillo Cavour (1810 – 1861) – włoski mąż stanu i pierwszy minister królestwa Sardynii, jeden z współtwórców zjednoczonego Królestwa Włoch.

<sup>35</sup> Montecitorio – siedziba włoskiej Izby Deputowanych w Rzymie; Consulta – siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

owego osławionego, lecz nie jedyne go pocałunku, dostrzeżonego oficjalnie poprzez zdradziecki żywopłot z wawrzynu. Ten pocałunek był rzeczywiście o wiele subtelniejszy i bardziej porywający oraz całkiem inny od tego, jaki złożył na jej ustach przed rokiem syn ogrodnika z Poggio w Cajano. Natomiast niewiele obchodziły Angelikę przejawy dowcipu i inteligencji nawet u własnego narzeczonego, a w każdym razie te sprawy były dla niej bez porównania mniej ważne niż dla tego drogiego don Fabrizia, który był naprawdę taki drogi, ale także taki „intelektualny”! W Tancredzie widziała możliwość zajęcia poczesnego miejsca w świecie arystokracji sycylijskiej, w tym świecie, który wyobrażała sobie jako pełen cudów, całkiem innych od tych, jakie zawierał w istocie, a także pragnęła znaleźć w swoim mężu żywiołowego kochanka. Jeśli prócz tego miał ją jeszcze przewyższać umysłowo, tym lepiej, ona nie miała pod tym względem żadnych ambicji.

Bawić się mogła zawsze. Zresztą były to myśli dotyczące przyszłości: na razie, bez względu na to, czy Tancredi był mądry, czy głupi, chciała go mieć w tej chwili przy sobie, żeby ją chociaż połechtał w kark pod warkoczami, jak to już niegdyś zrobił.

– Boże, Boże, jak ja bym chciała, żeby on tu był razem z nami!

Okrzyk ten wszystkich napełnił wzruszeniem, dlatego że zabrzmiał nad wyraz szczerze, a także dlatego, że nie znano przyczyny, która go wywołała; na tym skończyła się ta udana pod każdym względem pierwsza wizyta. Istotnie, zaraz potem Angelica i jej ojciec pożegnali się; poprzedzani przez chłopca stajennego niosącego zapaloną latarnię, która niepewnym złotem światła rozjarzała czerwień opadłych liści platanów, ojciec i córka wrócili do domu, tego domu, do którego Peppe Łajno nie miał wstępu: przeszkodziły mu kule z dubeltówki, które rozszarpały mu nerki.

Gdy don Fabrizio odzyskał pogodę ducha, wprowadził u siebie mile pochłaniający go zwyczaj wieczornej lektury. W jesieni po różańcu było już za ciemno, żeby wychodzić na dwór, więc cała rodzina w oczekiwaniu kolacji skupiała się przy kominku i książkę stojąc czytał głośno parę rozdziałów współczesnej powieści; pełna godności dobroduszość tryskała ze wszystkich jego porów.

Były to lata, w których poprzez powieści tworzyły się owe mity literackie, które do dziś dnia dominują nad umysłowością europejską. Lecz Sycylia, po części wskutek swego tradycyjnego braku zainteresowania dla tego, co nowe, po części z powodu ogólnego braku znajomości jakiegokolwiek języka, a także, co dodać należy, z powodu nieubłaganej burbońskiej cenzury działającej poprzez urzędy celne, w ogóle nie wiedziała o istnieniu Dickensa, George Eliota, George Sand i Flauberta; nie słyszała nigdy nawet o Dumasie. Kilka tomów Balzaka co prawda zdołało dotrzeć pokątną drogą do rąk księcia, który podjął się roli domowego cenzora; przeczytał je i potem pożyczył znajomemu, którego bardzo nie lubił, twierdząc, że są to utwory pisarza kipiącego żywotnością, ale narwanego i „opętanego” (dzisiaj powiedziałby: „opętanego monomanią”); sąd, jak widzimy, pochopny, lecz nie pozbawiony bystrości. Paziom czytanych na głos przez księcia książek był więc raczej niski, tym bardziej że wybór dzieł musiał być taki, by nie uraziły one wstydu dziewiczego panienek, skrupułów religijnych księżnej oraz godności własnej księcia, który nigdy nie dopuściłby do tego, żeby zgromadzona w komplecie rodzina słuchała jakichś „świństw”.

Przyszedł dzień 10 listopada; pobyt w Donnafugacie dobiegał końca. Padał rześisty deszcz, wiał wilgotny północno-zachodni wiatr, wściekle bębniąc potokami wody w szyby; z dala dobiegał przeciągły huk grzmotów, niejedna z kropel deszczu przeciskała się przez komin na prymitywne paleniska sycylijskie, padając czarną plamką na rozżarzone szczapy oliwkowego drzewa. Czytano *Angiolę Marię*, do końca pozostało jeszcze zaledwie kilka stron; opis przerażającej podróży młodej panienki po mroźnej, ośnieżonej Lombardii budził zimne dreszcze w sycylijskich sercach dziewcząt, chociaż siedziały w ciepłe miękkich foteli. Nagle dał się słyszeć tupot w sąsiednim pokoju i wszedł zadyszany lokaj Mimi.



– Ekscelencje – zawołał na całe gardło, zapominając o swoich zazwyczaj nieposzlakowanych manierach – ekscelencje, przyjechał panicz Tancredi! Jest na podwórzu, kazał już wyładować bagaż z powozu. O Madonno, śliczna Matko nasza, w taką niepogodę!

I wybiegł.

Niespodziewana wiadomość zaskoczyła Concettę w czasie, który nie wiązał się już z rzeczywistością. Wykrzyknęła:

– Drogi mój!

Lecz sam dźwięk własnego, głosu przywołał ją do smutnej rzeczywistości. Nietrudno się domyślić, ile dotkliwego bólu sprawiło jej przejście od ukrywanego, gorącego uczucia do jawnej, ale nieszczerzej powściągliwości wobec kuzyna; na szczęście, ten okrzyk utonął w ogólnym gwarze i nikt go nie dosłyszał.

Don Fabrizio pomaszerował długimi krokami w kierunku schodów, za nim ruszyła hurmem cała rodzina; minęli szybko ciemne salony i zeszli na dół; wielkie odrzwia prowadzące na zewnętrzne schody i podwórze otwarte były na oścież; wpadał przez nie wiatr wprawiając w drżenie płótna portretów, niosąc wilgoć i zapach ziemi; na tle przecinanego błyskawicami nieba drzewa miotają się i szeleściły jak rozdzierany jedwab. Don Fabrizio przestępował właśnie próg, gdy na ostatnim stopniu schodów pojawiła się niekształtna, ogromna postać: był to Tancredi, okutany w obszerny błękitny płaszcz piemontkiej kawalerii, tak przesiąknięty deszczem, że zrobił się czarny i musiał ważyć ze sto kilo.

– Uważaj, wujaszku! Nie dotykaj mnie, jestem jak gąbka!

Światło padające z latami przedsionka oświetliło jego twarz. Wszedł, odpiął łańcuszek, który przytrzymał płaszcz na szyi, i zrzucił go z ramion. Płaszcz upadł, a raczej głośno chlupnął na podłogę. Tancredi pachniał jak zmokły pies i od trzech dni nie zdejmował długich butów, ale to był on: dla don Fabrizia, który go ścisnął, najdroższy pod słońcem chłopak, kochany bardziej od rodzonych dzieci; dla księżnej – drogi siostrzeniec, perfidnie obmawiany; dla ojca Pirrone – zagubiona i stale odnajdywana owieczka; dla Concetty – najdroższa zjawia przypominająca jej utraconą miłość. Pocałowała go także mademoiselle Dombreuil swymi nieprzywykłymi do pieszczot ustami i wykrzykiwała, biedactwo:

– *Tancredi, Tancredi, pensons à la joie d'Angelica!*<sup>36</sup>

Jej harfa miała tak niewiele strun, że mademoiselle nie pozostawiało nic innego, jak wyobrazić sobie radość innych. Co do Bendica, to odnalazł on dawnego towarzysza zabaw, który, jak nikt na świecie, potrafił mu dmuchać w nozdrza przez zaciśniętą pięść, ale okazywał swoją nieprzytomną radość na psi sposób, galopując entuzjastycznie wokół przedsionka i nie troszcząc się o swego umiłowanego pana.

Owa chwila, kiedy cała rodzina skupiła się dokoła powracającego młodzieńca, należała naprawdę do najbardziej wzruszających; Tancredi był im jeszcze tym droższy, że nie należał do najbliższej rodziny, a on sam był tym weselszy, że przyjechał po miłość, która dać mu miała ponadto poczucie zapewnionej na zawsze przyszłości. Chwila wzruszająca, ale także długa. Gdy minęło pierwsze uniesienie, don Fabrizio spostrzegł stojące na progu jeszcze dwie postacie, też ociekające wodą i też uśmiechnięte. Tancredi również oprzytomniał i zaczął się śmiać.

– Wybaczcie mi, ale z radości straciłem głowę. Ciociu – rzekł zwracając się do księżnej – pozwoliłem sobie przywieźć mego serdecznego przyjaciela hrabiego Carla Cavriaghi. Zresztą znacie go już, przychodził często do pałacu, kiedy był w służbie generała. A ten drugi to lansjer Moroni, mój ordynans.

Uczciwa, nieco głupkowata twarz żołnierza była roześmiana; stał na baczność, z jego płaszcza kapą na podłogę woda. Ale hrabicz nie stał na baczność: zdjąwszy czapkę przemokniętą i wymiętoszoną, całował ręce księżnej, olśniewał dziewczęta jasnymi wąsikami

---

<sup>36</sup> Tancredzie, Tancredzie, pomyśl o radości Angeliki!

i swoim dobitnym „r” wymawianym z francuska.

– I pomyśleć tylko, że mi mówiono, jakoby tutaj u was nigdy nie było deszczu! Boże jedyny, toż od dwóch dni czujemy się jak w morzu! – Potem spowaźniał: – Powiedz mi, Falconeri, gdzie jest panna Angelica? Ściągnąłeś mnie aż tutaj z Neapolu, żeby mi ją pokazać. Widzę wiele pięknych dam, ale jej nie ma. – Zwrócił się do don Fabrizia: – Słuchając go, proszę księcia, można pomyśleć, że to królowa Saba. Chodźmy pokłonić się natychmiast tej najzgrabniejszej, najbardziej kruczowłosej! No, rusz się, ty zakuty łbie!

Mówiąc tak prznosił żargon kantyny oficerskiej do surowego wnętrza pałacowej komnaty obwieszanej podwójnym rzędem uzbrojonych i przystrojonych wstęgami przodków; bawiło to wszystkich. Ale don Fabrizio i Tancredi byli nie w ciemności, znali don Calogera, znali tę „Piękną Klacz” jego żonę, znali niewiarygodnie zaniedbane mieszkanie tego bogacza, rzeczy, których nie zna niepokalana Lombardia.

Don Fabrizio wmieszał się do rozmowy:

– Drogi hrabio, przypuszczał pan, że na Sycylii nigdy nie ma deszczu, a tymczasem przekonał się pan, że leje jak z cebra. Nie chciałbym, aby pan przypuszczał, że nie można się tu nabawić zapalenia płuc, a potem położył się do łóżka z 40 stopniami gorączki. Mimi – rzekł do swego służącego – zapal na kominku w pokoju panicza Tancreda i w gościnnym pokoju.

I przygotuj obok pokoik dla żołnierza. A pan, panie hrabio, pójdziesz się teraz osuszyć i zmienić ubranie. Każę panu przysłać poncz i biszkopty. Kolacja jest za dwie godziny, o ósmej.

Cavriaghi przywykł od zbyt dawna do służby wojskowej, by nie usłuchać od razu władczyego głosu. Zasalutował i podążył melancholijnie za lokajem. Moroni niósł wojskowe kuferki i krzywe szable w pokrowcach z zielonej flaneli.

A tymczasem Tancredi pisał:

*Najdroższa Angelico, przyjechałem, i przyjechałem dla ciebie. Jestem zakochany jak kot, ale także mokry jak żaba, brudny jak bezpieczeństwa pies i głodny jak wilk. Gdy tylko doprowadzę się do porządku i uznaję, że mój wygląd jest godny najpiękniejszej z pięknych, pośpieszę do ciebie. Do zobaczenia za dwie godziny. Wyrazy szacunku dla twoich Rodziców. Dla ciebie... na razie nic.*

Podsunał tekst do ocenzurowania księciu, który był zawsze pełen podziwu dla: stylu Tancreda, i list zyskał jego pełną aprobatę. Donna Bastiana miała dość czasu, by wyszukać sobie nową dolegliwość. Bilecik został wysłany od razu.

Impet ogólnej radości był tak zawrotny, że obydwu młodzieńcom wystarczył kwadrans na osuszenie się, toaletę osobistą, zmianę mundurów i znalezienie się w Salonie Leopolda przy kominku. Pili herbatę z koniakiem i pozwalali się podziwiać. W owym czasie nie było ludzi mniej obeznanych ze środowiskiem wojskowych niż rodziny arystokratów sycylijskich; oficerów burbońskich nie widywano nigdy w salonach w Palermo, a nieliczni garibaldzcy, którzy do nich dotarli, robili raczej wrażenie malowniczych strachów na wróble niż wojskowych z krwi i kości. Tak więc ci dwaj oficerowie byli rzeczywiście pierwszymi, jakich panny Salina oglądały z bliska. Dbaj mieli kurtki dwurzędowe, Tancredi ze srebrnymi guzikami lansjerów, Carlo ze złotymi bersalierów; czarny kołnierz z aksamitu był obszyty pomarańczową wypustką u pierwszego, szkarłatną u drugiego; wyciągnęli w stronę ognia nogi w sukiennych spodniach, które u Tancreda były niebieskiego koloru, u Carla – czarnego. Srebrne i złote naszywki na rękawach wiły się nieskończoną ilością esów floresów. To wszystko wprawiło w zachwyt dziewczęta, przywykłe do surowych surdutów i żąłobnych fraków. Budująca powieść leżała porzucona na fotelu.

Don Fabrizio nie mógł się połapać: pamiętał ich obu raczej niestarannie ubranych, w czerwonych jak raki mundurach.

– Więc wy, garibaldzcy, nie nosicie już czerwonych koszul?

Obydwaj obrócili się tak gwałtownie, jak gdyby ukąsiła ich żmija.

– Jacy znowu garibaldzcy, wujaszku?! Byliśmy kiedyś garibaldzcykami, mamy to już za sobą! Cavriaghi i ja, Bogu Najwyższemu dzięki, jesteśmy teraz oficerami regularnego wojska jego królewskiej mości króla Sardynii jeszcze na przeciąg kilku miesięcy, a niedługo – zjednoczonej Italii. Po rozwiązaniu wojska Garibaldiego mieliśmy do wyboru: albo wracać do domu, albo pozostać w królewskiej armii. On i ja, jak wielu innych, wstąpiliśmy wreszcie do prawdziwego wojska. Z tamtymi trudno było wytrzymać, prawda Cavriaghi?

– Boże mój, co to byli za ludzie! Zdatni tylko do bitki, i na tym koniec. Teraz, mamy do czynienia z ludźmi z towarzystwa, słowem jesteśmy naprawdę oficerami.

I podkręcał wąsika, z grymasem młodzieńczego niesmaku.

– Zdegradowali nas o jeden stopień, wiesz, wujaszku? Tak niewiele mieli szacunku dla naszego doświadczenia wojskowego. Ja z kapitana zjechałem na porucznika, o widzisz – i pokazywał dwie gwiazdki na naramiennikach – on był porucznikiem, teraz jest podporucznikiem. Ale jesteśmy tacy zadowoleni, jakbyśmy dostali awans. Teraz naprawdę szanują nasze mundury.

– No, myślę – wtrącił Cavriaghi – teraz już się ludzie nie boją, że im będziemy kraść kury.

– Trzeba ci było widzieć, jak to wyglądało, kiedy zatrzymywaliśmy się na stacjach pocztowych, żeby wymienić konie. Wystarczyło powiedzieć: „Wieziemy pilne rozkazy Jego Królewskiej Mości”, a konie pojawiały się natychmiast, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej; pokazywali plik rozkazów, które nie były niczym innym jak rachunkami z hotelu w Neapolu, opakowanymi i opatrzonymi pieczęciami.

Po zakończeniu rozmowy o zmianach w wojskowości wszyscy przeszli na lżejsze tematy. Concetta i Cavriaghi usiedli nieco na uboczu i hrabicz pokazywał dziewczynie podarunek, jaki przywiózł jej z Neapolu: *Pieśni* Alearda Aleardi, które kazał wspaniale oprawić. Na ciemnym błękitcie skóry wytłoczona była głęboko książęca korona, a pod nią inicjały „C.C.S.” Niżej jeszcze, dużymi, podobnymi do gotyckich literami wypisane były dwa słowa: „Zawsze głucha”. Rozbawiona Concetta śmiała się:

– Dlaczego głucha, hrabio? C.C.S. słyszy doskonale.

Twarz hrabicz zapłonęła młodzieńczą namiętnością.

– Głucha, tak, głucha, proszę pani! Głucha na moje westchnienia, głucha na moje jęki, a także ślepa, ślepa na błaganie moich oczu. Żeby pani wiedziała, jak ja cierpiałem w Palermo, kiedy państwo stamtąd wyjeżdżali: ani jednego pozdrowienia, ani jednego znaku, kiedy karetka zniknęła w alei. I mam pani nie nazywać głuchą! Powinienem być kazać napisać „Okrutna”!

Chłód dziewczyny zmroził jego literackie podniecenie.

– Pan jest jeszcze zmęczony długą podróżą, więc pańskie nerwy nie są w porządku. Niech się pan uspokoi i przeczyta mi raczej jakiś ładny wiersz.

Podczas gdy bersalier czytał zboląłym głosem sentymentalne wiersze, robiąc pauzy pełne melancholii, Tancredi wyjmował z kieszeni puzderko obite lazurowym aksamitem.

– Oto pierścionek, wujaszku, pierścionek, który dam Angelice; a raczej pierścionek, który ty jej dasz swoją ręką.

Nacisnął sprężynkę; ukazał się bardzo ciemny szafir, rżnięty w płaski ośmiobok, otoczony gęsto dokoła małymi brylantami najczystszej wody. Rodzaj klejnotu raczej ponury, ale w najwyższym stopniu odpowiadający cmentarnym gustom epoki, a poza tym posiadał wartość dwustu dukatów, które posłał Tancredowi don Fabrizio. W istocie pierścionek kosztował znacznie mniej: w owym okresie ucieczek i rozbojów trafiało się w Neapolu wiele okazji taniego kupna przepięknej biżuterii; za różnicę ceny młody książę nabył broszkę na pamiątkę dla baletnicy Schwarzwald. Wołano także Concettę i Cavriaghiego, żeby podeszli podziwiać to cacko, ale obydwójce nie ruszyli się z miejsca: Cavriaghi dlatego że widział już pierścionek, a Concetta wolała odłożyć tę przyjemność na później. Pierścionek przechodził z ręki do ręki,

zachwycano się nim, podziwiano go. Wychwalano też dobry gust Tancreda, o którym zresztą wszyscy mieli zawsze jak najlepsze mniemanie. Don Fabrizio zapytał:

– Czy tylko będzie odpowiedni na wielkość? Trzeba by go posłać do Girgenti i tam dopasować.

Oczy Tancreda złośliwie zamigotały:

– To zbyt duże, wuju. Będzie pasował jak ulał. Wziąłem miarę już przedtem.

Don Fabrizio zamilkł: skłonił głowę przed mistrzem.

Puzderko obiegło przez wszystkie ręce wokół kominka i właśnie wróciło do Tancreda, kiedy spoza drzwi dało się słyszeć pokorne:

– Czy można?

Była to Angelica. Z pośpiechu i przejęcia, nie znalazła nic lepszego dla ochrony przed deszczem i narzuciła po prostu na siebie rodzaj opończy, luźny wiejski płaszcz z szorstkiego materiału. Otulona w sztywne, granatowe fałdy wydawała się szczupluteńka. Spod zmokniętego kaptura jaśniały jej zielone oczy, niespokojne i oszołomione: biła z nich zmysłowość.

Widok Angeliki oraz kontrast pomiędzy jej pięknnością i prostym, wiejskim okryciem podziały na Tancreda jak uderzenie biczem; wstał, podbiegł do niej bez słowa i pocałował ją w usta. Puzderko, które trzymał w prawej ręce, łechtalo jej przegiętą szyję. Potem pocisnął sprężynkę, wyjął pierścionek i wsunął go Angelice na serdeczny palec; puzderko upadło na podłogę.

– Masz, moja śliczna, to dla ciebie od twojego Tancreda. – Znowu obudziła się w nim ironia: – I podziękuj za ten pierścionek także wujaszкови.

Potem po raz drugi przytulił ją do siebie: napięcie zmysłowe przyprawiło ich o drzenie; salon i wszyscy obecni w nim ludzie wydawali się im bardzo dalecy. Tancredi doznał przejmującego wrażenia, że wraz z tymi pocałunkami obejmuje z powrotem władzę nad Sycylią, nad tą ziemią złotych zbiorów, nad tą ziemią piękną i zdradziecką, która przez wieki całe była w posiadaniu Falconerich i która teraz, po daremnym buncie, podporządkowywała mu się znowu jak przedtem, jak zawsze jego przodkom.

Z powodu przyjazdu tak miłych gości odłożono powrót do Palermo i nastąpiły dwa tygodnie bajki. Huragan, który towarzyszył podróży dwóch oficerów, był na szczęście ostatni z długiej serii, i po nim rozbłysnęło lato Świętego Marcina, które jest okresem szaleństwa na Sycylii: pogoda świetlista i błękitna, łagodna oaza wśród nagłych zmian pór roku, która swoją miękkością pobudza zmysły, a ciepłem zachęca do tajemnych obnażeń. W pałacu w Donnafugacie nie doszło wprawdzie do tego, ale rozegrało się tam szaleństwo rozegzaltowanej zmysłowości, tym potężniejsze, im bardziej mitygowane. Przed osiemdziesięciu laty pałac Salina był ośrodkiem wielu grzesznych uciech, w których lubowano się u schyłku osiemnastego wieku; lecz potem regencja surowej księżnej Karoliny, religijność Restauracji, umiarkowanie swawolny charakter don Fabrizia przesłoniły je cieniem zapomnienia; upudrowane diabłatka przepędzono na cztery wiatry; istniały jeszcze, na pewno, ale jako larwy pogrążone w letargu pod grubą warstwą kurzu, lichy wie na którym ze strychów tego ogromnego gmachu. Pojawienie się w pałacu pięknej Angeliki ocuciło nieco owe larwy, jak czytelnik zapewne pamięta; lecz dopiero przyjazd zakochanych młodzieńców obudził na dobre w tym domu przygłuszoną dotąd zmysłowość. Wdzierały się one teraz wszędzie, niczym mrówki ciągnące do słońca; pozbawione trującego jadu, lecz niemniej żywiołowe. Już sama architektura pałacu i jego rokokowe wnętrza pełne nieoczekiwanych wypukłości nasuwały porównanie do sterczących piersi; otwarcie każdych drzwi wydawało dźwięk podobny do szelestu kotar w alkowie.

Cavriaghi był zakochany w Concetcie, ale przy tym jeszcze taki chłopiący, nie tylko zewnątrz, jak Tancredi, lecz i z usposobienia, że miłość jego znajdowała ujście w

łatwiutkich rymach Pratiego i Aleardiego, w marzeniach o romantycznych porwaniach w księżycowe noce, przy czym nie zastanawiał się nigdy nad ich logicznym następstwem. Zresztą obojętność Concetty mroziła w zarodku wszystkie jego: sny. Kto wie, czy w zaciszu swego zielonego pokoju nie oddawał się bardziej konkretnym marzeniom; jedno jest pewne, że w owej pełnej kokieterii scenografii jesiennej w Donnafugacie jemu przypadła rola szkicowania obłoków i zanikających horyzontów, a nie masywów architektonicznych. Dwie panienki natomiast, Carolina i Caterina, doskonale odegrały swoje partie w tej symfonii pożądania, która rozbrzmiewała owego listopada w całym pałacu i zlewała się z szumem fontann w ogrodzie, ze stukotem kopyt zakochanych ogierów w stajniach i z zaciekłym chrobotem korników żłobiących w starych meblach gniazda małżeńskie. Obydwie były młodzusięńkie i ładne, i choć nie miały wielbicieli, dały się porwać bijącemu z innych prądowi namiętności; często pocałunek, którego Concetta odmawiała Cavriaghiemu, uścisk Angeliki, który nie zaspokajał Tancreda, muskały ich niewinne ciała zmysłowym dotknięciem. Nawet nieszczęsna mademoiselle Dombreuil, zmuszona do ,odgrywania roli piorunochronu, niczym zarażony lekarz psychiatra, który popadł w dziwactwa swoich pacjentów, pozwoliła się wciągnąć w ten wir groźny i roześmiany. Gdy po całym dniu pogoni i umoralniających zasadzek kładła się wreszcie do samotnego łóżka, poklepywała swój zwiędły biust i wzywała zachłannym szeptem Tancreda, Carla, Fabrizia...

Ośrodkiem i motorem tego uniesienia zmysłowego była oczywiście para Tancredi – Angelica. Pewny już, choć nie bliski jeszcze ślub rozpościerał swój opiekuńczy cień nad grząskim gruntem ich wzajemnego pożądania. Wskutek różnicy środowisk don Calogero sądził, że długie rozmowy sam na sam narzeczonych są czymś przyjętym w arystokratycznej sferze, a Maria Stella z podobnych względów patrzyła przez palce na częste wizyty i swobodne zachowanie Angeliki, którego nie zniosłaby u własnych córek. Tak więc Angelica przychodziła do pałacu coraz częściej, aż wreszcie zaczęła prawie stale tam przesiadywać. Odprowadzał ją tylko formalnie ojciec, który zaraz szedł do administracji, by tam myszkować i węszyć interesy, albo stara służąca, która znikwała natychmiast, by napić się kawy i obrzydząć życie pałacowej służbie.

Tancredi chciał, żeby Angelica zwiedziła tę olbrzymią rezydencję, wszystkie jej gościnne pokoje, salony recepcyjne, kuchnie, kaplice, sale teatralne, galerie obrazów, zalatujące specyficznym zapaszkiem składy skór, duszne cieplarnie, stajnie, wąskie korytarzyki, schodki, tarasy, podcienia, a przede wszystkim cały kompleks apartamentów opuszczonych i nie zamieszkanym od dziesiątków lat, które tworzyły istny labirynt, tajemniczy i zagmatwany. Tancredi nie zdawał sobie sprawy (albo też zdawał sobie sprawę doskonale), że wciąga dziewczynę w samą orbitę cyklonu zmysłowego; a Angelica w owym czasie chciała tego, czego chciał Tancredi. Wyprawy odkrywcze po tym niemal bezkresnym gmachu przeciągały się w nieskończoność; wyruszali jak na zdobycie nieznanymi terenów i były one naprawdę nieznanymi, bowiem nawet don Fabrizio nie przestąpił nigdy progów wielu z tych komnat i zakamarków. Było to zresztą dla niego źródłem wielkiego zadowolenia, gdyż, jak powiadał, rezydencja, w której zna się każdy zakątek, niegodna jest, by w niej mieszkać. Zakochana para wybierała się w podróż na Cyterę okrętem składającym się z ,ciemnych pokoi i z pokoi słonecznych, z wnętrza olśniewających swoim przepychem i z prymitywnych, z pustych lub zawałonych niepotrzebnymi gratami. Odjeżdżali z Cavriaghiem albo z mademoiselle Dombreuil (ojciec Pirrone, z przebiegłością cechującą jego zgromadzenie, zawsze odmawiał swego towarzystwa), czasami z obojgiem naraz: pozory były uratowane. Lecz w pałacu Donnafugaty nietrudno było pozbyć się depczącego po piętach natręta; wystarczyło zapaść się w jeden z korytarzy (a były one bardzo długie, wąskie i kręte, z grubo zakratowanymi okienkami, wzbudzające mimowolne uczucie przygnębienia), zboczyć na jakiś taras, wejść na jakieś schodki, jakby stworzone do pomocy w ucieczce, i narzeczeni byli już daleko, niewidzialni, samotni jak na bezludnej wyspie. Spoglądał na nich tylko

wyblakły pastelowy portret, oślepiiony na skutek wadliwej techniki niedoświadczonego malarza, albo pasterka ze szerniałego plafonu, od pierwszej chwili przyjaźnie nastawiona. Cavriaghi zresztą szybko zaczynał odczuwać znużenie i gdy tylko odnajdywał któryś ze znanych sobie pokoi lub schody prowadzące do ogrodu, rezygnował z pogoni zarówno dlatego, by zrobić przyjemność przyjacielowi, jak i dlatego, by wzdychać spoglądając na nieczule ręce Concetty. Guwernantką była bardziej wytrwała, lecz w końcu i ona kapitulowała; przez pewien czas dobiegały ich coraz to słabsze nawoływania, na które nigdy nie otrzymywała odpowiedzi:

– *Angelica, Tancredi, où?*<sup>37</sup>

Potem wszystko tonęło w ciszy przerywanej tylko galopem myszy nad sufitem, szelestem porzuconego przed stu laty listu, który gnany podmuchem wiatru sunął po podłodze: preteksty do upragnionego lęku, by móc silniej tulić się do siebie. Złośliwy i zawzięty Eros nie opuszczał ich ani na chwilę; wciągał narzeczonych w grę pełną magii i hazardu. Oboje byli jeszcze prawie dziećmi, więc znajdowali przyjemność już w samej zabawie, w gonitwach, w chowaniu się, odnajdywaniu. Lecz wystarczyło, by zbliżyli się do siebie, a od razu brały górę ich wyostrome zmysły; pięć palców Tancreda splatało się z palcami dziewczyny tym ulubionym gestem ludzi pobudliwych, lecz niezdecydowanych; gdy pieścili poduszczkami palców bladawe żyłki na dłoniach, przenikały ich na wskroś dreszcze; było to preludium do pieszczot bardziej intymnych.

Pewnego razu Angelica schowała się za ogromny stojący pod ścianą obraz i przez chwilę *Arturo Corbèra podczas oblężenia Antiochii* ukrywał pod swoim opiekuńczym skrzydłem tęskny niepokój dziewczyny; gdy tylko Tancredi znalazł narzeczoną z nitkami pajęczyn na uśmiechniętych ustach, z uwalanymi kurzem rękami, objął ją i mocno przytulił do siebie. Trwali tak bez końca, a ona powtarzała raz po raz: „Nie, Tancredi, nie!”, co było raczej zachętą niż obroną, bo on przecież tylko trzymał ją w ramionach, pożerając swoimi niebieskimi oczyma jej zielone oczy. A innym razem, jasnego i chłodnego ranka, gdy Angelica trzęsa się z zimna w swojej letniej sukience, usiadł z nią na kanapie, której obicie porwane było w strzępy, i przycisnął mocno do siebie, by ją ogrzać. Jej wonny oddech rozwiewał mu włosy na czole i były to chwile pełne ekstazy i cierpienia, w których pożądanie stawało się torturą, a wstrzemięźliwość – rozkoszą.

Pokoje w opuszczonych apartamentach nie miały ani określonego charakteru, ani nazw, i młodzi, podobnie jak odkrywcy Nowego Świata, chrzcili je po swojemu, upamiętniając owe komnaty tym, co w nich znajdowali. Duży pokój sypialny, gdzie stało w alkwie widmo łoża z baldachimem ozdobionym szkielecikami strusich piór, wspominali potem jako „Pokój piór”; schodkom ze stopniami z czarnego kamienia, śliskim i obłupanym, Tancredi dał nazwę „Schodków szczęśliwych pośliznięć”. Zdarzało się często, że nie wiedzieli, gdzie się znajdują; na skutek krążenia z miejsca na miejsce, gonitw, długich postojów wypełnionych szepkami i uściskami tracili orientację i musieli wychylać się przez pozbawione szyb okno, by zorientować się po widoku dziedzińca czy perspektywie ogrodu, do którego skrzydła pałacu dotarli. Czasami pomimo to dalej nie mogli się połapać, bo okno wychodziło na jakieś ślepe podwórko, nieznane i nie widziane nigdy dotychczas, na którym leżało tylko ściervo zdechłego kota lub widniała plama pasty pomidorowej, nie wiadomo czy wyrzuconej, czy wymiotowanej, a z przeciwległego okna szpiegowały ich oczy starej zniedołężniałej pokojówki. Pewnego popołudnia znaleźli w jednej z szaf cztery pozytywki, te grające pudełeczka, które wprawiały w zachwyt naiwnych i pełnych afektacji ludzi osiemnastego wieku. Trzy z nich, tonące w kurzu i pajęczynach, były zepsute, ale czwarta, nieco nowsza i szczelniej zamknięta w puzderku z ciemnego drzewa, puściła w ruch swój miedziany cylinder pokryty nacięciami; stalowe języczki zaczęły się unosić i dała się słyszeć nagle delikatna

---

<sup>37</sup> Angeliko, Tancredi, gdzie jesteście?

muzyczka, rozbrzmiewająca wysokimi, srebrzystymi tonami: słynny *Karnawał w Wenecji*. A oni dostosowali swoje pocałunki do rytmu tych dźwięków radości bez złudzeń. Potem, gdy rozluźnili uścisk ramion, zdziwili się uświadamiając sobie, że muzyka już dawno ustała i że ich uczucia szły tylko śladem umilkłego echa przebrzmiałej melodii.

Innym razem spotkała ich niespodzianka innego rodzaju. W starym gościnnym pokoju zauważyli ukryte za szafą drzwi; stuletni zamek łatwo ustąpił pod tymi palcami, które z taką rozkoszą splatały się ze sobą i wyłamując go muskały się wzajemnie; w głębi długie wąskie schody prowadziły na górę harmonijką stopni z różowego marmuru. Dalej drugie drzwi, otwarte, wybite grubym suknem, z którego pozostały tylko strzępy, a za drzwiami przyjemny i trochę niezwykły apartamencik: sześć niewielkich pokoi skupionych wokół nieco obszerniejszego salonu; wszędzie podłogi ze śnieżnobiałego marmuru, spadające lekką pochyłością ku wąskiemu kanalikowi biegnącemu wzdłuż ścian. Na niskich sklepieniach dziwaczne barwne stiuki, które na szczęście pod działaniem wilgoci straciły swoją wymowę. Na ścianach duże zdziwione lustra, okolone osiemnastowiecznymi lichtarzami, zawieszone zaskakująco nisko, jedno z nich rozbite uderzeniem wycelowanym prawie w sam środek. Okna wychodziły na ponure zamknięte podwórko, coś w rodzaju głuchej i ślepej studni; sączyło się stamtąd popielate światło. We wszystkich pokojach, a także i w salonie stały szerokie, za szerokie sofy; z powbijanych na brzegach tapicerskich gwoździ zwisały jeszcze reszki zdartego obicia; oparcia poplamione; na kominkach delikatne rzeźby w marmurze, wyobrażające nagie, spazmatycznie powykręcane ciała, ale popękane, rozbite wścickłym młotem. Wilgoć poplamiała ściany w górze; plamy, które wypełzły niżej, może także pochodziły z wilgoci, lecz, miały kształt bardzo dziwny, podejrzaną konsystencję i ponure kolory. Tancredi, zaniepokojony, nie pozwolił Angelice dotknąć wmurowanej szafy, otworzył ją sam. Była bardzo głęboka, ale pusta, tylko w kącie stało podłużne zawiniątko z brudnego materiału. Znaleźli w nim pęk cieniutkich różg i bykowców; niektóre z nich zakończone były srebrnymi rączkami, inne obszyte prawie do połowy ślicznym starym jedwabiem w białoniebieskie paski, na którym odcinały się trzy rzędy czarniawych plamek. Poza tym były tam jeszcze metalowe narzędzia niewiadomego przeznaczenia. Tancreda ogarnęło przerażenie, lękał się nawet siebie samego.

– Chodźmy, kochanie, tu nie ma nic ciekawego!

Starannie zamknęli za sobą drzwi, postawili na miejsce szafę; potem przez cały dzień pocałunki Tancreda były leciuteńkie, tkliwe, jak ,gdyby dla ekspiacji.

Powiedziawszy prawdę, to poza Lampartem bicz zdawał się czymś najczęściej spotykanym w Donnafugacie. Następnego dnia po odkryciu owego zagadkowego apartamenciku zakochana para znowu natknęła się na bicz. I to nie w opuszczonych pokojach, ale wprost przeciwnie, w otaczanych wciąż tak zwanych komnatach świętego diuka. Tutaj właśnie schronił się jak w prywatnym klasztorze jeden z rodu Salina, tutaj odbywał pokutę, przygotowując sobie własną drogę do nieba. Były to pokoje niskie, ciasne, podłogi miały wyłożone ordynarną glinianą cegłą, ściany pobielane wapnem. Przypominały ubogie chłopskie izby. Okna ostatniego pokoju wychodziły na wzgórze, z którego rozciągał się widok na opadające pochyłą linią w dół nie kończące się włości, pogrążone w smutnym świetle, żółtawe. Na jednej ze ścian olbrzymi krucyfiks nadnaturalnej wielkości: głowa umęczanego Boga dotykała sufitu, okrwawione stopy podłogi. Rana w boku wyglądała jak otwarte usta, którym brutalna przemoc nie pozwoliła wypowiedzieć ostatecznego słowa zbawienia. Obok boskich zwłok wisiał na gwoździu bicz: sześć pasków ze skóry stwardniałych dziś na kamień, zakończonych kulkami ołowiu wielkości orzecha, umocowanych na krótkim uchwycie. Była to dyscyplina świętego diuka. W tym pokoju Giuseppe Corbera, diuk Salina, własnoręcznie biczował się w obliczu swojego Boga i swojego lenna, i musiało mu się wydawać, że krople jego krwi padają na owe ziemie, by je odkupić, musiało mu się wydawać w boskiej ekstazie, że dopiero przez ten chrzest

zadośćuczynienia staną się one naprawdę jego własnością, krwią jego krwi, kością jego kości. A tymczasem niejednen z tych widocznych z góry zagonów odpadł i przeszedł w obce ręce, między innymi w ręce don Calogera, a więc Angeliki, a więc jej przyszłego syna. Oczywiście odzyskania ojcowizny poprzez to wcielenie piękna, podobna do tamtego odzyskania poprzez krew, przyprawiła Tancreda o zawrót głowy. Angelica, na klęczkach, całowała przebite stopy Chrystusa.

– Widzisz, ty jesteś jak ta dyscyplina, służysz do tych samych celów.

Ponieważ Angelica nie rozumiała i podniósłszy głowę uśmiechała się, piękna, ale bezmyślna, pochylił się i, tak jak klęczała, pocałował ją gwałtownie; dziewczyna aż zadrżała, bo ugryzł ją w wargę i skaleczył w język.

Spędzali te dni we dwoje na sennych włóczęgach, na odkrywaniu piekła, które odkupywała potem miłość, na zwiedzaniu rajów, które nawet miłość profanowała. Niebezpieczeństwo owej gry wzmagalo się, osiągnięcie pełni szczęścia stawało się potrzebą ich obojga; w końcu nie oglądali już niczego po drodze, docierali gdzieś do najodleglejszych pokoi, skąd żaden miłosny krzyk nie dobiegłby do niczyich uszu: ale krzyków nie było, były tylko westchnienia i tłumiony szloch. I trwali tam w samotności, przytuleni do siebie, niewinni, wzajem litując się nad sobą. Największe niebezpieczeństwo kryły w sobie stare gościnne pokoje, położone w najgłębszych zakamarkach pałacu; były w lepszym stanie, a w każdym z nich stało piękne łóżko ze zwiniętym materacem: wystarczyło rozłożyć go jednym ruchem ręki... Pewnego dnia nie mózg Tancreda, który nie miał tu nic do powiedzenia, lecz jego wzburzona krew zadecydowała, że trzeba raz wreszcie z tym skończyć. Tego ranka Angelica, ta piękna kanalia, powiedziała mu: „Jestem twoją oblubienicą”, co zabrzmiało jak zaproszenie i przypomniało mu z całą wyrazistością ów pierwszy prąd pożądania, jaki przebiegł między nimi; już ofiarowywała mu się cała i samiec wziął górę nad mężczyzną, gdy nagle dźwięk dzwonów spadł jak grom na ich leżące postacie i drgające metaliczne tony złąły się z miłosnym drzeniem. Złączone usta musiały w uśmiechu oderwać się od siebie. Ocknęli się, opanowali, a nazajutrz Tancredi miał wyjechać.

To były najlepsze dni i Angeliki, i Tancreda, późniejsze koleje życia każdego z nich, takie urozmaicone i takie grzeszne, upływały im wśród nieuniknionego akompaniamentu cierpienia. Lecz oni nie wiedzieli wtedy o tym i ufnie patrzyli w tę pewną, jak im się zdawało, przyszłość, która okazała się potem jedynie wiatrem i dymem. Kiedy się zestarzel i nabrali niepotrzebnej już mądrości, myśli ich wracały do owych dni z przejmującym żalem: były to dni pożądania ciągle żywego, bo ciągle przewyciężanego, podniet zmysłowych opanowywanych pomimo znajdujących się pod ręką setek pałacowych łóżek; owa powściągliwość zmieniała się na moment w wyrzeczenie, czyli w prawdziwą miłość. Te dni stanowiły wstęp do ich małżeństwa, nieudanego zresztą także pod względem erotycznym; jednakże wstęp ten tworzył całość sam w sobie, był cudowny i krótki, jak owe uwertury, które przetrwały opery, a które zawierają w sobie motywy arii z ich przytłumioną wesołością, tych arii, które potem w operze rozwinęto w sposób niezręczny i bez wyrazu.

Gdy Tancredi i Angelica wracali do świata żywych ze swego wygnania we wszechświecie umarłych występków, zapomnianych cnót, a przede wszystkim odwiecznego pożądania, byli witani z dobroduszną ironią.

– Głuptasy, jak można się tak zabrudzić! Tancredi, zobacz tylko, jak ty wyglądasz! – uśmiechał się don Fabrizio i siostrzeniec wychodził, żeby się oczyścić. Cavriaghi, siedząc okrakiem na krześle, w skupieniu palił cygaro i przyglądał się przyjacielowi, który mył twarz i szyję, prychnąjąc ze wstrętem na widok czarnej jak sadza wody.

– Nie przeczę, Falconeri, że panna Angelica jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką dotychczas zdarzyło mi się widzieć, ale to cię nie usprawiedliwia; Boże Święty, trzeba przecież mieć jakieś hamulce; dzisiaj spędziliście sam na sam trzy godziny; jeżeli jesteście zakochani aż do tego stopnia, pobierzcie się od razu i nie narażajcie się na śmieszność. Trzeba



ci było widzieć dzisiaj twarz jej ojca, kiedy wrócił z administracji i dowiedział się, że żeglujecie jeszcze po tym oceanie komnat! Hamulce, drogi przyjacielu, konieczne są hamulce, a wy, Sycylijczycy, macie ich maciupęńko!

Przemawiał jak z ambony, zadowolony, że ma okazję powiedzieć parę rozsądnych słów starszemu koledze, kuzynowi „głuchej” Concetty. Tancredi, który słuchał go wycierając sobie włosy, był wściekły: oskarżać o brak hamulców jego, który miał ich więcej niż pociąg! Z drugiej strony, poczciwy bersalier miał trochę racji, należało dbać także o pozory; ale był on takim moralistą z zazdrości, bowiem jego zaloty do Concetty, rzecz dla wszystkich oczywista, spaliły na panewce. A poza tym ta Angelica, ten błogi smak krwi, kiedy ugryzł ją dzisiaj w dolną wargę! Ta miękka uległość jej ciała, gdy trzymał ją w ramionach! Ale racja – to wszystko nie miało sensu!

– Jutro pójdziemy zwiedzić kościół; mało tego, zabierzemy jako przyzwoitki mademoiselle Dombreuil i ojca Pirrone.

A tymczasem Angelica szła zmienić suknię do pokoju dziewcząt.

– *Mais Angelicà, est-il Dieu possible de se mettre dans un tel état?*<sup>38</sup> – gorszyła się mademoiselle Dombreuil, podczas gdy piękna dziewczyna w staniku i haleczce myślała sobie ramiona i szyję. Zimna woda uśmierzała jej podniecenie; musiała przyznać w duchu, że guwernantka ma rację; czy warto było tak się naganiać, tak się ubrudzić i narażać na szydercze uśmiešky? Po co? Po to tylko, żeby zaglądać sobie w oczy, pozwalać na pieszczoty tych delikatnych palców i na odrobinę więcej... Warga bolała ją jeszcze. „Dosyć tego, jutro posiedzimy z innymi w salonie!” Ale nazajutrz te same oczy, te same dłonie odzyskiwały znowu swoją magiczną władzę i zakochani rozpoczynali od nowa szaleńcze zabawy, to kryjąc się, to się odnajdując.

Paradoksalny skutek owych postanowień, powziętych przez każde z osobna, lecz identycznych, był taki, że przy kolacji oni dwoje byli najpogodniejsi; pogoda ta płynęła z dobrych intencji na dzień jutrzejszy, toteż bawili się robiąc docinki na temat przejawów cudzych uczuć, nieporównanie mniej żywiołowych od ich własnych. Concetta rozczarowała Tancreda: w Neapolu dręczyły go w stosunku do niej wyrzuty sumienia i dlatego właśnie ściągnął do Donnafugaty Cavriaghiego, w nadziei, że zajmie on jego miejsce przy boku kuzynki; było w tym także trochę współczucia dla Concetty. Spryciarz nie lada, w chwili przyjazdu dyskretnie, choć z leciutką ironią, okazał jej żal za własną zdradę, a potem podsuwał towarzystwo przyjaciela. Nic z tego! Concetta szczebiotała pensjonarską gwarą i patrzyła na sentymentalnego hrabiczka lodowatym wzrokiem, w którym dostrzegało się nawet nieco pogardy. Ta dziewczyna była po prostu głupia; nie można jej niczego nauczyć! No, i w końcu czego ona chciała? Cavriaghi był przystojnym, poczciwym z kośćmi chłopcem, miał piękne nazwisko i dobra w Brianzi przynoszące tłuste dochody, słowem, był tym, co nazywa się potocznie „świetną partią”. No tak, Concetta chciała mieć jego, to prawda. On także kiedyś do niej wzdychał; nie była tak piękna i tak bogata jak Angelica, jednak miała w sobie coś, czego ta mieszkanka Donnafugaty nie będzie miała nigdy. Lecz życie to rzecz poważna, cóż u diabła! Concetta powinna to zrozumieć. A poza tym dlaczego zaczęła go tak źle traktować? Ta scenka w Santo Spirito, a potem wiele innych. Oczywiście, co Lampart to Lampart! Lecz powinny istnieć pewne granice nawet dla tej dumnej bestyjki. „Hamulce, droga kuzynko, trzeba mieć hamulce! A wy, Sycylijki, macie ich maciupęńko!” Natomiast Angelica w duchu przyznawała rację Concettie: Cavriaghi nie miał w sobie ognia; poślubić go, gdy się kochało przedtem Tancreda, to byłoby to samo, co pić wodę po zakosztowaniu marsali, które stało teraz na stole. Tak, brała pod uwagę to, co było przedtem, i rozumiała Concettę. Ale co za gęsi z tej Caroliny i Cateriny! Robiły „słodkie oczy” do Cavriaghiego, mizdrzyły się, kiedy tylko do nich podchodził. No więc! Przy dziedzicznym braku skrupułów

nie mogła pojąć, dlaczego żadna z sióstr nie próbuje odbić Concettie Cavriaghię. „Młodzi chłopcy w tym wieku są jak szczeniaki, wystarczy na nich gwizdnąć, a zaraz zaczynają się łaścić. To idiotki: te Skrupuły, te ceregiele, ta wrodzona duma nie wróżą im nic dobrego na przyszłość!”

Po kolacji mężczyźni szli do salonu wypalić cygaro; Tancredi i Cavriaghi, jako jedyni palący, siedzieli tam samotnie i rozmowy ich przybierały szczególny ton. Hrabicz wyznał przyjacielowi, że stracił już w końcu wszelką nadzieję.

– Ona jest za piękna, za czysta dla mnie; nie kocha mnie, moje złudzenia były zuchwalstwem; wyjadę stąd pełen żalu, ze sztyłem wbitym po rękę w serce. Nawet nie miałem odwagi powiedzieć jej czegoś wiążącego. Czuję, że ona uważa mnie za nędznego robaka, i ma rację; muszę znaleźć sobie do pary jakąś dżdżownicę, która się zadowoli moją osobą.

Miał dziewiętnaście lat, co pozwalało mu żartować z własnych niepowodzeń.

Tancredi, z piedestału swego zapewnionego szczęścia, próbował go pocieszać.

– Słuchaj, znam Concettę od urodzenia; to najmilsza pod słońcem dziewczyna, zwierciadło wszelkich cnót. Ale jest trochę zanadto skryta, zanadto powściągliwa, obawiam się, że ma zbyt wysokie mniemanie o sobie; poza tym jest Sycylijką do szpiku kości, nigdy nie ruszyła się stąd ani na krok; Bóg raczy wiedzieć, czy czułaby się dobrze w Mediolanie, gdzie, żeby zjeść talerz makaronu, trzeba na tydzień naprzód o tym pomyśleć!

Odpowiedź Tancreda, będąca jednym z pierwszych przejawów jedności narodowej, wywołała uśmiech na usta Cavriaghię; żale i smutki nigdy się go długo nie trzymały.

– Już ja bym sprowadzał dla niej skrzyniami ten wasz makaron! No, ale co się stało, to się nie odstanie, i tylko chciałbym wiedzieć, czy twoi wujostwo, którzy okazali mi tyle serca, nie będą mieli do mnie pretensji, że przyjechałem tu robić bezcelowe zamieszanie.

Tancredi uspokoił go w tym względzie i zrobił to szczerze, bo Cavriaghi zawojował wszystkich prócz Concetty (a zresztą może trochę i Concettę) swoim dobrym humorem, który łączył z najbardziej łzawym sentymentalizmem. Potem przeszli na inny temat, rozmawiali o Angelice.

– Widzisz, Falconeri, ty tak, ty jesteś szczęśliwy! Wygrzebać taki brylant jak panna Angelica w tym chlewie! (Wybacz mi, mój drogi!) Jakaż ona piękna, Boże Świąty, jaka piękna! I ty, zbójcu jeden, oprowadzasz ją całymi godzinami po najodleglejszych zakamarkach tego domu, który dorównuje rozmiarami naszej katedrze. A przy tym ona jest nie tylko piękna, ale inteligentna, wykształcona i jeszcze do tego – dobra. Z jej oczu bije dobroć i naiwna niewinność.

Cavriaghi nie przestawał się unosić nad dobrocią Angeliki pod rozbawionym wzrokiem Tancreda.

– Z nas wszystkich naprawdę dobry jesteś tylko ty, Cavriaghi!

Zdanie to nie wywołało oddźwięku w pełnym optymizmu mediolańczyku. Potem hrabicz powiedział:

– Przecież wyjeżdżamy za kilka dni; czy nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyś mnie przedstawił matce baronówny?

Tak więc usta lombardzkie utytułowały po raz pierwszy jego narzeczoną. Początkowo nie zorientował się nawet o kim mowa. Potem zbuntował się w nim książę.

– Jakiej baronówny, Cavriaghi?! To śliczna, przemiła dziewczyna, którą kocham, i na tym koniec!

To „i na tym koniec” nie było zgodne z prawdą, ale Tancredi mówił szczerze: atawistyczne przyzwyczajenie do posiadania olbrzymich włości stwarzało mu złudzenie, że Gibildolce, Settesoli i płócienne woreczki należały do niego od czasów Karola Andegaweńskiego, zawsze.

– Niestety, nie zdążysz już chyba poznać matki Angeliki. Wyjeżdża jutro na kurację do

Sciaccia, „biedaczka jest ciężko chora. – Zgniół w popielniczce niedopałek cygara. – Przejdźmy do salonu; zachowujemy się jak niedźwiedzie, za długo przesiadujemy na osobności.

Pewnego dnia don Fabrizio otrzymał list od prefekta Girgenti, utrzymany w nadzwyczaj uprzejmym tonie, który oznajmiał przybycie do Donnafugaty kawalera Aimona Chevalley di Monterzuolo, sekretarza prefektury; miał on przedstawić księciu pewną sprawę leżącą na sercu rządowi. Zdumiony don Fabrizio wysłał nazajutrz swego syna Francesca Paola na stację pocztową, by powitał owego *missus dominicus*<sup>39</sup> i zaprosił go na nocleg do pałacu. Był to zarówno akt gościnności, jak i prawdziwego miłosierdzia, zapobiegał bowiem rzuceniu ciała piemonckiego szlachcica na pastwę żyjątek, które znęcałyby się nad nim w oberży-speluncie zzu Menica.

Dyliżans przyjechał późnym wieczorem z siedzącym na koźle uzbrojonym strażnikiem i dość nielicznym ładunkiem ponurych twarzy. Wysiadł zeń także kawaler Chevalley di Monterzuolo, którego można było poznać od razu po wystraszonej minie i niepewnym uśmiechu. Przebywał on od miesiąca na Sycylii, i to w jej części najbardziej egzotycznej, gdzie wylądował jadąc wprost ze swego rodzinnego Monferrato. Nieśmiały z natury, biurokrata, czuł się tam jak najgorzej. Miał głowę nabitą owymi opowieściami o napadach rabunkowych, za pomocą których Sycylijczycy lubią wystawiać na próbę odporność nerwową nowo przybyłych, i od miesiąca widział zbira w każdym woźnym swojego urzędu oraz sztylet w każdym nożu do przecinania kartek leżącym na jego biurku; poza tym „kuchnia na oliwie od miesiąca wprowadzała w stan rewolucji jego kiszki. Stał teraz o szarej godzinie ze swoją walizeczką z burego płótna i rozglądał się podejrzliwie po rażąco pozbawionej uroku ulicy, na której go wysadzono; napis „Corso Vittorio Emanuele”, wymalowany niebieskimi literami na białej tabliczce przybitej do ściany na wpół rozwalonego domu, nie wystarczył, by go przekonać, że znalazł się w miejscowości, która pomimo wszystko jest częścią składową jego ojczystego kraju. Nie odważył się również zagadnąć żadnego z chłopów podpierających niczym kariatydy pobliskie domy, będąc pewnym, że nikt go nie zrozumie, i bojąc się pchnięcia w brzuch, który, choć wytracony z równowagi, był mu niemniej drogi.

Gdy podszedł do niego Francesco Paolo i przedstawił mu się, Chevalley wytrzeszczył oczy, przekonany, że wybiła jego ostatnia godzina. Lecz przyzwoity i uczciwy wygląd młodziutkiego blondyna dodał mu nieco otuchy, a gdy zrozumiał, że jest zaproszony na noc do pałacu Salina, odczuł głęboką ulgę. Droga do pałacu, odbywająca się w ciemnościach, umilona została wymianą uprzejmości sycylijskich i piemonckich (należących do najbardziej kwiecistych w Italii) na temat walizki, którą w końcu, choć była bardzo lekka, ponieśli obaj prześcigający się w grzeczności szermierze.

Gdy doszli do pałacu, brodate twarze strażników na pierwszym dziedzińcu znowu wzniciły niepokój w sercu Chevalleya di Monterzuolo, natomiast łaskawa dobroduszość, z jaką przyjął go książę, oraz przepych otoczenia wzbudziły w nim wręcz przeciwne uczucia. Potomek jednej z rodzin drobnej szlachty piemonckiej, która żyła w pełnym godności ubóstwie na swojej ziemi, był po raz pierwszy gościem w wielkopańskim domu i podwajało to jego nieśmiałość; z drugiej strony, krwawe opowieści zasłyszane w Girgenti, wroga atmosfera miasteczka, do którego przyjechał, i zgraja zbirów (jak sądził) obozujących na dziedzińcu budziły w nim strach; tak więc zszedł na kolację doznając dwójakiego rodzaju lęku: onieśmielenia człowieka, który znalazł się w otoczeniu o niebo przewyższającym jego własne, a zarazem trwogi niewinnej ofiary, która wpadła w zasadzkę zbójów.

W czasie kolacji jadł z apetytem, po raz pierwszy zresztą od chwili wylądowania na brzegach Sycylii, poza tym uroda dziewcząt, powaga ojca Pirrone, światowe maniere księcia przekonały go, że pałac w Donnafugacie nie jest jaskinią zbójczą, i napełniły nadzieją, że

---

<sup>39</sup> Poseł monarchy.

najprawdopodobniej wyjdzie zeń żywy i cały. A co pocieszyło go najbardziej, to obecność Cavriaghiego, który, jak się okazało, przebywał tu od dziesięciu dni: wyglądało na to, że czuje się doskonale i przy tym jest w przyjaźni z młodym Falconeri. Owa przyjaźń między Sycylijczykiem i Lombardczykiem wydała mu się czymś na miarę cudu. Po kolacji podszedł do don Fabrizia i poprosił go o chwilę poufnej rozmowy, ponieważ zamierzał wyjechać nazajutrz rano. Ale książę zmiążdżył mu ramię przyjaznym klepieniem i z najbardziej lamparcim z uśmiechów rzekł:

– Nie ma mowy, drogi kawalerze, jest pan, teraz gościem w moim domu i będę pana trzymał jako zakładnika tak długo, jak mi się spodoba; nie wyjedzie pan jutro i dla pewności odłożymy tę rozmowę w cztery oczy na jutro popołudniu.

To zdanie, które trzy godziny przedtem przeraziłoby śmiertelnie zacnego sekretarza, teraz go rozweseliło. Angelica była nieobecna tego wieczora, grano więc w wista. Gość zasiadł przy stoliku z don Fabriziem, Tancredem i ojcem Pirrone i wygrał dwa robry: zarobił trzy liry trzydzieści pięć centesimów; potem wycofał się do swego pokoju, ocenił świeżość pościeli i zasnął ufnym snem sprawiedliwego.

Nazajutrz rano Tancredi i Cavriaghi pokazali mu ogród i kazali podziwiać galerię obrazów oraz kolekcję arrasów. Zaprowadzili go także do miasteczka: w słońcu koloru miodu owego listopada wydało mu się ono o wiele mniej ponure niż poprzedniego wieczora; dostrzegł po drodze kilka uśmiechów i zaczynał nabierać zaufania nawet do wsi sycylijskiej. Zauważył to Tancredi, którego ogarnęła od razu iście sycylijska pokusa zabawiania gości historyjkami mrozącymi krew w żyłach i zawsze, niestety, autentycznymi. Przechodzili właśnie koło zabawnej kamieniczki z fasadą ozdobioną niewprawnie ciosanym kamieniem.

– To, mój drogi panie Chevalley, jest dom barona Mùtolo; teraz jest opuszczony, zamknięty na cztery spusty, bo cała rodzina mieszka w Girgenti od dziesięciu lat, to znaczy od chwili, kiedy syn barona został porwany przez bandytów.

Lombardczyk zaczął się trząść.

– Biedacy, wyobrażam sobie, jaki okup musieli zapłacić, żeby odzyskać syna.

– Nie zapłacili ani złamanego szeląga; borykali się od dawna z trudnościami finansowymi, nie mieli gotówki, co zresztą jest tutaj nagminną chorobą. Ale i tak oddano im chłopca, tyle tylko, że na raty.

– Jak to, proszę księcia, co to znaczy?

– Na raty, dobrze powiedziałem: na raty, kawałek po kawałku. Najpierw odesłali wskazujący palec prawej ręki, po tygodniu lewą stopę, a w końcu w ładnym koszu, pod warstwą fig (było to w sierpniu), głowę; miał wytrzeszczone oczy, w kącikach ust zakrzepłą krew; nie widziałem go, byłem wtedy dzieckiem, ale mówiono mi, że nie był to piękny widok. Koszyk postawiono tu, na tym stopniu, drugim od drzwi. Przyniosła go stara kobieta w czarnym szalu na głowie: nikt nie widział jej twarzy.

Oczy Chevalleya aż się zwężyły z niesmaku; słyszał już tę historię, lecz widzieć teraz w pełnym słońcu ten stopień, na którym postawiono ów makabryczny dar, to było coś całkiem innego. Przyszła mu na odsiecz urzędnicza dusza:

– Co za niedołęzną policję mieli ci Burboni! Niedługo, kiedy zjawią się tu nasi karabinierzy, położą temu kres!

– Bez wątpienia, panie Chevalley, bez wątpienia.

Przeszli potem przed Klubem Obywatelskim, który w cieniu rosnących na placu platanów wystawiał, jak zawsze, na widok publiczny mężczyzn w żałobie, siedzących na żelaznych krzesłkach. Ukłony, uśmiechy.

– Niech pan się im dobrze przypatrzy, panie Chevalley, niech pan sobie wyryje w pamięci tę scenę; kilka razy do roku jeden z tych panów nie wstaje już z krzesła: kula wystrzelona w niepewnym świetle zapadającego wieczoru – i nikt się nigdy nie domyśla, kto mógł być

sprawcą zabójstwa.

Chevalley doznał potrzeby oparcia się na ramieniu Cavriaghiego, by poczuć przy sobie trochę północnej krwi.

Niedługo potem na szczycie ostro pnącej się pod górę uliczki, między różnobarwnymi festonami rozwieszanej na sznurach bielizny ukazał się naiwnie barokowy kościółek.

– To kościół Świętej Nimfy. Proboszcz został tam uśmiercony pięć lat temu w czasie odprawiania mszy.

– To potworne! Strzelanina w kościele!

– Jaka tam strzelanina! Jesteśmy zbyt przykładowymi katolikami, żeby popełniać takie gafy. Wsypano po prostu truciznę do mszalnego wina; to bardziej dyskretne, bardziej liturgiczne, chciałem powiedzieć. Nigdy nie wykryto, kto to zrobił; proboszcz był wcieleniem dobroci i nie miał wrogów.

Jak człowiek, który budząc się w nocy widzi siedzącego na jego własnych skarpetkach w nogach łóżka ducha i szuka ratunku wmawiając sobie, że to na pewno żart przyjaciół-kawalarzy, tak samo Chevalley wołał wierzyć, że sobie z niego dworują.

– To zabawne, proszę księcia, doprawdy przezabawne. Księżę tak świetnie opowiada te przypowieści, że powinien wziąć się do pisania powieści.

Ale głos mu drżał; Tancredi ulitował się na nim i chociaż w drodze powrotnej przechodzili obok kilku miejsc na pewno niemniej godnych wspomnienia, nie występował już w roli kronikarza; mówił o Verdim i Bellinim, którzy są odwiecznym balsamem gojącym narodowe rany.

O godzinie czwartej po południu księżę dał znać Chevalleyowi, że oczekuje go w swoim gabinecie. Był to pokój raczej nieduży; na ścianach, w szklanych gablotach, stało kilka szarych kuropatw z czerwonymi nóżkami; odmiana dość rzadko spotykana – wypchane trofea minionych polowań. Jedną ścianę zajmowała wysoka wąska biblioteka wypełniona stosami starych egzemplarzy przeglądów matematycznych. Nad dużym fotelem przeznaczonym dla gości widniała konstelacja miniatur rodzinnych: ojciec don Fabrizia, księżę Paolo, o smagłej cerze i wargach zmysłowych jak u Araba, w czarnym mundurze dworskim przeciętym ukośnie wstęgą Św. Januarego, księżna Karolina, już jako wdowa, bardzo jasna blondynka z włosami upiętymi wysoko nad czołem w „wieżę”, z surowym wejrzeniem niebieskich oczu; siostra księcia, Giulia, księżna Falconeri, siedząca na ławeczce w ogrodzie; po jej prawej stronie odcinała się amarantową plamą oparta o ziemię parasolka, po lewej żółtą plamą – sylwetka trzyletniego Tancreda, który podawał matce pęk polnych kwiatów. (Tę miniaturę don Fabrizio wsunął ukradkiem do kieszeni, kiedy egzekutorzy spisywali inwentarz w pałacu Falconeri.) Potem nieco niżej pierworodny Paolo, w obcisłych białych skórzanych spodniach, wsiadający na porywistego konia o zgiętej szyi i sypiących błyskawicami oczach. W środku konstelacji, w położeniu gwiazdy polarnej, widniała jedna większa miniatura; był to sam don Fabrizio, w wieku lat mniej więcej dwudziestu, z młodziutką żoną przy boku, wspierającą z miłosnym oddaniem głowę na jego ramieniu; ona ciemna, on blondyn o różowej cerze, w błękitno-srebrzystym mundurze korpusu straży przybocznej króla; na jego twarzy, okolonej puszystymi bączkami młodzieńczego zarostu, widniał uśmiech pełen zadowolenia.

Chevalley usiadł i zaraz przedłożył misję, którą go obarczono:

– Po szczęśliwej aneksji, to jest, chciałem powiedzieć, po szczęśliwym zjednoczeniu Sycylii z Królestwem Sardynii rząd turyński zamierza mianować senatorami kilku zasłużonych Sycylijczyków. Władze na prowincji otrzymały polecenie sporządzenia listy nazwisk, która ma być przedstawiona do rozpatrzenia rządowi centralnemu oraz ewentualnie królowi, i oczywiście w Girgenti zaraz pomyślano o umieszczeniu na liście nazwiska księcia; nazwisko to wspaniałe, opromienione tradycją i osobistym autorytetem tego, który je nosi obecnie, a który zdobył go sobie pracą na polu nauki oraz pełną godności i liberalizmu

postawą podczas ostatnich wydarzeń.

Mówka przygotowana była od dłuższego czasu, co więcej, naszkicowana w skrócie na kartce, która spoczywała dotąd w tylnej kieszeni Chevalleya. Lecz don Fabrizio ani drgnął: ciężkie powieki niemal zupełnie przesłaniały mu oczy. Nieruchome łapsko pokryte jasnymi włosami przykrywało w całości alabastrową kopułę Św. Piotra stojącą na biurku.

Chevalley zdążył już przywyknąć do tego, że gadatliwi zazwyczaj Sycylijczycy stają się małowówni, gdy robi się im jakieś propozycje, i nie dał się zbić z tropu.

– Przed wysłaniem listy do Turynu moi przełożeni uznali za swój obowiązek poinformować o tym księcia i zapytać, czy ta propozycja będzie przez niego mile widziana. Prośba o wyrażenie zgody, z którą rząd wiąże wielkie nadzieje, jest przedmiotem mojej misji; a poza tym przy tej okazji miałem zaszczyt i przyjemność poznania księcia oraz jego rodziny, obejrzenia tego wspaniałego pałacu i malowniczej Donnafugaty.

Pochlebstwa spływały po księciu jak woda po liściach nenufarów: jest to jeden z przywilejów będących udziałem ludzi dumnych i zarazem oswojonych ze swoją dumą. „Ten tutaj wyobraża słabie, że robi mi wielki zaszczyt, mnie, który jestem tym, czym jestem między innymi parem Królestwa Sycylii, co zapewne musi odpowiadać mniej więcej godności senatora. Co prawda, dary oceniać należy miarą tego, od kogo pochodzą. Chłop częstując mnie owczym serem daje mi więcej niż książe Lascari zapraszając mnie na obiad. To jasne. Cała bieda w tym, że owczy ser przyprawia mnie o mdłości. Tak więc pozostaje tylko wdzięczność serca, której nie widać, i skrzywiony z obrzydzenia nos, który widać aż za dobrze.” Don Fabrizio miał bardzo nikłe pojęcie o senacie. Pomimo nie lada wysiłków z jego strony kojarzył mu się on zawsze z senatem rzymskim: z senatorem Papirusem, który łamał laskę na głowie nieokrzesanego Galla, z koniem Incitatusem, którego Kaligula mianował senatorem – zaszczyt, który nawet jego synowi Paolowi wydałby się przesadny. Drażniło go natrętne wspomnienie wypowiedzanego od czasu do czasu przez ojca Pirrone zdania: „*Senatores boni viri, senatus autem mala bestia.*”<sup>40</sup> Teraz istniał także senat Cesarstwa w Paryżu, ale było to tylko zgromadzenie ludzi korzystających z zyskownych synekur. Niegdyś utworzono senat w Palermo, lecz ten z kolei był po prostu ,komitetem administratorów, i to jakich administratorów. Rzeczywiście w sam raz dla Saliny! Chciał zasięgnąć informacji.

– A więc proszę mi wyjaśnić, co to rzeczywiście znaczy być senatorem: za czasów poprzedniej monarchii prasa nie dopuszczała żadnych wiadomości na temat ustroju konstytucyjnego innych państw włoskich, a tygodniowy pobyt w Turynie przed dwoma laty nie wystarczył, by mnie oświecić pod tym względem. Co to takiego? Czy to po prostu tytuł honorowy? Rodzaj odznaczenia? Czy też należy brać udział w pracach ustawodawczych, decydować?

Piemontczyk, przedstawiciel jedyne liberalnego państwa w Italii, uniósł się:

– Ależ, proszę księcia, senat to Wyższa Izba Królestwa! Zasiada w nim kwiat polityków włoskich, mądrze dobranych przez samego monarchę; oni rozpatrują, dyskutują, zatwierdzają lub odrzucają prawa, których projekty wysuwa rząd dla szerzenia postępu w kraju; senat działa zarazem jak ostroga i jak cugle: pobudza do dobrego i powstrzymuje od przesady. Gdy książe wyrazi zgodę, by w nim zasiadać, będzie reprezentował Sycylię na równi z deputowanymi wybranymi przez głosowanie; przemówi książe w imieniu tej pięknej krainy, która staje teraz w obliczu nowoczesnego świata z tyloma ranami do zaleczenia, z tyloma słusznymi żądaniami.

Chevalley przemawiałby zapewne dłuższy czas tym tonem, gdyby Bencicò nie zaczął domagać się przez drzwi, żeby go wpuścić. Don Fabrizio poruszył się chcąc wstać, lecz robił to tak leniwie, że zastawił dość czasu Piemontczykowi, by ten otworzył psu drzwi; Bencicò pedantycznie obwąchał spodnie Chevalleya, po czym przekonany, że ma do czynienia z osobą

---

<sup>40</sup> Senatorowie dobrzy ludzie, zaś senat złe zwierzę.

godną zaufania, skulił się pod oknem i zasnął.

– Proszę mnie posłuchać, panie Chevalley; gdyby szło tylko o honorową godność, po prostu o tytuł, który dołącza się do biletu wizytowego i na tym koniec, zgodziłbym się jak najchętniej; uważam, że w tym decydującym dla przyszłego państwa włoskiego momencie obowiązkiem każdego jest wyrazić dlań aprobatę. Nie należy wywoływać wrażenia, że istnieje u nas rozbieżność zapatrywań, zwłaszcza wobec zagranicy, która patrzy na nas z lękiem albo z nadzieją; te przewidywania okażą się potem nieusprawiedliwione, ale że teraz istnieją, to fakt.

– Wobec tego, proszę księcia, dlaczego nie przyjąć tej godności?

– Proszę mnie cierpliwie wysłuchać, panie Chevalley, zaraz wszystko wyjaśnię; my, Sycylijczycy, przywykliśmy od dawien dawna do hegemonii władców, którzy byli innego niż my wyznania, nie rozumieli naszego języka; przywykliśmy dzielić włos na cztery części. Gdybyśmy przyjęli inną postawę, nie byłoby dla nas ratunku wobec bizantyjskich poborców, berberyjskich emirów, wicekrólów hiszpańskich. To musiało wyryć swoje piętno i tacy już jesteśmy Powiedziałem: wyrażam swoją aprobatę, ale nie zgłaszam czynnego udziału. Od sześciu miesięcy, od chwili, gdy wasz Garibaldi wylądował w Marsala, wprowadzono zbyt wiele zmian nie pytając nas o zgodę, by można żądać teraz od przedstawiciela dawnej klasy rządzących udoskonalania ich i wprowadzania w życie. Nie chcę obecnie dyskutować nad tym, czy to, co zrobiono, było złe czy dobre; osobiście uważam, że wiele było złego, ale chcę powiedzieć panu w tej chwili coś, co zrozumie pan dopiero po rocznym pobycie wśród nas. Na Sycylii nie ma znaczenia, czy robi się źle, czy dobrze: grzech, którego my, Sycylijczycy, nie wybaczymy nigdy, to po prostu to, że się w ogóle coś robi. Jesteśmy starzy, panie Chevalley, bardzo starzy. Co najmniej od dwudziestu pięciu wieków nosimy na barkach ciężar obcych nam cywilizacji. Wszystkie one pochodziły z zewnątrz, żadna nie była przez nas poczęta, żadnej nie daliśmy własnej nazwy; jesteśmy biali jak pan, jak królowa angielska, a jednak od dwóch tysięcy pięciuset lat jesteśmy kolonią. Nie mówię tego po to, żeby się skarżyć, to nasza wina. Ale jesteśmy zmęczeni, wyczerpani.

Chevalley był wyraźnie zmieszany.

– Teraz w każdym razie to się skończyło, teraz Sycylia nie jest podbitą ziemią, lecz wolną częścią wolnego państwa.

– Intencje są dobre, panie Chevalley, ale spóźnione; zresztą już panu powiedziałem, że to głównie nasza wina. Wspomniał pan przed chwilą o młodej Sycylii, która staje wobec cudów nowoczesnego świata; co do mnie, to widzę raczej stuletnią staruszkę, którą zawieziono po wozem na Wszechświatową Wystawę do Londynu; staruszkę, która nic nie rozumie, kpi sobie z wszystkiego, z hut stali w Sheffield, z przędzalni w Manchesterze, i marzy tylko o tym, by znów drzemać z otwartymi ustami, z których cieknie ślina, na własnym łóżku, pod którym stoi nocnik.

Mówił jeszcze cicho, ale dłoń jego zaciskała się kurczowo na kopule Św. Piotra; później znaleziono zgruchotany w kawałki jej maleńki, umieszczony na szczycie krzyżyk.

– Sen, drogi panie Chevalley, sen jest tym, czego chcą Sycylijczycy, i będą zawsze nienawidzić ludzi, którzy zechcą ich zbudzić, choćby nawet po to, by im wręczyć najpiękniejsze dary; zresztą, mówiąc między nami, mam niejakie wątpliwości, żeby nowe królestwo miało wiele podarunków dla nas w swoim bagażu. Wszystkie przejawy sycylijskiego życia mają w sobie coś ze snu, nawet te najbardziej gwałtowne: nasza zmysłowość jest pragnieniem zapomnienia, nasze strzelaniny i pchnięcia nożem są pragnieniem śmierci, pragnieniem zmysłowego letargu, a więc znowu śmierci jest nasze lenistwo, nasze napoje ze skorsonery i cynamonu. Nasze zadumanie jest kontemplacją nicości, która chciałaby przeniknąć tajemnice nirwany. Stąd wypływa przewaga nad nami tych, którzy są na wpół rozbudzeni; stąd o wiek spóźnione życie intelektualne i artystyczne Sycylijczyków; nowości pociągają nas dopiero wtedy, gdy obumierają, gdy są już niezdolne

do wzniesienia żywotnych prądów; stąd niewiarygodny współcześnie objaw powstawania mitów, które można by otaczać szacunkiem, gdyby były naprawdę antyczne, ale są to jedynie ponure próby pogrążenia się w odmętach przeszłości, a ta pociąga nas tylko dlatego, że życie przestała.

Dla zacnego Chevalleya nie wszystko było zrozumiałe; a zwłaszcza niejasne wydawało mu się ostatnie zdanie. Widział dwukołowe, różnobarwnie malowane wózki zaprzężone w przystrojone pióropuszcami konie, słyszał o teatrze. bohaterskich marionetek, ale sądził, że są to autentyczne, stare tradycje.

– Czy nie wydaje się księciu, że jest w tym, co powiedział, trochę przesady? – zapytał. – Znałem osobiście w Turynie emigrantów Sycylijszczyków, choćby na przykład Crispiego: zrobili na mnie wrażenie czegoś wręcz przeciwnego niż śpiochów.

Książę zachnął się:

– Jest nas zbyt wielu, żeby nie było wyjątków; zresztą wspominałem już i o tych na wpół rozbudzonych. Co do młodego Crispiego, to nie ja oczywiście, ale pan zobaczy, czy na starość nie zapadnie on w nasz zmysłowy letarg; robią to wszyscy. Z drugiej strony, widzę, że nie wypowiedziałem się dostatecznie jasno; powiedziałem: Sycylijszczyki, powinienem był powiedzieć: Sycylia, otoczenie, klimat, krajobraz sycylijski. To są siły, które razem wzięte bardziej niż obcy but, bardziej niż niezharmonizowane wpływy zaważyły na formowaniu się duszy Sycylijszczyka; ten krajobraz, który nie zna dróg pośrednich między zmysłową miękkością a przekleństwem suszy, który nigdy nie jest pospolity, przyziemny, rozległy, taki jaki powinien być obszar stworzony dla rozumnych istot! To kraina, gdzie w odległości kilku mil jest piekło wokół Randazzo i raj w zatoce Taorminy, gdzie klimat podnosi nam temperaturę do czterdziestu stopni na przeciąg sześciu miesięcy; niech pan. liczy, panie Chevalley, niech pan liczy: maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik – sześć razy po trzydzieści dni słońca, które niczym roztopiony ołów leje się nam na głowę; to nasze lato jest długie i smutne jak rosyjska zima i o wiele trudniejsze do zniesienia; pan jeszcze tego nie wie, ale można z powodzeniem powiedzieć, że spadają na nas śnieżyce ognia jak na biblijne wyklęte miasta. Gdyby podczas jednego z tych letnich miesięcy Sycylijszczyk rzetelnie „pracował”, straciłby energii za trzech; a przy tym jeszcze brak wody, którą trzeba przywozić z tak daleka, że każda jej kropla opłacona jest kroplą potu; a potem deszcze, zawsze tak gwałtowne, wprawiające w szal wyschnięte potoki; giną w ich odmętach ludzie i bydło tam, gdzie przed dwoma tygodniami umierało się z pragnienia. Ta gwałtowność krajobrazu, to okrucieństwo klimatu, to nieustanne naprężenie w przyrodzie, te zabytki przeszłości, wspaniałe i niezrozumiałe dla Sycylijszczyka, bo nie przez niego zbudowane, które otaczają nas niczym przepiękne nieme duchy, te wszystkie rządy lądujące na Sycylii z bronią w ręku, przybywające nie wiadomo skąd, znajdujące od razu swoich zauszników, szybko znienawidzone i zawsze enigmatyczne, które wypowiadały się wyłącznie poprzez zagadkowe dla nas dzieła sztuki i gorliwie ściągają pieniądze wydawane potem gdzie indziej; to wszystko ukształtowało nasz charakter napiętnowany nie tylko przekleństwem klimatu tej wyspy, ale również ciosami obcej ręki.

To piekło duchowe, które książę przed nim roztoczył w czterech ścianach swego gabinetu, przeraziło Chevalleya bardziej niż krwawy zbiorek opowiadań porannych. Chciał coś powiedzieć, lecz don Fabrizio był teraz zbyt podniecony, żeby go słuchać.

– Nie przeczę, że niektórzy Sycylijszczyki, przeszczepieni poza obręb wyspy, mogą się otrząsnąć, ale trzeba ich wysyłać bardzo wcześnie; gdy dojdą do lat dwudziestu, jest za późno, skorupa już stwardniała. Będą żyli w przekonaniu, że ich rodzinna ziemia nie różni się od innych, tylko jest obrzucana niecnymi oszczerstwami; że prawdziwa cywilizacja jest tutaj, a dziwactwa plenią się gdzie indziej. Ale proszę mi wybaczyć, panie Chevalley, dałem się porwać uniesieniu i najprawdopodobniej pana znudziłem. Nie przyjechał pan tutaj, żeby słuchać Ezechiela opiewającego klęskę Izraela. Wróćmy do właściwego tematu: jestem



ogromnie zobowiązany rządowi, że pomyślał o mnie i ofiarowuje mi miejsce w senacie. Proszę przekazać mu wyrazy mojej wdzięczności, lecz jest to godność, której nie mogę przyjąć. Jako przedstawiciel dawnej klasy rządzącej, jestem skompromitowany razem z reżimem burbońskim, z którym poza tym łączą mnie więzy przyzwoitości w braku więzów uczucia. Należę do tego nieszczęsnego pokolenia, które znalazło się na przełomie starych i nowych czasów i które ani tu, ani tam nie czuje się dobrze. Co więcej, jak się pan zapewne już zorientował, nie mam żadnych złudzeń, i co by senat miał za pożytek ze mnie, ze mnie niedoświadczonego prawodawcy, któremu brak umiejętności oszukiwania samego siebie – tego podstawowego rekwizytu dla człowieka, który chce kierować innymi. Nam, ludziom dawnego pokolenia, nie pozostaje nic innego, jak tylko zaszyć się w kącie i obserwować młodych fikających koziołki i tarzających się wokół tego pompatycznie przystrojonego katafalku. Wam potrzeba teraz ludzi młodych, sprytnych, nastawionych raczej na „jak” niż na „dlaczego”, takich, którzy potrafią się maskować, to jest, chciałem powiedzieć: dostosować swoje konkretne osobiste interesy do nieokreślonych ideałów publicznych. – Zamilkł; zostawił w spokoju kopułę Św. Piotra. – Czy wolno mi wystąpić z pewną radą, którą przekazałby pan swoim przełożonym?

– To się samo przez się rozumie. Każda rada księcia będzie wysłuchana z jak największą uwagą, lecz nie tracę jeszcze nadziei, że zamiast rad usłyszę z ust księcia potwierdzenie, iż przyjmuje godność senatora.

– Jest pewne nazwisko, które chciałbym zaproponować do senatu. Idzie o don Calogera Sedàrę. On bardziej ode mnie zasługuje na to, by tam zasiadać. Jego ród, jak mi mówiono, jest stary lub będzie w końcu uznany za stary i posiada on coś więcej niż to, co pan nazywa autorytetem: ma władzę; jego postawa w czasie kryzysu majowego była nie tylko nieposzlakowana, okazała się nadzwyczaj pożyteczna. Nie sądzę, by miał on więcej złudzeń ode mnie, ale jest dostatecznie bystry, by je sobie stworzyć, gdy zajdzie tego potrzeba. To jest człowiek, jakiego wam trzeba. Ale musicie się spieszyć z decyzją, ponieważ, jak słyszałem, chce on złożyć swoją kandydaturę do izby posłów.

O Sedàrze dużo się mówiło w prefekturze, znana była jego działalność i jako burmistrza, i jako prywatnej osoby; Chevalley aż się wzdrygnął: był z gruntu uczciwym człowiekiem i jego szacunek dla izb ustawodawczych dorównywał czystości jego intencji; dlatego uznał, że lepiej nie wypowiadać swojej opinii i słusznie postąpił, gdyż byłby się skompromitował; istotnie, dziesięć lat później don Calogero Sedàra otrzymał godność senatora. Jednakże Chevalley przy całej uczciwości nie był głupi; brakowało mu wprawdzie lotności umysłu, która na Sycylii uchodzi za inteligencję, ale potrafił przemyśleć każdą rzecz powoli i solidnie, a poza tym nie miał w sobie owej południowej obojętności na cudze troski. Zrozumiał gorycz i zgnębienie don Fabrizia. W jednej chwili stanął mu przed oczyma cały obraz nędzy, upodlenia, czarnej rezygnacji, których świadkiem był od miesiąca. Jeszcze przed chwilą zazdrościł Salinie jego bogactw wielkopańskiej rezydencji, teraz z czułością wspominał swoją winniczkę, swoje Monterzuolo położone w okolicy Casale, brzydkie, przeciętne, ale pogodne i tętniące życiem. Ten nie mający żadnych nadziei książę wzbudził w nim taką samą litość jak bosa dzieci, jak malaryczne kobiety, jak te ofiary własnej indolencji, które każdego ranka ciągnęły sznurem do jego biura: wszyscy byli w gruncie rzeczy tacy sami – towarzysze niedoli uwięzieni w tej samej studni.

Chciał zrobić ostatnią próbę. Wstał, ze wzruszenia głos jego zabrzmiał patetycznie:

– Proszę księcia, czy rzeczywiście uchyła się książę od tego, by zrobić, co tylko można, dla zmniejszenia tej nędzy materialnej, tego nieświadomego upadku moralnego swoich współziomków, dla niesienia im pomocy? Klimat daje się zwyciężyć, wspomnienie złych rządów zaciera się, Sycylijczycy sami zapragną tego, by się zmienić. Jeśli ludzie uczciwi odmówią współpracy, otworzy się droga dla ludzi bez sumienia, bez skrupułów: dla takich Sedàrów. I znowu przez wieki całe będzie tak samo jak przedtem. Niech książę wysłucha

głosu swojego sumienia, zapomni o tych dumnych prawdach, które mi przedstawił, i zgodzi się na współpracę.

Don Fabrizio uśmiechał się do niego; wziął go za rękę i posadził przy sobie na kanapie.

– Jest pan szlachetnym człowiekiem, panie Chevalley, i bardzo, bardzo się cieszę, że pana poznałem; ma pan we wszystkim rację, tylko pomylił się pan mówiąc, że „Sycylijscy sami zapragną tego, by się zmienić”. Opowiem panu coś, co zdarzyło mi się osobiście. Kilka dni przed wkroczeniem Garibaldiego do Palermo przedstawiono mi paru oficerów marynarki angielskiej pełniących służbę na okrętach zakotwiczonych w zatoce dla obserwacji przebiegu wydarzeń. Dowiedzieli się oni, nie wiem skąd, że mam dom nad morzem z tarasem na dachu, skąd rozciąga się daleki widok na otaczające miasto góry; poprosili mnie o pozwolenie zwiedzenia domu i obejrzenia tej panoramy, której nie mogli ogarnąć ze statków, tych gór, w których, jak doszły ich słuchy, kręcą się garibaldzycy. Istotnie, Garibaldi znajdował się już w Gibilrossie. Przyszli do pałacu i zaprowadziłem ich na taras; byli to naiwni chłopcy pomimo gęstych, rudawych bokobrodów. Zachwycali się krajobrazem, oślepiającym światłem, wyznali mi jednak, że wzdrygali się z obrzydzenia na widok brudu, niechlujstwa i zaniedbania ulic prowadzących do portu. Nie próbowałem wyjaśnić im, jak panu, że jedno jest konsekwencją drugiego. Potem któryś z nich zapytał mnie, czego właściwie chcą na Sycylii ci ochotnicy włoscy. Odpowiedziałem mu: „*They are going to teach us good manners, but they wont succeed, because we are gods.*” – Chcą nas nauczyć dobrych manier, ale nie uda im się to, bo jesteśmy bogami. Przypuszczam, że nie zrozumieli, lecz roześmieli się i poszli. Tak samo odpowiem panu, drogi panie Chevalley: Sycylijscy nigdy nie będą chcieli się zmienić z tej prostej przyczyny, że uważają się za doskonałych; ich próżność silniejsza jest od nędzy; każda interwencja ludzi obcych, obcych na skutek pochodzenia czy też w wypadku Sycylijszyków, na skutek odrębności duchowej, budzi ich ze snu o osiągniętej doskonałości, z miłego oczekiwania na nic; podeptani przez dziesiątki innych nacji, uważają, że mają cesarską przeszłość, która daje im prawo do najwspanialszego pogrzebu. Czy pan naprawdę przypuszcza, panie Chevalley, że jest pan pierwszym, który wpadł na pomysł połączenia Sycylii z biegiem ogólnoludzkich dziejów? Iluż to muzułmańskich imamów, ilu rycerzy króla Rogera, ilu skrybów Hohenstaufów, ilu baronów andegaweńskich, ilu prawników Ferdynanda Katolickiego porywało się na to wspaniałe szaleństwo; a ilu wicekrólów hiszpańskich, ilu urzędników-reformatorów Karola III? Kto by ich tam zliczył! A Sycylia chciała spać pomimo ich nawoływań; dlaczego miałyby ich słuchać, skoro jest taka bogata, skoro jest taka mądra, skoro jest taka cywilizowana, skoro jest taka uczciwa, skoro jest przez wszystkich podziwiana, skoro budzi ogólną zazdrość, słowem – skoro jest doskonała!

Teraz i u nas robi się ukłon w stronę książek Proudhona i niemieckiego teoretyka, którego nazwiska nie pamiętam, i mówi się, że winę za oplakany stan rzeczy tu i gdzie indziej ponosi feudalizm; to znaczy poniekąd ja. Może... Ale feudalizm był wszędzie, podobnie jak inwazje. Nie przypuszczam, żeby pańscy przodkowie, panie Chevalley, albo angielscy *squires*<sup>41</sup>, albo panowie francuscy rządili lepiej od rodu Salina. Jednakże rezultaty są inne. I przyczyna tego, że są inne, musi leżeć w tym poczuciu wyższości, która bije z oka każdego Sycylijszyka i którą my nazywamy dumą, a która w rzeczywistości jest ślepotą. Na razie, i to przez bardzo długi czas, nic się nie da zrobić. Bardzo żałuję, ale w życiu politycznym nie mogę nawet kiwnąć palcem. Pogryźliby mi go. To są rozmowy, których nie można prowadzić z Sycylijszykami, zresztą nawet ja, gdybym usłyszał to wszystko od pana, czułbym się głęboko dotknięty. Jest już późno, panie Chevalley, trzeba przebierać się do kolacji. Muszę grać teraz przez kilka godzin rolę ucywilizowanego człowieka.

Chevalley wyjechał następnego dnia wczesnym rankiem; don Fabrizio, który i tak wybierał się o świcie na polowanie, odprowadził go na stację pocztową. Za nim szedł don Ciccio

---

<sup>41</sup> Szlachta.

Tumeo, obarczony podwójnym ładunkiem, niósł bowiem na ramionach dwie dubeltówki: swoją i don Fabrizia, a w sercu gorycz swoich wzgardzonych cnót.

W sinym świetle godziny piątej rano Donnafugata ziała pustką i przedstawiała rozpaczliwy widok. Przed każdym domem wzdłuż trędownych murów walały się resztki nędznego jadła; trzęsące się psy pożerały je z nigdy nie nasyconą łapczywością. Niektóre drzwi były już otwarte i smród stłoczonych na noc w ciasnych izbach ludzi dolatywał na ulicę; w chybotliwym świetle lamp matki spoglądały na powieki chorych na egipskie zapalenie oczu dzieci; większość tych kobiet była w żałobie, niektóre były żonami owych widm napotykanym zniemacka na zakrętach opustoszałych dróg. Mężczyźni brali w ręce motyki i szli na poszukiwanie tych, którzy, jeśli Bóg pozwoli, zechcą im dać pracę. Głuchą ciszę przerywały od czasu do czasu piskliwe wrzaski histerycznych głosów. Od strony klasztoru Santo Spirito cynowy świt zaczął podświetlać ołowiane chmury.

Chevalley myślał: „Ten stan rzeczy nie potrwa długo; nasza młoda, rzutka, nowoczesna administracja upora się z tym wszystkim.” Księżę był przygnębiony: „To wszystko nie powinno trwać, a jednak trwać będzie zawsze; oczywiście w ludzkim pojęciu «zawsze» – wiek, dwa, a potem będzie inaczej, ale gorzej. My byliśmy Lampartami i Lwami, zastąpią nas szakale i hieny; i wszyscy: lamparty, szakale, hieny, będziemy się uważali w dalszym ciągu za sól ziemi.” Podziękowali sobie wzajemnie, pożegnali się. Chevalley wsiadł do pocztowego dylizansu, którego koła miały kolor wymiotów. Wychudzona, pokryta bliznami szkapa ruszyła w daleką drogę.

Dzień wstał za ledwie: tej odrobinie światła, której udało się przedrzeć przez zasłonę chmur, stanęły z kolei na przeszkodzie niewiarygodnie brudne szyby. Chevalley jechał sam; podskakując i objając się na wszystkie boki, poślinił czubek wskazującego palca i przetarł mały skrawek szyby. Wyjrzał – przed nim w świetle koloru popiołu podrygiwał nieuchwytny krajobraz, dla którego nie było odkupienia.

## Rozdział V

*Przyjazd, ojca Pirrone do S. Cono – Rozmowa z przyjaciółmi i z zielarzem – Kłopoty rodzinne jezuitów – Wybrnięcie z kłopotów – Rozmowa z „człowiekiem honoru” – Powrót do Palermo.*

*Luty 1861*

Ojciec Pirrone pochodził ze wsi; urodził się w S. Cono, małej mieścinie, która obecnie dzięki autobusom znajduje się niemal w orbicie Palermo, ale która przed stu laty należała jakby do własnego systemu planetarnego, była bowiem oddalona o cztery godziny drogi powozem od słońca palermitańskiego.

Ojciec naszego jezuitów był administratorem dwóch położonych, w okolicach S. Cono lenn, których posiadaniem szczyliło się opactwo Św. Eleuterego. Owa funkcie ja administratora była podówczas dość niebezpieczna zarówno dla zdrowia duszy, jak i ciała, zmuszała bowiem do zawierania znajomości z wielce podejrzanymi osobnikami i wysłuchiwanie przeróżnych historyjek, których znajomość powalała „znienacka” (najwłaściwiej dobrane określenie) delikwenta pod jakimś murkiem i, co za tym idzie, pieczętowała mu w brzuchu wszystkie zasłyszane opowiadki, raz na zawsze uniedostępniając je ciekawskim.

Jednakże don Gaetano, rodzic ojca Pirrone, zdołał uniknąć tej zawodowej choroby dzięki rygorystycznej higienie polegającej na dyskrekcji i przezornym zażywaniu leków zapobiegawczych. Umarł sobie spokojnie na zapalenie płuc w lutym, pewnej słonecznej niedzieli dudniącej wiatrem, który strącał płatki kwiatów z drzew migdałowych. Zostawił żonę i troje dzieci (dwie córki i syna księdza) w stosunkowo dobrych warunkach materialnych; jako człowiek zapobiegliwy, umiał robić oszczędności nawet na tak skromnej pensyjce, jaką wypłacał mu klasztor, 1 w chwili zgonu posiadał trochę drzew migdałowych w głębi doliny, parę winnic na zboczach oraz kamieniste pastwisko położone prawie na szczycie: ubożuchny majątek, wiadomo, mający jednak pewną wagę w podupadających gospodarczo okolicach S. Cono. Był także właścicielem domku w kształcie pedantycznie odmierzonego sześcianu, pomalowanego na niebiesko na zewnątrz i na biało wewnątrz; domek ten miał cztery pokoje na parterze i cztery na piętrze i stał na skraju miasteczka od strony Palermo.

Ojciec Pirrone opuścił dom rodzinny jako szesnastoletni chłopak; znakomite postępy w szkole parafialnej oraz łaskawość księdza infułata z opactwa Św. Eleuterego otworzyły mu drogę do seminarium arcybiskupiego. Potem w przeciągu długich lat kilkakrotnie odwiedzał rodzinę; przyjeżdżał dawać ślub siostrze, potem, by udzielić całkiem zbytecznego (oczywiście ze światowego punktu widzenia) rozgrzeszenia umierającemu don Gaetanowi, i powracał tam teraz w końcu lutego 1861 roku, w piętnastą rocznicę śmierci ojca. Dzień był wietrzny i słoneczny, taki sam jak tamten.

Wytrząsł się porządnie w drodze przez te pięć godzin, siedząc ze zwisającymi nogami; koń włókł się noga za nogą. Lecz gdy tylko udało mu się przewyciężyć niesmak na widok patriotycznych malowideł, świeżo wypacykowanych na bokach karety, których szczytowym osiągnięciem był płomienny wizerunek Garibaldiego podającego ramię świętej Rozalii przyodzianej w jaskrawobłękitne szaty, uznał tę pięciogodziną podróż za przyjemną. Kotlina wznosząca się od Palermo do S. Cono łączy w sobie przebogaty krajobraz, okolic nadbrzeżnych z surowym pejzażem głębi wyspy. Hulają po niej gwałtowne wichry, które niosą nie tylko zdrowe poddmuchy powietrza, lecz słyną z tego, że siła ich potrafi odchylić tor najcelniej wymierzonej kuli, wobec czego strzelcy, postawieni przed tak trudnymi

problemami balistycznymi, wolą ćwiczyć gdzie indziej. Poza tym uprzyjemniał mu podróż woźnica, który dobrze znał zmarłego i rozwodził się szeroko, wspominając jego zasługi; owe wspomnienia, choć nie zawsze odpowiednie dla synowskich i kapłańskich uszu, pochlebily z dawna otraskanemu ze wszystkim słuchaczowi.

Przyjęto go ze łzawą radością. Uściskał i pobłogosławił matkę, której śnieżne włosy i różowa cera tworzyły jaskrawy kontrast z najczarniejszą wdową żalobą, powitał siostry i siostrzeńców, lecz zerknął niechętnie na jednego z nich, Carmela, który nie wykazał dobrego smaku przystrajając na przyjazd wuja czapkę trójkolorową kokardą. Gdy tylko wszedł do domu, porwało go szaleństwo wspomnień z dzieciństwa; wszystko wyglądało tak samo; i podłoga z czerwonej cegły, i skromne umeblowanie; warczący głucho w kącie pies Romeo był żywym portretem swego prapradziadka, psa myśliwskiego, nieodstępного towarzysza burzliwych zabaw; z kuchni dolatywał odwieczny aromat duszącej się w sosie pieczeni oraz zapach nadzienia z wołowiny, pomidorów i cebuli, przygotowywanego do pierożków mających uświetniać radosne dni. Wszystko dokoła tchnęło pogodnym spokojem osiągniętym za cenę wysiłków przeznacnego nieboszczyka, Panie, świeć nad jego duszą!

Polem wszyscy udali się do kościoła, by wysłuchać żałobnej mszy. Tego dnia S. Cono ukazało się w pełnej krasie i pyszniło się niemal wystawiając na widok publiczny całą gamę zwierzęcych odchodów. Żwawe kózki o długiej czarno-żółtej sierści i stada sycylijskich świnek, ciemnych i ruchliwych, przypominających mikroskopijne żrebaki, biegały między ludźmi po stromych uliczkach; a ponieważ ojciec Pirrone stał się czymś w rodzaju miejscowej chluby, kobiety, dzieci, a także i młodzi chłopcy podchodzili do niego ze wszystkich stron, prosząc o błogosławieństwo lub wspominając dawne czasy.

W zakrystii jezuita przywitał się uroczyście z proboszczem, a po wysłuchaniu mszy wszyscy przeszli do bocznej kaplicy, gdzie pod kamienną płytą spoczywał don Gaetano; kobiety całowały marmur ze łzami w oczach, syn modlił się głośno swoją tajemniczą łaciną; gdy wrócili do domu, pierożki były już gotowe i ojciec Pirrone, któremu arcydzieła sztuki kulinarnej podawane w pałacu Salina nie popsuky smaku, pałaszował je z apetytem.

Pod wieczór przyszli z wizytą przyjaciele i wszyscy zebrali się w pokoju jezuity. Wisząca na suficie mosiężna trzyramienna lampa oliwna rzuciła nikłe chybotliwe światło; na ustawionym w kącie łóżku piętrzyły się różnokolorowe materace, na których leżała ciężka pikowana, różowo-żółta kołdra; w drugim kącie stała wysoka słomiana kadź, wypełniona złotą jak miód pszenicą, z której co tydzień wysyłano do młyna część ziarna na bieżące potrzeby rodziny. Na dziobatych, chropawych ścianach święty Antoni trzymał na ręku Dzieciątka Boże, święta Łucja wznosiła oczy ku niebu, a święty Franciszek Ksawery wygłaszał kazanie do na wpół nagich, przystrojonych piórami Indian; na dworze w gwiazdzistym zmierzchu świszczą wiatr i on jeden wspominał, na swój sposób, rocznicę zmarłego don Gaetana. W środku pokoju, pod lampą, ustawiono duży, płaski piecyk węglowy, otoczony wypolerowaną deską, na której opierało się nogi, a dokoła wyplatane sznurkiem krzesła dla gości. Był tam proboszcz, dwaj bracia Schirò, właściciele okolicznych gruntów, i stary Pietrino, zielarz. Wszyscy przyszli z ponurymi minami i dalej byli ponurzy; kobiety na dole krzątały się w kuchni, oni rozmawiali o polityce; mieli nadzieję usłyszeć jakieś pocieszające wiadomości od ojca Pirrone, który przyjechał z Palermo i musiał dużo wiedzieć, skoro żył między „panami”. Głód wiadomości został zaspokojony, ale zamiast pociechy przyszło rozczarowanie, gdyż jezuita, po części szczerze, a po części ze względów taktycznych, przedstawił im przyszłość w jak najczarniejszych barwach. Nad Gaetą powiewał jeszcze sztandar Burbonów, ale wróg otoczył ją żelaznym murem, prochnie forticy jedna za drugą wylatywały w powietrze i nie było tam już nic do uratowania prócz honoru, a to bardzo niewiele; Rosja była przyjazna, lecz odległa; wiarołomny Napoleon III – blisko; a o powstańcach Basilicaty i Terra di Lavoro tylko napomknął, bo wstydził się o nich mówić. Trzeba, powiadał, pogodzić się z faktem tworzenia się tego państwa włoskiego, które

zapowiadało się jako bezbożne i drapieżne, najeżone ustawami o wyłączeniu i obowiązku służby wojskowej, które z Piemontu, dojdą aż tutaj, jak zaraza.

– Zobaczycie – zakończył niezbyt oryginalnie – że nie pozostawią nam nawet oczu do płakania.

Do jego słów dołączył się tradycyjny chór wiejskich narzekań. Bracia Schirò i zielarz odczuli już na własnej skórze zaciskające się obcegi opłat podatkowych. Pierwszym wymierzono podatek specjalny oraz dopłatę setnej części podatku ogólnego, a don Pietrina spotkała wstrząsająca niespodzianka. Wezwano go do ratusza i powiedziano mu, że jeśli nie zapłaci dwudziestu lirów rocznie, nie będzie mu wolno sprzedawać dalej ziół leczniczych.

– Toż ja ten senes, ten rumianek, te święte zioła stworzone przez Pana Boga chodzę zbierać w góry własnymi rękami, w pogodę czy w słotę, w przepisane dni i noce! Sam je suszę na słońcu, które należy do wszystkich, i sam rozkruszam na miazgę w moździerz mojego dziadka! Co im do tego, tym z ratusza? Dlaczego miałbym im płacić dwadzieścia lirów? Ot tak, dla ich pięknych oczu?

Słowa wydobywały mu się z trudnością z bezzębnych ust, ale oczy błyszcząły niekłamana wściekłością.

– Mam rację czy nie, ojczy? Powiedz mi ty?

Jezuita bardzo lubił Pietrina; pamiętał go jeszcze jako mężczyznę w pełni sił, zresztą nawet już wtedy nieco przygarbionego na skutek nieustannego poszukiwania i zbierania ziół, kiedy on sam był chłopaczkiem, który celował kamieniami do wróbli; a także był mu wdzięczny, wiedząc, że kiedy sprzedaje swoje napary kobietkom, upomina je zawsze, że bez tyłu i tyłu Zdrowasiek i Chwała Ojcu leki nie będą skuteczne. Jednakże na wszelki wypadek ostrożny jezuita wolał nie wiedzieć, co zawierają rzeczywiście owe mieszanki i jakim służą celom.

– Macie rację, don Pietrino, macie, po stokroć rację. Jakżeby mogło być inaczej? Ale jeśli nie będą brać pieniędzy od was i innych podobnych wam biedaków, to skąd je wezmą, żeby prowadzić wojny z papieżem i wydrzeć mu to, co jest jego własnością?

Rozmowa toczyła się dalej w przygasającym raz po raz świetle, na które dmuchał wiatr przedzierający się nawet przez masywne okiennice. Ojciec Pirrone rozwodził się nad przyszłą nieuniknioną konfiskatą dóbr kościelnych – a wtedy żegnajcie, łagodne rządy miejscowego opactwa, żegnajcie, zupy wydawane w mroźne zimy! Kiedy najmłodszy z braci Schirò nieostroźnie wtrącił, że może wtedy część ziemi przypadnie co uboższemu chłopom, jezuita przemówił cierpkim głosem, nie kryjąc pogardy:

– Zobaczycie, don Antonino, zobaczycie! Wszystko wykupi burmistrz, zapłaci pierwsze raty i tyle go będą widzieli. Bywało już tak w Piemontcie.

Potem rozeszli się, bardziej jeszcze nachmurzeni niż przedtem i zaopatrzeni na dwa miesiące w tematy do utyskiwań. Został tylko zielarz, który nie zamierzał spać tej nocy, lecz wybierał się do Pietrazzi po rosnący tam wśród skał rozmaryn, bo księżyc właśnie był w nowiu; przyniósł ze sobą latarkę i miał wyruszyć w drogę z domu ojca Pirrone.

– Ty, ojczy, żyjesz między szlachtą, więc powiedz mi, co o tej poździe mówią panowie? Co o tym mówi książę Salina, on, taki potężny, gniewny i dumny?

Ojciec Pirrone sam nieraz zadawał sobie to pytanie, ale odpowiedź nie przychodziła mu łatwo, zwłaszcza że w swoim czasie zbagatelizował i uznał za przesadne to, co don Fabrizio powiedział mu w obserwatorium mniej więcej przed rokiem. Teraz już wszystko rozumiał, lecz nie znajdował sposobu, by wytłumaczyć to wystarczająco jasno don Pietrinowi. Zielarz nie był głupi, ale znał się lepiej na właściwościach antykatastralnych, uspokajających czy podniecających swoich ziół niż na tego rodzaju abstrakcjach.

– Widzicie, don Pietrino, „panów”, jak wy ich określicie, trudno zrozumieć. Oni żyją w osobliwym świecie, stworzonym nie bezpośrednio przez Boga, ale przez nich samych w przeciągu całych wieków ich własnych doświadczeń, ich smutków i radości; mają zaskakującą pamięć zbiorową, a więc martwią się i cieszą rzeczami, które was i mnie nic a nic

nie obchodzą, ale dla nich są bardzo ważne, powiązane z dziedzictwem wspomnień, nadziei i obaw ich sfery. Opatrzność boska chciała, bym stał się skromną komórką najświetniejszego zgromadzenia Kościoła nieśmiertelnego, któremu zostało przyrzeczone ostateczne zwycięstwo: wy znajdujecie się na drugim końcu tej drabiny, nie mówię: na najniższym szczeblu, ale na całkiem innym. Wy, znajdując bujny pęd lebiody albo duże gniazdo kantaryd (i tych owadów szukacie, don Pietrino, wiem o tym), stykacie się bezpośrednio z naturą, którą Pan stworzył z nie zróżnicowanymi możliwościami złego i dobrego w tym celu, żeby człowiek sam dokonywał na nich swego wyboru. I kiedy przychodzą do was po radę złośliwe staruchy albo pożądlive dziewczęta, to wy, don Pietrino, cofacie się w otchłań minionych wieków, w mroki poprzedzające światło Golgoty.

Stary spoglądał na jezuitę ze zdumieniem; chciał się dowiedzieć, czy książe Salina był, czy też nie był zadowolony z nowego stanu rzeczy, a tymczasem ten mówił mu o kantarydach i światłach Golgoty. „Widać za dużo czytał i w głowie mu się pomieszało, biedakowi!”

– „Panowie” nie są tacy; oni żyją według gotowych formułek. My, kapłani, służymy im do tego, żeby utrwalić ich wiarę w żywot wieczny, tak jak wy, zielarze, potrzebni jesteście do dostarczania im podniecających i uspokajających ziół. I wcale nie chcę przez to powiedzieć, że oni są źli, wręcz przeciwnie. Są po prostu inni, może dlatego wydają się wam tacy dziwni, bo osiągnęli ten etap, ku któremu dążą wszyscy prócz, garstki świętych: etap zobojętnienia na dobra ziemskie, wynikający z. nawyku do ich posiadania. Może dlatego nie zwracają uwagi na pewne rzeczy, które dla nas są takie ważne; kto mieszka w górach, nie interesuje się plagą komarów w dolinach, kto mieszka w Egipcie, nie troszczy się o parasol. Za to ten pierwszy boi się lawin, a ten drugi krokodyli, które nas z kolei nic nie obchodzą. Oni mają swoje zmartwienia, których my nie znamy: sam widziałem, jak don Fabrizio się rozgniewał, on, człowiek tak mądry i poważny, z powodu źle uprasowanego kołnierzyka; i wiem z całą pewnością, że książe Lascari nie spał kiedyś całą noc ze złości, bo na obiedzie w namiestnictwie wyznaczono mu nieodpowiednie miejsce przy stole. A więc, czy nie wydaje się wam że ten gatunek ludzi, którzy przejmują się tylko bielizną i wymaganiami protokołu, jest gatunkiem szczęśliwszym, a więc wyższym?

Don Pietrino nic już nie rozumiał; dziwactwa mnożyły się zastraszająco, teraz ni stąd ni zowąd pojawiły się nagle kołnierzyki i krokodyle. Ale nie zawiódł go jeszcze zdrowy, chłopski rozum.

– Jeżeli jest tak, ojczy, to oni wszyscy pójdą do piekła!

– Dlaczego? Jedni będą potępieni, inni zbawieni, zależnie od tego, jak żyli w owym stworzonym przez siebie świecie. Sądząc na oko, taki na przykład książe Salina powinien sobie poradzić; nie popełnia omyłek w swojej grze, gra zgodnie z wszelkimi regułami, nie szachruje. Pan Bóg karze tych, którzy dobrowolnie gwałcą podyktowane im prawa Boże, którzy dobrowolnie wchodzą na złą drogę; ten, kto nie zbacza ze swojej drogi i nie ma na sumieniu ludzkiej krzywdy, zawsze jest w porządku. Gdybyście wy, don Pietrino, świadomie sprzedawali cykuta zamiast mięty, bylibyście zgubieni; ale jeśli zrobicie to w najlepszej wierze, *gnā*<sup>42</sup> Zana umrze szlachetną śmiercią Sokratesa, a wy w białej szacie polecicie na skrzydełkach prosto do nieba.

Śmierć Sokratesa była kroplą, która przepęłniła kielich: zielarz poddał się i zasnął. Ojciec Pirrone zauważył to i był nawet zadowolony. Mógł teraz mówić, co chciał, bez obawy, że nie będzie zrozumiany; a chciał mówić, czuł potrzebę zamknięcia w konkretnych zdaniach tych myśli, które niejasno płątały mu się po głowie.

– Robią także wiele dobrego. Żebyście wiedzieli na przykład, ilu ludzi przygarniają do swoich pałaców, ludzi, którzy w przeciwnym razie znaleźliby się na bruku. I nie żądają od nich w zamian nic, nawet tego, żeby ich nie okradać! I nie robią tego ostentacyjnie, na pokaz,

---

<sup>42</sup> Ciotka.

nie, pcha ich ku temu nieokreślony atawistyczny instynkt: po prostu nie mogą postępować inaczej. Wbrew pozorom są oni o wiele mniej egoistycznie nastawieni od innych ludzi: splendor ich domów, wystawność ich przyjęć mają w sobie coś bezosobowego, coś, co przypomina wspaniałość kościołów i liturgii, coś w rodzaju *ad maiorem gentis gloriomx*<sup>43</sup>, co rehabilituje ich w dużej mierze; za każdy kieliszek szampana, który wypijają sami, ofiarowują pięćdziesiąt innym, a kiedy źle kogoś potraktują, co się zdarza, grzeszy nie tyle ich charakter, co ich sfera, która dochodzi do głosu. *Fata crescunt*<sup>44</sup>. Don Fabrizio na przykład wziął pod opiekę swego siostrzeńca Tancreda; wykształcił go, słowem, uratował tego sierotę, który bez niego byłby zginął mamie. Lecz wy mi powiecie, że zrobił to „dlatego, ponieważ ten chłopak także pochodził z „panów” i że dla kogoś innego nie kiwnąłby nawet palcem. To prawda, ale dlaczego miałby to zrobić, skoro najszczerzej, najgłębiej jest przekonany, że ci „inni” są, co do jednego, niewydarzonymi tworam, nieudolnie ulepionymi przez artystę figurkami z gliny, których nie warto poddawać próbie ognia.

Wy, don Pietrino, gdybyście nie spali w tej chwili, skoczylibyście mi do oczu i powiedzielibyście zaraz, że panowie nie mają racji pogardzając nami, że wszyscy podlegamy jednako podwójnemu prawu miłości i śmierci i równi jesteście przed Stwórcą; a ja mógłbym tylko przyznać wam rację. Dodałbym jednak, że nie powinno się oskarżać o „pogardę wyłącznie panów, jest to ogólnoludzka przywara. Ten, kto wykląda na uniwersytecie, pogardza bakałarzem ze szkółki parafialnej, nawet jeśli tego nie okazuje, a ponieważ śpicie, mogę wam powiedzieć bez ogródek, że my, duchowni, uważamy się za coś lepszego od ludzi świeckich, my, jezuici, za coś lepszego niż reszta kleru, tak jak wy, zielarze, pogardzacie wyrwizębami, którzy z kolei kpią sobie z was. Lekarze znów wyszydzą i wyrwizębów, i zielarzy, a sami uważani są za osłów przez swoich pacjentów, którzy chcą żyć za wszelką cenę, choćby ich wątroby i serca były w szczątkowym stanie. Adwokaci, zdaniem sędziów, to nudziarze, którzy usiłują opóźnić wymiar sprawiedliwości, a z drugiej strony, literatura roi się od satyr na temat pompatyczności, niedołęstwa i, gorzej jeszcze, tychże sędziów. Tylko ci, którzy kopią ziemię motyką, mają w pogardzie samych siebie, a kiedy i oni nauczą się drwić sobie z innych, koło się zamknie i trzeba będzie zacząć od początku.

Czy przyszło wam kiedy do głowy, don Pietrino, ile wyrazów wywodzących się od rozmaitych zawodów nabrało pogardliwego znaczenia? Choćby takie jak: konował, ciura, faktor, żołdak. Ludzie zapominają o zasługach adwokata czy aptekarza, widzą tylko ich śmieszności i robią kpinki na ten temat. A ponieważ mnie nie słyszycie, mogę wam powiedzieć, że wiem aż za dobrze, jaki jest potoczny sens słowa „jezuita”.

Poza tym arystokracja wstydy się swoich nieszczęść. Widziałem jednego straceńca, który postanowił, że nazajutrz odbierze sobie życie, i który był tak wesoły i rozpromieniony jak dziecko w przeddzień Komunii Świętej. Natomiast wy, don Pietrino, kiedy musicie raz kiedyś sami się napić waszego naparu z senesu, podnosicie lament na całą okolicę. Gniew i szyderstwo są wielkopańskie, zawodzenia i skargi – nie! I dam wam nawet pewien przepis: jeśli spotkacie skarżącego się i zawodzącego arystokratę, to radzę wam rzucić okiem na jego drzewo genealogiczne: szybko znajdziecie suchą gałąź.

To klasa trudna do wytępienia, bowiem stale odrasta od korzeni, a poza tym, gdy trzeba, umie umierać z korzyścią dla rodu, to znaczy rzuca nasienie w momencie konania. Popatrzcie na Francję: z nieporównaną elegancją pozwolili się zmasakrować – i są tam dalej, jak byli przedtem, mówię: jak przedtem, bo nie latyfundia i prawa feudalne stanowią arystokrację, ale to, czym różnią się oni od reszty. Mówiono mi niedawno, że w Paryżu żyją teraz polscy hrabiowie, których zmusiły do ucieczki z kraju powstania i despotyzm; obecnie są dorożkarzami, ale spoglądają na swoich klientów mieszczuchów z takim marsem, że ci biedacy wsiadają do dorożki sami już nie wiedząc po co i z miną zbitych psów.

<sup>43</sup> Na większą chwałę rodu.

<sup>44</sup> Losy narastają.



I powiem wam jeszcze coś, don Pietrino, gdyby ta klasa, jak już się zdarzało, miała zniknąć z powierzchni ziemi, to na jej miejsce powstanie zaraz inna, z tymi samymi wadami i zaletami: oparta nie na błękitnej krwi, ale czy ja wiem, może na tym, że ktoś dłużej od innych mieszkał w danej okolicy, czy też rości sobie pretensje do lepszej znajomości jakichś pism uznanych za świętość.

W tym momencie dały się słyszeć na drewnianych schodkach kroki matki; weszła śmiejąc się:

– Z kim ty rozmawiasz, synku? Czy nie widzisz, że twój przyjaciel śpi?

Ojciec Pirrone trochę się zawstydzził; nie odpowiedział wprost na pytanie matki, tylko oświadczył:

– Odprowadzę go teraz na dół. Biedaczysko, przy takim zimnie musi spędzić całą noc na dworze!

Wyjął knot z latarki i zapalił go od płomyka lampy, wspinając się na czubki palców; trochę oliwy kapnęło mu na sutannę; wetknął potem knot na miejsce i zamknął szybką latarki. Don Pietrino błędził po krainie snów; strużka śliny ściekała mu z dolnej wargi i spływała na kołnierzyk. Obudzono go wreszcie z wielkim trudem.

– Wybacz mi, ojczy, ale mówiłeś takie dziwne i zagmatwane rzeczy!

Obaj się uśmiechnęli, zeszli po schodach, wyszli na dwór. Noc pogrążała w głębokim mroku damek, miasteczko, dolinę. Majaczyły tylko góry, niedalekie i groźne jak zawsze. Wiatr ucichł, lecz było bardzo zimno. Gwiazdy świeciły jak szalone, wytwarzając temperaturę kilku tysięcy stopni, nie mogły jednak rozgrzać biednego staruszka.

– Żal mi was, don Pietrino! Jeżeli chcecie, to przyniosę wam drugi płaszcz.

– Nie, dziękuję, jestem zahartowany na zimno. Zobaczymy się jutro i powiesz mi wtedy, jak książę Salina zniósł rewolucję.

– Powiem wam od razu, w dwóch słowach: mówi, że nie było żadnej rewolucji i że wszystko będzie tak, jak było przedtem.

– Niech żyje głupota! A czy to nie jest rewolucja, że burmistrz każe mi płacić za te zioła stworzone przez Boga i zbierane moimi rękami? Co ty na to? A może i tobie pomieszało się w głowie?

Światło latarki oddalało się podrygując miarowo, aż wreszcie znikło w gęstych jak filc ciemnościach.

Ojciec Pirrone pomyślał sobie, że świat musi się wydawać piekielnie trudną łamigłówką temu, kto nie zna matematyki ani teologii.

– Panie mój, tylko Twoja Wszechwiedza zdolna była wynaleźć tyle komplikacji.

Inna próbka owych komplikacji życiowych wpadła mu w rękę nazajutrz rano. Gdy zszedł na dół, żeby udać się do kościoła parafialnego w celu odprawienia mszy, zastał w kuchni swoją siostrę, Sarinę. Krajała cebulę, lecz wylewała przy tym tyle łez, że wydały się one księdzu niewspółmierne z wykonywanym przez nią zajęciem.

– Co się stało, Sarino? Masz jakieś kłopoty? Nie martw się; Pan Bóg nas doświadcza, a potem pociesza.

Serdeczny ton głosu sprawił, że nieszczęsna kobiecina straciła do reszty panowanie nad sobą i zaczęła głośno szlochać opierając twarz na stole. Spośród łkań dobiegały wciąż te same słowa:

– Angelina... Angelina... Jeżeli Vincenzino się o tym dowie, to zabije ich oboje. Angelina... on ich zabije...

Ojciec Pirrone spoglądał na nią stojąc, z oboma wskazującymi palcami wsuniętymi za pas sutanny.

Nietrudno było się domyślić, o co chodzi: Angelina była niezamężną córką Sariny, a Vincenzino, którego gniewu bano się panicznie, jej ojcem, a szwagrem ojca Pirrone. Jedyną

niewiadomą tego równania było nazwisko kochanka Angeliny.

Ojciec Pirrone pamiętał ją jako płaczącą dziewczuszkę sprzed siedmiu lat, a wczoraj zobaczył ją po raz pierwszy jako dorosłą pannę. Miała lat osiemnaście i była brzydka z tymi wystraszonymi oczami beżpańskiego psa, z tymi wywiniętymi wargami, tak charakterystycznymi dla większości dziewcząt z tutejszych okolic. Zauważył ją zaraz po przyjeździe, a nawet robił bezlitosne porównanie między nią, równie pospolitą jak gminne zdrobnienie jej imienia, a tą Angeliką, równie olśniewającą, jak imię bohaterki Ariosta, tą Angeliką, która naruszyła ostatnio spokój pałacu Salina.

Był to rzeczywiście nie lada kłopot i ojciec Pirrone pomyślał: „A tom wdepnął!” Przypomnił sobie jedno z powiedzeń don Fabrizia: „Każde spotkanie z krewnym to jeden cieriń więcej”, i zaraz zrobiło mu się przykro, że je sobie przypomniał. Wyjął zza pasa palec prawej ręki, zdjął kapelusz i poklepał drżące ramię Sariny.

– Uspokój się, Sarino, nie rozpaczaj tak. Na szczęście ja tutaj jestem, płacz nic nie pomoże. A gdzie jest Vincenzino?

Okazało się, że Vincenzina nie było już w domu, poszedł do Rimato odwiedzić strażnika z posiadłości braci Schirò. Był to pomyślny zbieg okoliczności: mógł z Sariną rozmawiać spokojnie, bez obawy przykrych niespodzianek. Wśród łąk, połykanych łez i głośnego pociągania nosem wyszła na jaw cała ta paskudna historia. Angelina (gorzej nawet: Neilina) dała się uwieść; stało się to w okresie lata Świętego Marcina; spotykała się z kochankiem w stodole donny Nunziaty; teraz była w trzecim miesiącu ciąży; nieprzytomna ze strachu, zwierzyła się ze wszystkiego matce; niedługo brzuch już zacznie być widoczny i Vincenzino zrobi ogólną rzeź.

– Mnie też zabije, mnie też, dlatego że mu o niczym nie powiedziałam. To człowiek honoru!

Istotnie, można było od razu poznać po niskim czole, po zarośniętych długimi kosmykami skroniach, po chwiejnym chodzie, po wypchanej prawej kieszeni spodni, że Vincenzino jest „człowiekiem honoru”, czyli jednym z tych niepohamowanych głupców, którzy są do wszystkiego zdolni.

Sarina znowu zaczęła głośno szlochać, może nawet jeszcze rozpaczliwiej niż przedtem, bowiem gryzły ją wyrzuty sumienia, że nie jest warta, swego męża, tego «usobienia niezłomności.

– Sarino, Sarino, przestańże płakać! Ten chłopak musi się z nią ożenić i zobaczysz, że się ożeni. Pójdę rozmówić się z nim i z jego rodziną, wszystko się ułoży. Vincenzo dowie się tylko o zaręczynach i jego cenny honor pozostanie nietknięty. Ale muszę wiedzieć, kim jest ten uwodziciel. Jeżeli wiesz, kto to taki, powiedz mi.

Jego siostra podniosła oczy: nie wyrażały już one teraz tego obłądnego, zwierzęcego lęku przed nożem szaleńca, lecz surową grozę, i ksiądz nie mógł na razie zrozumieć przyczyny owej zmiany.

– To Santino Pirrone. Syn Turiego. Zrobił to, żeby zbeczczyć mnie, naszą matkę, pamięć naszego ojca! Nigdy nie zamieniłam z nim ani słowa, ale słyszałam, że to dobry chłopak. A tymczasem to łajdak, godny synalek tej kanalii swojego ojca, tego łotra bez czci i wiary! Dopiero potem sobie przypomniałam, że właśnie w tym okresie, w listopadzie, widziałam go paradującego przed naszym domem z dwoma kolegami: miał zatkniętą za uchem czerwoną pelargonię. Niech go piekło pochłonie, niech go piekło pochłonie!

Jezuita wziął krzesło i usiadł obok siostry; rad nierad musiał odłożyć odprawienie mszy na później. Cała ta historia była o wiele poważniejsza, niż przypuszczał. Turi, ojciec Santina, uwodziciela, był jego stryjem, a bratem, co więcej, starszym bratem świętej pamięci nieboszczyka ojca. Przed dwudziestu laty obaj bracia do spółki sprawowali pieczę nad dobrami klasztorными i był to właśnie okres ich najbardziej gorliwej i owocnej działalności. Potem gwałtowna kłótnia rozdzieliła ich raz na zawsze; była to jedna z owych rodzinnych

kłótni, których nie można załagodzić, których podłoże okryte jest mgłą tajemnicy, bowiem żadna ze stron nie wypowiada się jasno, mając wiele do zatajenia. Dość na tym, że gdy don Gaetano objął w posiadanie gaik migdałowy) jego brat Turi oświadczył, że połowa przypada na niego, gdyż on dał w połowie zarówno pieniądze, jak pracę. Jednakże akt kupna wystawiony był tylko na imię don Gaetana. Turi szalał, biegał z pianą na ustach po uliczkach S. Cono. Autorytet don Gaetana był poważnie zagrożony, ale pomogli mu przyjaciele i niebezpieczeństwo zostało zażegnane; gaik migdałowy został w posiadaniu don Gaetana, lecz od tej pory wytworzyła się nie do przebycia przepaść między dwoma odgałęzieniami rodziny Pirrone. Turi nie pokazał się nawet na pogrzebie brata, a w domu Sariny nazywano go kanalią, i tyle. Jezuitę informowano o wszystkim w listach zawile sformułowanych i dyktowanych proboszczowi; wyrobił on sobie o tym łajdactwie jak najbardziej osobistą opinię, z którą nie zdradzał się zresztą ze względu na synowski szacunek. Gaj migdałowy należał obecnie do Sariny.

Wszystko było oczywiste: miłość, namiętność nie wchodziły tu w grę – świństwem zapłacono za świństwo. Lecz można było temu zaradzić; jezuita podziękował Stwórcy za to, że skierował jego kroki do S. Cono właśnie w tym czasie.

– Posłuchaj, Sarino, mam na to radę i załatwię wszystko w dwie godziny, ale musisz mi pomóc, musisz dać w posagu Neilinie połowę Chibbary (był to gaj migdałowy). Nie ma innego wyjścia; to głupie dziewczuszyko stało się waszą ruiną.

I pomyślał sobie, że Pan, chcąc wymierzyć sprawiedliwość, posługuje się czasem goniącymi się suczkami.

Sarina wybuchnęła z wściekłością:

– Co?! Połowa Chibbary dla tego diabelskiego nasienia?! Przenigdy! Wolę śmierć!

– Jak chcesz. Wobec tego po mszy pójde pomówić z Vincenzinem. Nic się nie bój, spróbuję go udobruchać.

Włożył na głowę kapelusz i na powrót wetknął palce za pas. Czekał spokojnie, pewien swego.

Perspektywa mężowskiej furii, nawet w wersji przejranej i poprawionej przez księdza, była dla nieszczęsnej Sariny nie do przyjęcia, toteż rozplakała się po raz trzeci. Jednakże powoli, powoli łkanie ucichło. Kobieta wstała.

– Niech się stanie wola Boża: załatw tę sprawę, byle się już raz skończyła ta męka! O, moje piękne Chibbaro! Pot i znój naszego ojca!

Łzy miały trysnąć znowu, ale ojciec Pirrone już odszedł.

Po odprawieniu mszy świętej i wypiciu kawy, którą poczęstował go proboszcz, jezuita ruszył ukradkiem ku domowi Turiego. Nie był tam nigdy, lecz wiedział, że nędzna lepianka stryja stoi na najwyższym punkcie miasteczka, tuż obok kuźni majstra Ciccu. Odnalazł ją bez trudu, a ponieważ nie było w niej okien, tylko drzwi otwarte na oścież, by choć trochę światła mogło przedostać się do wewnątrz, zatrzymał się na progu; zobaczył w głębi siodło oraz stos worków i toreb; Turi zarabiał na życie jako poganiacz mułów; obecnie pomagał mu syn.

– Dorazie! – zawołał ojciec Pirrone. Był to skrót formułki *Deo gratias (agamus)*<sup>45</sup>, którą posługiwali się duchowni pytając, czy można wejść. Starczy głos odkrzyknął:

– Kto tam? – i w mrocznej izbie zarysowała się sylwetka wysokiego mężczyzny, który wstał i podszedł do drzwi.

– Jestem Saverio Pirrone, wasz bratanek. Jeśli pozwolicie, to poproszę was o chwilę rozmowy.

Nie widać było wielkiego zdziwienia; najwidoczniej oczekiwano tej wizyty co najmniej od dwóch miesięcy. Stryj Turi był krzepkim, prostym jak trzcina starcem, opalonym i ogorzałym od słońca i wiatru; na twarzy miał ponure bruzdy, które są piętnem trosk u zawziętych ludzi.

---

<sup>45</sup> Dzięki Bogu (składamy).

– Wejdz – rzekł bez uśmiechu. Wykonał zapraszający gest i niechętnie pochylił się do dłoni księdza. Ojciec Pirrone usiadł na jednym z drewnianych siodeł. Wnętrze lepianki było nad wyraz ubogie: w kącie dwie kury rozgrzebywały ziemię, a wszystko dokoła zalatywało nawozem, wilgotnymi łachmanami, złą nędzą.

– Nie widzieliśmy się od lat, stryju, ale jak dobrze wiecie, nie jest to tylko moja wina; wy też nie pokazujecie się nigdy w domu mojej matki, waszej bratowej; bardzo nam przykro z tego powodu.

– Moja noga nie przestąpi nigdy progu tego domu. Na sam jego widok przewraca mi się wątrobą. Żaden Pirrone nawet po dwudziestu latach nie zapomina wyrządzonej mu krzywdy.

– Oczywiście, oczywiście, rozumiem. Ale ja przychodzę dzisiaj w roli gołąbka z arki Noego, żeby was zapewnić, że potop się skończył. Cieszę się, że tu jestem; byłem także szczęśliwy wczoraj, gdy dowiedziałem się w domu, że wasz syn Santino zaręczył się z moją siostrzenicą Angeliną; mówiono mi, że to dobre dzieci; ich związek zakończy okres niezgody, która powstała między naszymi rodzicami i która mnie, pozwólcie mi to powiedzieć, bardzo martwiła.

Twarz Turiego wyrażała zdziwienie tak przesadne, że nie mogło ono być szczerze.

– Ojcze, gdyby nie wasze uświęcone suknie, powiedziałbym, żeście skłamali. Licho wie, jakich niestworzonych historii nasłuchaliście się od kobiet w waszym domu! Santino w całym swoim życiu nigdy nie rozmawiał z Angeliną; za bardzo szanuje ojca, żeby sprzeciwić się jego życzeniom.

Jezuita podziwiał w duszy zimną krew starego, który łągał jak z nut.

– Wobec tego, stryju, widzę, że źle mnie poinformowano; wyobraźcie sobie, że powiedziano mi nawet, iż doszłście już do porozumienia w sprawie posagu. Podobno wy obaj mieliście przyjść dzisiaj, żeby uzgodnić wszystko ze szczegółami. Co za bzdury wygadują te niewiasty! Lecz nawet jeśli to nieprawda, dały one tym sposobem upust pragnieniom swoich zacnych serc. A więc, stryju, nie widzę już teraz potrzeby, żeby tu dłużej przesiadywać. Zaraz wrócę do domu i skarzę moją siostrę. Wybaczcie mi; bądź co bądź, rad jestem, że zastałem was w dobrym zdrowiu.

Na twarzy starego odbiło się chciwe zainteresowanie.

– Poczekajcie chwilę, ojciec. Śmiać mi się chce z tych plotek, których nasłuchaliście się w domu... ale o jakim to posagu mówiły te pleciuchy?

– Nie pamiętam dokładnie, stryju, ale wydaje mi się, że coś wspomiano o połowie Chibbary. 'Ncilina, mówiły, to przecież żrenica ich oczu, a żadna ofiara nie jest za duża, by przywrócić zgodę w rodzinie.

Don Turi już się nie śmiał. Wstał.

– Santino! – zaczął krzyczeć równie głośno jak na uparte muły. A gdy nikt się nie zjawiał, ryknął jeszcze głośniej: – Santino, *Sangue della Madonna*, gdzie ty się podziewasz?!

Widząc, że ojciec Pirrone aż podskoczył, zatkał sobie usta nieoczekiwanie służalczym ruchem.

Santino oporządzał muły na sąsiednim podwórku. Wszedł onieśmielony ze zgrzebłem w rękę. Był to przystojny dwudziestodwuletni chłopak, wysoki i suchy jak ojciec, tyle że jego oczy nie miały jeszcze zgorzkniałego wyrazu. On także, jak wszyscy, widział poprzedniego dnia jezuitę przechodzącego ulicami miasteczka i poznał go od razu.

– To jest Santino, a to twój kuzyn, ojciec Saverio Pirrone. Dziękuj Bogu, że ksiądz jest tutaj; gdyby nie to, obciąłbym ci uszy. Co to ma znaczyć: po kryjomu bałamucisz dziewczęta? Synowie rodzą się dla ojców, nie po to, żeby ganiać za spódniczkami.

Chłopak najwyraźniej się zawstydził, może nie swego nieposłuszeństwa, ale wprost przeciwnie: uzyskanego z góry ,pozwolenia. Nie wiedział, co odpowiedzieć; w końcu bez słowa położył zgrzebło na ziemi i poszedł pocałować jezuitę w rękę. Ten zdobył się na uśmiech i udzielił chłopakowi błogosławieństwa:

– Niech cię Bóg błogosławi, mój synu, choć nie wydaje mi się, byś na to zasługiwał.

Stary ciągnął dalej:

– Twój kuzyn tak usilnie mnie prosił, że w końcu musiałem się zgodzić. Ale dlaczego nic mi nigdy o tym nie mówiłeś? A teraz idź się wyszorować, pójdziemy zaraz, do domu 'Nciliny.

– Chwileczkę, stryju, chwileczkę. – Ojcu Pirrone przyszło na myśl, że przedtem musi się rozmówić z „człowiekiem honoru”, który jeszcze o niczym nie wiedział. – W domu na pewno zechcą przygotować się na wasze przyjęcie, a zresztą mówili, że oczekują was w godzinach wieczornych. Przyjdźcie więc, będzie to dla nas prawdziwym szczęściem!

I odszedł, wyściskany przez ojca i syna.

Po powrocie do domku w kształcie sześcianu ojciec Pirrone zastał tam już swego szwagra Vincenzina, a więc chcąc uspokoić siostrę, mógł tylko mrugnąć porozumiewawczo za plecami jej dumnego małżonka, co było zresztą aż nadto wystarczające, ponieważ oboje byli Sycylijczykami. Potem powiedział szwagrowi, że chce z nim pomówić, i poszli obaj do wyglądającej jak szkielet, obrośniętej zeschniętym winem altanki, która znajdowała się za domem. Falujący rąbek sutanny zakreślał wokół jezuitę coś w rodzaju nieprzekraczalnej ruchomej granicy; masywne pośladki „człowieka honoru” kołysały się niczym symbol odwiecznej pyszałkowatej groźby. Rozmowa przybrała całkiem inny obrót, niż można było przewidzieć. Zawiadomiony o rychłym ślubie 'Nciliny, „człowiek honoru” przyjął nowinę o złym prowadzeniu się córki z lodowatą obojętnością. Natomiast na pierwszą wzmiankę o posagu, oczy wystąpiły mu z orbit, żyły nabrzmiały na skroniach, biodra rozkołysały się jeszcze bardziej; z jego ust wyrwał się potok najbezwstydniejszych wyrazów, najohydniejszych pogroźek podsycanych morderczymi instynktami; ta sama dłoń, która nie wykonała najłżejszego gestu w obronie honoru córki, podrygiwała teraz nerwowo w prawej kieszeni spodni – był to widomy znak, że w obronie gaju migdałowego Vincenzino gotów jest przelać ostatnią kroplę cudzej krwi.

Ojciec Pirrone przeczekał lawinę tych obelg, zadowolając się szybkim kreśleniem krzyża na piersi, gdy graniczyły one z bluźnierstwem, nie zwracając uwagi na groźne podrygiwanie ręki w kieszeni, po czym, korzystając z pierwszej przerwy, powiedział:

– Rozumie się, Vincenzino, że ja też pragnę uczestniczyć w tym przypieczętowaniu zgody. Prywatne pismo zabezpieczające moją część spadku po naszym świętej pamięci ojcu odeśleł wam przedarte zaraz po powrocie do Palermo.

Działanie tego balsamu było natychmiastowe. Vincenzino zamilkł, zajęty przeliczaniem na pieniądze wartości owej niespodziewanej schedy; w rześkim, rozświetlonym powietrzu zabrzmiały nuty fałszywie zaintonowanej piosenki, którą ochoczo śpiewała 'Ncilina zamiatając pokój wuja.

Po południu przyszli z wizytą Santino i don Turi, czyściejsi niż zazwyczaj, wystrojeni w białe koszule. Narzeczeni usiedli obok siebie na krzesłach i raz po raz parskali sobie prosto w twarz głośnym, niepowstrzymanym śmiechem. Byli naprawdę szczęśliwi: ona z tej prostej przyczyny, że zatwierdziła wobec świata swój związek i będzie miała na własny użytek takiego chłopca na schwał jak Santino, on dlatego, że poszedł za radą ojca i dorobił się bezpłatnej służącej oraz połowy migdałowego gaju. Czerwona pelargonia, którą ponownie zatknął za uchem, nie wydawała się już nikomu odblaskiem ognia piekielnego.

Dwa dni później ojciec Pirrone wracał do Palermo. Po drodze porządkował swoje wrażenia, a nie wszystkie należały do przyjemnych; te gruboskórne amory, które zaowocowały w okresie lata Świętego Marcina, ta ubożuchna połowa gaju wydartą za pomocą obmyślonych z premedytacją umizgów odsłoniły przed nim prostackie, nędzne oblicze innych wydarzeń, których niedawno był świadkiem. Wielcy panowie byli powściągliwi i zagadkowi, chłopcy wylewni i prości, lecz i jednych, i drugich szatan owijał

sobie dokoła małego palca.

W pałacu Salina zastał księcia w doskonałym humorze. Don Fabrizio zapytał go, czy przyjemnie spędził te cztery dni i czy nie zapomniał przekazać jego pozdrowień swojej matce. Znał ją osobiście; przed sześciu laty była ona gościem w pałacu i jej wdowia pogoda podbiła serca gospodarzy. Jezuita, który zupełnie zapomniał o tych pozdrowieniach, milczał; ale zaraz potem oznajmił, że jego matka i siostra prosiły, by w ich imieniu pokłonił się jego ekscelencji. Wymyślił to na poczekaniu, uważając, że ta niewinna bajeczka mniej obciąży jego sumienie niż kłamstwo.

– Ekscelencjo – rzekł po chwili – chciałem prosić ekscelencję, żeby był łaskaw zadysponować dla mnie na jutro powóz. Muszę jechać do archidiecezji wystarać się o dyspensę; moja siostrzenica zaręczyła się ze swoim kuzynem.

– Oczywiście, ojczy, oczywiście. Ale pojutrze ja też się wybieram do Palermo i moglibyśmy pojechać razem. Czy to aż takie pilne?

## Rozdział VI

*W drodze na bal – Bal: wejście pułkownika Pallavicino i rodziny Sedàra – Niezadowolenie don Fabrizia – Sala balowa – W bibliotece – Don Fabrizio tańczy z Angeliką – Kolacja; rozmowa z pułkownikiem Pallavicino – Zmierzch balu, powrót do domu.*

*Listopad 1862*

Księżna Maria Stella wsiadła do kolasy, usadowiła się na obitych błękitnym ałłasem poduszkach i zgarnęła szeleszczące fałdy sukni, układając je możliwie najbliżej siebie. A tymczasem wsiadające już Concetta i Carolina zajęły miejsca naprzeciw; ubrane były w jednakowe różowe sukienki, z których ulatywał delikatny zapach fiołków. Potem nieproporcjonalny ciężar postawionej na schodku stopy gwałtownie zakołysał kolasę: wsiadł teraz don Fabrizio. Kolasa wypełniona była po brzegi: zwoje jedwabiu, druty krynolin unosiły się do góry, falowały, plątały się ze sobą niemal na wysokości głów. Na dole także panował nie lada rozgardiasz, wszyscy potracali się wzajemnie: jedwabne pantofelki dziewcząt obijały się o liliowozłotawe pantofle księżnej i ogromne lakierki księcia; każdy cierpiał z powodu obecności cudzych nóg i sam już nie wiedział w końcu, gdzie znajdują się jego własne.

Podniesiono stopnie kolasy; lokaj, któremu wydano rozkaz: „Do pałacu Ponteleone!”, wskoczył na kozioł; stajenny, trzymając konie przy pyskach, odsunął się na bok, stangret cicho cmoknął i kolasa ruszyła.

Jechali na bal.

Palermo przeżywało właśnie okres nieustannych przyjęć, wydawano bale jeden za drugim. Po przybyciu Piemontczyków, po zajściach w Aspromonte, gdy już ulotniły się zmyry gwałtów i wywłaszczeń, te dwieście osób tworzących świat towarzyski niezmordowanie spotykało się w swoim gronie, by wieszować sobie wzajemnie, że jeszcze żyją.

Tak często odbywały się te różne, a jednak zawsze identyczne przyjęcia, że księstwo zjechało na trzy tygodnie do swego pałacu w mieście, by nie tracić co wieczór czasu na długą drogę z San Lorenzo. Suknie pań przysyłano z Neapolu w długich, podobnych do trumien pudłach; w pałacu nastąpiła istna inwazja modystek, fryzjerek, szewców; służba, wyprawiana co chwila z pilnymi bilecikami do krawcowych, po prostu traciła głowę. Bal w pałacu Ponteleone należał do najważniejszych wydarzeń tego „krótkiego sezonu”. Był ważny dla wszystkich z powodu splendoru tego rodu oraz samego pałacu i z powodu ogromnej liczby zaproszonych gości, a szczególnie ważny dla rodziny Salina, która tego wieczora miała wprowadzić w świat piękną narzeczoną siostrzeńca, Angelikę. Było dopiero w pół do jedenastej, trochę za wcześnie jak na księcia Salinę, który powinien pojawić się w momencie, gdy zabawa osiąga swój szczyt. Tym razem jednak nie można było zrobić inaczej, bowiem książę chciał być obecny w chwili przybycia Sedarów, którzy przy swoim niewyrobieńcu towarzyskim („Nie znają się jeszcze na tym!”) wezmą na pewno *à la lettre* godzinę wypisaną na eleganckim zaproszeniu. Już samo „to, by wysłano im jedno z owych zaproszeń, kosztowało nieco fatygi: nikt ich nie znał, więc Maria Stella musiała przed dziesięcioma dniami wybrać się z wizytą do Margherity Ponteleone; wszystko poszło gładko, bez wątpienia, niemniej jednak była to jedna z zaderek, które zaręczyny Tancreda wbijały w delikatne łapy Lamparta.

Krótką drogą do pałacu Ponteleone prowadziła przez wążiutkie, kręte uliczki i trzeba było jechać stępa: ulica Salina, ulica Valverde, potem zjazd ulicą dei Bambinai, która ze swoimi sklepikami pełnymi figurynek woskowych wyglądała tak odświeżenie w dzień, a tak ponuro w

nocy. Podkute kopyta koni dudniły ostrożnie między czarnymi domami, które spały albo udawały, że śpią.

Dziewczęta, te niezrozumiałe istoty uważające bal za święto, a nie za nudny obowiązek towarzyski, gawędziły wesoło półgłosem. Księżna macała nerwowo torebkę, by sprawdzić, czy nie zapomniała wziąć ze sobą flakonika soli trzeźwiących; księżę rozkoszował się już z góry efektem, jaki wywrze piękność Angeliki na ludziach, którzy jej jeszcze nie znali, oraz wrażeniem, jakie wywoła wspaniałe posunięcie Tancreda wśród tych samych ludzi, którzy znali go aż za dobrze. Nie zabrakło jednak cienia przesłaniającego jego radość: jak będzie wyglądał frak don Calogera? Oczywiście, nie tak jak tamten w Donnafugacie, oddano bowiem burmistrza w ręce Tancreda, który poszedł z nim do najlepszego krawca i towarzyszył nawet przy miarach. Oficjalne relacje Tancreda dotyczące rezultatu były zadowolające, lecz nie dalej jak wczoraj powiedział, księciu poufnie:

– Frak jest bez zarzutu, ale cóż z tego: ojciec Angeliki nie ma szyku!

Trudno było temu zaprzeczyć; natomiast co do idealnego ogolenia zarostu oraz przyzwoitego obuwia Tancredi dał osobistą gwarancję. A to już było coś.

U wylotu ulicy dei Bambinai, przed absydą kościoła Św. Dominika, kolasa zatrzymała się nagle. Dał się słyszeć delikatny dźwięk dzwonka i spoza zakrętu ukazał się ksiądz niosący Przenajświętszy Sakrament; o krok dalej postępował ministrant, który trzymał nad nim biały, haftowany złotem, okrągły baldachim; drugi ministrant szedł przodem: w lewej ręce miał zapaloną gromnicę, a w prawej srebrny dzwonek, którym potrząsał z wyraźną przyjemnością. Był to znak, że w jednym z tych zamkniętych na cztery spusty domów spoczywa człowiek w agonii; ksiądz podążał do niego z Panem Bogiem. Don Fabrizio wysiadł i ukląkł na chodniku, panie przeżegnały się; dźwięk dzwonka oddalał się, dolatywał teraz od strony zaułków, wiodących do San Giacomo. Karetą ruszyła, uwożąc do bliskiego już celu swoich pasażerów, którym owo zbawienne dla duszy upomnienie przyoblekło twarz powagą.

Zajechali przed pałac, wysiedli, kolasa zniknęła na ogromnym dziedzińcu, skąd dobiegał turkot pojazdów tych gości, którzy przyjechali przed nimi.

Szerokie schody, wykute ze zwykłego kamienia, miały jednak proporcje uderzająco szlachetne; bukiety prostych kwiatów, stojące po bokach każdego stopnia, rozsiewały wokół przenikliwy zapach; na podeście, przedzielającym dwie kondygnacje schodów, amarantowe liberie nieruchomości jak posągi lokajów ożywiały kolorową plamą szaroperłowe tło wnętrza. Z dwu wysokich zakratowanych okienek dolatywały stłumione dziecinne szepty i śmiechy; nie dopuszczone na bal dzieci, wnuki księstwa Ponteleone, mściły się przedrzeźniając gości. Panie wyglądały fałdy spódnic. Don Fabrizio z szapoklakiem pod pachą przerastał je o głowę, choć znajdował się o stopień niżej. W drzwiach pierwszego salonu stali pan i pani domu: don Diego, siwy, z brzuszkami, wyglądałby na człowieka z gminu, gdyby nie jego szydercze oczy, i donna Margherita, która spomiędzy blasków diademu i naszyjnika o trzech rzędach szmaragdów ukazywała spiczastą twarz kanonika.

– Przyszliście wcześniej! Tym lepiej! Ale bądźcie spokojni, w a s i goście nie zjawili się jeszcze. – Znowu jedno ździebełko słomy podrażniło delikatne pazurki Lamparta. – Tancredi też już przyszedł.

Istotnie, widać go było w przeciwległym kącie salonu, jak. czarny i gibki niczym zaskroniec, wiódł rej w grupce kilku młodych ludzi, którzy zaśmiewali się z jego anegdotek, na pewno niecenzuralnych; nie przeszkadzało mu to jednak obserwować uważnie drzwi wejściowych niespokojnymi jak zawsze oczyma. Tańce już się rozpoczęły i poprzez trzy, cztery, pięć salonów dobiegały z sali balowej dźwięki orkiestry.

– Czekamy też na pułkownika Pallavicino, który tak się dobrze spisał pod Aspromonte<sup>46</sup>.

To zdanie księcia Ponteleone wydawało się proste, ale nie było takie. Nie zawierając na

---

<sup>46</sup> Patrz: *Nota historyczna*.



pozór akcentu politycznego, miało wyrażać jedynie podziw dla umiaru, delikatności, wzruszenia, niemal tkliwości, z jaką wpakowano kulę w stopę generała, nie mówiąc już o tym, jak wszyscy zdejmowali czapki, klękali i całowali ręce rannego bohatera, który leżał pod kasztanem na kalabryjskiej górze i uśmiechał się, ze wzruszeniem, a nie, jak powinien był – z ironią {bo Garibaldi, niestety, nie miał poczucia humoru}.

W głębszych pokładach psychiki pana domu zdanie to miało w pewnym sensie znaczenie techniczne, było wyrazem podziwu dla sprawności pułkownika, który właściwie wykonał otrzymane rozkazy, odpowiednio ustawił swoje bataliony i rozgromił tego samego wroga, którego ku ogólnemu zdumieniu nie udało się pokonać Landiemu pod Calatafimi<sup>47</sup>. Natomiast w głębi serca księżę uważał, że pułkownik „spisał się dobrze”, ponieważ udało mu się zatrzymać, pokonać, zranić i wziąć do niewoli Garibaldię, dzięki czemu uratował ów kompromis między starym a nowym, który osiągnięto z takim trudem.

Wywołany jak wilk z lasu tymi pochlebnymi słowami i pochlebniejszymi jeszcze myślami, pułkownik ukazał się na schodach. Był w podwatowanym dwurzędowym mundurze, szedł pobrzękując orderami, łańcuszkami i ostrogami, a pod pachą trzymał kapelusz z piórami; krzywa szabla opierała się o przegub jego lewej ręki. Był to człowiek światowy o wyjątkowo gładkich manierach, znany już zresztą w całej Europie ze zwyczaju całowania w rękę, który celebrował z odcieniami pełnymi subtelnej wymowy. Każda z pań, na której palcach spoczęły tego dnia jego pachnące wąsy, miała możliwość przypomnieć sobie – z pełną znajomością rzeczy – tamten historyczny moment, uwieczniony już zresztą na reprodukcjach ludowych.

Pułkownik przetrzymał grad pochwał, których nie szczędzili mu księstwo Ponteleone, uścisnął dwa palce podane mu przez księcia, po czym zanurzył się w wyperfumowanym obłoczku grupki pań. Jego twarz, o świadomie bohaterskich rysach, wyłaniała się sponad śnieżnych ramion i co chwila dobiegał jego głos:

– Płakałem, hrabino, płakałem jak dziecko!

Albo:

– On był tak piękny i pogodny jak archanioł!

Męski sentymentalizm pułkownika urzekał panie, rozentuzjasmowane już przedtem salwami jego bersalierów.

Angelica i don Calogero spóźniali się i księżę wraz z rodziną zamierzał już przejść do dalszych salonów, gdy nagle Tancredi oderwał się od swoich przyjaciół i pobiegł jak strzała ku drzwiom – zjawili się oczekiwani goście. Nad falującą półkulą różowej krynoliny białe ramiona Angeliki, jej smukłe, silne ręce opadały wdzięcznym ruchem, a mała głowa trzymała się prosto, wyniosłe na młodej, gładkiej szyi ozdobionej sznurem rozmyślnie skromnych pereł. Gdy wysunęła z długiej do ramienia glansowanej białej rękawiczki swoją dłoń, nie małą, lecz wyjątkowo kształtną, błysnął neapolitański szafir. Don Calogero kroczył w jej cieniu i wyglądał jak karzeł sprawujący pieczę nad olśniewającą różą. Nie był elegancki, ale tym razem wyglądał przyzwoicie. Jedynym błędem, jaki popełnił, było przypięcie do klapy niedawno otrzymanego krzyża Korony Italii, który zresztą szybko zniknął w kieszeni Tancreda.

Narzeczony już przedtem nauczył Angelikę powściągliwości, tej nieodzownej podstawy dystynkcji („Kochanie, możesz być wylewna i rozmowna tylko ze mną, dla wszystkich innych musisz być przyszlą księżną Falconeri, która wielu przewyższa, a dorównuje każdemu”), tak więc jej przywitanie z panią domu zostało znakomicie wystudiowane; była w nim i skromność dziewczęca, i neoarystokratyczna wyniosłość, i młodociany wdzięk. Ostatecznie, palermitańczycy są także Włochami, a więc ludźmi bardzo wrażliwymi na piękno i autorytet pieniądza; poza tym Tancredi, który nigdy nie miał grosza przy duszy, nie był uważany za dobrą partię (niesłusznie zresztą, jak się okazało poniewczasie), pomimo

---

<sup>47</sup> Patrz: *Nota historyczna*.

swego nieodpartego wdzięku: cenily go o wiele wyzej mezatki niz panny na wydaniu. Tak wiec z powyzzszych względown przyjeto Angelike niezwykle goraco. Powiedziawszy prawde, ten i ow młody czlowiek mógł zalowac, ze nie on wynalazł dla siebie te przepiekna amfore wypelniona zlotymi monetami; lecz Donnafugata byla lennem don Fabrizia i skoro on odkrył ten skarb i przekazal go ukochanemu Tancredowi, nie nalezalo. sie tym martwic wiecej, niz gdyby odkrył na przyklad kopalnie siarki w swoich wlosciach; byla to jego wlasnosc, nikt nie mógł temu zaprzeczyc.

Zreszta i te drobne opory pierzchly wobec blasku bijacego z oczu Angeliki. Przyszedł moment, ze otoczył ją rój młodzieńców, którzy pragnęli być jej przedstawieni i prosic ją do tańca. Angelica obdarzala kazdego z nich usmiechem poziomkowych ust i kazdemu pokazywala swój karnet, w którym przy kazdym walcu, polce, mazurce widnial władczy podpis: „Falconeri”. Ze strony panien mnozily sie propozycje „przejscia na ty” i po godzinie Angelica czula sie jak ryba w wodzie w tym towarzystwie, które nie miało najmniejszego pojęcia o grubiańskim prostactwie jej matki i przysłowiowym skapstwie jej ojca.

Przez cały czas zachowywala sie z wielką dystynkcją: ani cień roztargnienia nie przemknął jej po twarzy, ani na chwile nie zmienila pozycji rąk, które układnie trzymala przy bokach, ani na chwile głos jej nie wybil sie nawet o pół tonu nad głosy innych pań (zreszta dość wysokie). Tancredi pouczal ją dzien przedtem:

– Widzisz, kochanie moje, my (a wiec obecnie i ty) przywiązujemy wiekszą waga do naszych domów i do ich umeblowania niz do czegokolwiek innego; nic nie obraza nas bardziej niz nonszalancja w tym względzie; a wiec ogladaj wszystko, chwal wszystko; zreszta pałac Ponteleone naprawde jest tego. wart. Ale poniewaz nie jesteś juz panienczką z prowincji, która zachwyca sie byle czym, łącz zawsze pochwalę z pewną rezerwą, podziwiaj, i owszem, ale wszystko porównuj z jakimś sławnym pierwowzorem.

Długie wizyty w pałacu w Donnafugacie wiele nauczily Angelike, tak wiec tego wieczoru zachwykala sie kazdym arrasem po kolei, ale orzekla, ze arrasy w Palazzo Pitti maja jeszcze piekniejsze bordiury, wychwalala *Madonnę Dolciego*, lecz zaznaczyla, ze *Madonna Granduca* ma lepiej uchwycony wyraz melancholii; a nawet gdy pewien uslužny młodzieniec przyniósł jej kawalek tortu, powiedziala, ze jest on znakomity i prawie dorównuje wypiekom monsieur Gastona, kucharza domu Salina. A poniewaz monsieur Gaston był Rafaelem między kucharzami, a arrasy z Palazzo Pitti – monsieur Gastonem między tkaninami, nikt nie mógł dodac nic ponadto i takie porównania mogly tylko pochlebic gospodarzom. Poczawszy od tego wieczoru Angelica zaczęła zdobywac sławe uprzejmej, lecz nieugiętej w swoich gustach znawczyni sztuki, i ta nie pozbawiona przesady sława miała jej potem towarzyszyć przez całe życie.

Podczas gdy Angelica zbierala laury, Maria Stella gawędzila na kanapie z dwiema starymi przyjaciółkami, Concetta i Carolina mrozily swoja nieśmiałością najbardziej nadskakujacych młodych ludzi, don Fabrizio bładzil po salonach, całował ręce napotkanych po drodze pań; panów, których chcial wyroznic, poklepywal tak mocno, ze aż drętwialy im ramiona, lecz czul, ze powoli zaczyna opanowywac go zły humor. Przed wszystkim nie podobal mu sie sam dom; w pałacu Ponteleone nie zmieniano mebli od siedemdziesięciu lat i pochodzily one jeszcze z czasów królowej Marii Karoliny, książę wiec, który uważal, ze ma nowoczesne gusty, wzdrygal sie na ich widok. „Święty Boze, ze tez ten Diego przy swoich dochodach trzyma nadal te wszystkie trema i zmatowiala lustra! Powinien sobie sprawic piekne meble z palisandru wyścielane pluszem i nie skazywac gości na bładzenie po tych katakumbach. Sam mu to w końcu powiem.” Lecz nie powiedzial tego nigdy, poniewaz te krytyczne spostrzezenia budzily sie w nim na skutek rozdrażnienia oraz skłonności do przekory; szybko o nich zapominal, a zreszta on sam nic nie zmienial w swoich rezydencjach ani w San Lorenzo, ani w Donnafugacie. Na razie jednak wystarczylo to, by spotęgowac jeszcze jego złe samopoczucie.

Nie podobały mu się nawet spotkane na balu kobiety. Kilka z nich, tych starszych, było niegdyś jego kochankami; gdy widział je teraz obciążone latami oraz synowymi, próbował z trudem odtworzyć sobie ich obraz sprzed lat dwudziestu, i ogarniała go irytacja na myśl, że strawił swoje najlepsze lata na uganianiu się (zawsze zresztą uwieńczonym zwycięstwem) za tymi babsztyłami. Zresztą i młode kobiety nie robiły na nim wielkiego wrażenia, poza nielicznymi wyjątkami. Zwrócił uwagę na młodzusięnką diuszęsę Palmy, która wzbudziła jego podziw szarymi oczami, surowym wdziękiem, naturalnością manier, na Tutu Lascari, z której, gdyby był młodszy, potrafiłby wydobyć najwspanialsze akordy. Ale inne!... Całe szczęście, że z cienia Donnafugaty wyłoniła się Angelica, by pokazać palermitańczykom, co to jest piękna kobieta.

Trudno było nie przyznać mu racji: tak częste w owym czasie małżeństwa między kuzynami, spowodowane lenistwem seksualnym oraz kalkulacjami majątkowymi, minimalna dawka proteiny w wyżywieniu przy nadmiarze potraw mącznych, brak świeżego powietrza i ruchu sprawiły, że salony zaroily się od dziewcząt niewiarygodnie niskich, nieprawdopodobnie bladych, niezdolnie skrzeczących. Obsiadły one wszystkie kanapy siejąc pietruszką i zagadując wyłącznie chórem wystraszonych młodzieńców; odnosiło się wrażenie, że znalazły się tu jedynie po to, by tworzyć tło dla tak pięknych istot, jak jasnowłosa Maria Palma czy prześliczna Eleonora Giardinelli, które płynęły niczym łabędzie po stawie rojącym się od żab.

Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej potęgowało się jego rozdrażnienie, aż w końcu, gdy przechodził przez długą galerię, gdzie na ogromnym stojącym pośrodku pufie przycupnęła cała kolonia tych istot, jego umysł, przywykły do długich abstrakcyjnych rozważań w samotności, podsunął mu nagle przedziwne złudzenie: wydało mu się, że jest w ogrodzie zoologicznym, gdzie sprawuje pieczę nad setkami małpek, i czekał tylko, że lada chwila wdrapią się one na żyrandole, zawisną na ogonach, zaczną huścić się pokazując tyłeczki, piszcząc, wykrzywiając się i rzucając skorupkami od orzechów na Bogu ducha winnych gości.

Trudno w to uwierzyć, ale otrząsnął się z owej halucynacji na skutek wrażenia czysto religijnej natury; oto ponad stadkiem tych wystrojonych w krynoliny małpek ulatywały nieustannie i monotonicznie słowa wzywające boskiego imienia:

- O Mario Przenajświętsza, jaki piękny pałac!
- O Mario, co to za piękny mężczyzna z tego pułkownika Pallavicino!
- O Mario, jak mnie bolą nogi!
- O Mario, jaka ja głodna! Kiedy nareszcie otworzą bufet?!

Imię Najświętszej Dziewicy, przywoływane przez ten dziewiczy chór, wypełniało cały korytarz i na powrót zmieniało małpki w kobiety, bowiem, jak dotychczas, nic jeszcze o tym nie słyszano, by ogoniaste mieszkanki puszczy brazylijskich nawróciły się na katolicyzm.

Z lekkim uczuciem obrzydzenia książę przeszedł do następnego salonu; tam z kolei obozował szczep odmienny i wrogie – mężczyźni; młodzi tańczyli, obecni więc byli tylko starzy; wszyscy należeli do grona jego przyjaciół. Usiadł z nimi na chwilę; nie wzywano tam Królowej Niebios, za to wszędzie dokoła rozbrzmiewały komunały i płaskie rozmowy. Don Fabrizio uchodził między tymi panami za „dziwaka”; jego zainteresowanie matematyką uważano niemal za grzeszne i gdyby nie był on księciem Saliną i nie dał się poznać jako znakomity jeździec, niezmordowany myśliwy i umiarkowany kobieciarz, jego paralaksy i teleskopy zamknęłyby przed nim wszystkie drzwi. Lecz nawet teraz mało kto z nim rozmawiał, gdyż zimny błękit jego z lekka przymrużonych oczu wprawiał wszystkich w zamieszanie i często tworzyła się wokół niego pustka, nie z nadmiaru szacunku, jak mniemał, ale ze strachu.

Wstał; melancholia zmieniła się w najprawdziwszy czarny humor. Źle zrobił, że przyszedł na ten bal; Stella. Angelica, córki równie dobrze obyłyby się bez niego, a on w tym

momencie, szczęśliwy w swoim sąsiadującym z tarasem gabinecie przy ulicy Salina, słuchałby szmeru fontanny i próbował łapać za ogon komety. „Trudno. Już tu jestem, a wyjść byłoby niegrzecznie. Chodźmy popatrzeć na tancerzy.”

Sala balowa złociła się cała: złoto było gładkie na karniszach, wytłaczane na framugach drzwi, inkrustowane nieco jaśniejszym, prawie srebrnym odcieniem na ciemniejszym tle samych drzwi i okiennic, które były w tej chwili zamknięte i szczelnie zasłaniały okna, dzięki czemu nadawały wnętrzu dumny symbol szkatuły odciętej od niegodnego świata zewnętrznego. Nie była to owa krzyżująca pozłota, którą dekoratorzy tak pompatycznie teraz nakładają, ale złoto jakby nieco zużyte, blade niczym włosy niektórych dziewczątek z Północy, złoto, które kryjąc wstydliwie swój cenny blask drogiego kruszcu roztaczało swe piękno każąc równocześnie zapomnieć o cenie, jaką za nie zapłacono. Tu i ówdzie, na płaszczyznach ozdobionych festonami kwiatów rokoko, było ono tak wyblakłe, że robiło wrażenie złudnego różowawego odbłasku padającego ze świeczników.

Te słoneczne tony, ta plątanina światła i cieni ukłuły w samo serce don Fabrizia, który stał czarny i wyprostowany u progu: w tej przewspaniałej patrycjuszowskiej sali zamigotały mu w wyobraźni wiejskie obrazki; ta gama złotych tonów była jak bezkresne pola Donnafugaty, ekstatyczne, błagające o litość pod tyranią słońca; także i w tej sali, jak w lennach, pod koniec sierpnia, zbiory były od dawna skończone, zmagazynowane gdzie indziej i, jak tam, zostawało tylko ich wspomnienie w kolorze ściernisk, wyschniętych zresztą i niepotrzebnych nikomu. Walc, którego tony przenikały nagrzane powietrze, wydał mu się tylko stylizacją tego ciągłego pasażu wiatrów, które wygrywają swoją żalobę nad wyschniętymi równinami – wczoraj, dziś, jutro, zawsze, zawsze, zawsze. Tłum tańczących, między którymi znajdowało się tak wiele osób bliskich jego krwi, jeżeli nie sercu, wydał mu się w końcu czymś nierealnym, jak wspomnienie rzeczy minionych, które jest jeszcze bardziej nieuchwytnie niż to, co widzimy we śnie. Na plafonie rozparci w złotych stallach bogowie, spoglądali w dół uśmiechnięci i okrutni, jak letnie niebo. Uważali się za nieśmiertelnych – bomba wyprodukowana w Pittsburgu miała przekonać ich w 1943 roku, że tak nie jest.

– Piękne, proszę księcia, piękne! Dziś, przy obecnej cenie dukatowego złota, już się nie robi takich rzeczy.

Stał przy nim Sedàra; jego chytre oczki biegały po całym otoczeniu, niewrażliwe na piękno, zwracające uwagę tylko na wartość pieniężną.

Don Fabrizio poczuł nagle, że go nienawidzi; to przez niego i setki podobnych mu ludzi, przez ich ciemne intrygi, ich skąpstwo i chciwość zerwał się ów poddmuch śmierci, który teraz jawnie przenikał do tych pałaców; to on i jemu podobni, ich uroszczenia, ich poczucie niższości i zawiść, że nie im dane było rozkwitnąć, sprawiły, że dziś on, don Fabrizio, kojarzy czarne stroje tancerzy z krukami, które szybują nad zagubionymi wąwozami w poszukiwaniu padliny. Miał chęć niegrzecznie mu odburknąć, powiedzieć, żeby mu się przestał plątać pod nogami. Lecz nie mógł tego zrobić; don Calogero był gościem, był ojcem drogiej Angeliki. Był może tak samo nieszczęśliwy jak inni.

– Piękne, don Calogero, piękne. Ale jest coś, co przewyższa wszystko: to nasze dzieci!

Tancredi i Angelica właśnie ich mijali; jego prawa ręka w rękawiczce obejmowała ją w talii, ich wyciągnięte ramiona splecione były ze sobą, oczy wpatrzone w oczy. Czerń jego fraka w połączeniu z jej różową sukienką tworzyła rzadko spotykane arcydzieło. Był to widok najbardziej ze wszystkich porywający i wzniosły, ta para młodzieńskich zakochanych, którzy ze sobą tańczą, ślepi na swoje wady, głusi na upomnienia losu, pełni złudzeń, że cała droga ich życia będzie równie gładka jak posadzka salonu; nieświadomi aktorzy, którym reżyser dał rolę Julii i Romea, ukrywając kryptę i truciznę, te akcesoria z góry przewidziane w dramacie. Ani on, ani ona nie byli dobrzy, byli pełni wyrachowania, każde z nich miało swoje ukryte cele, ale obydwoje wyglądali tak miło i wzruszająco w tej chwili, gdy te ich nie takie znowu niewinne, ale naiwne ambicje przesłaniały słowa radosnej tkliwości, które on szeptał jej do

ucha, i wonność jej włosów, wzajemny uścisk ich ciał przeznaczonych śmierci.

Młodzi oddalali się; przed don Fabriziem przesuwają się inne pary, mniej piękne, równie wzruszające, każda pogrążona w przemijającym zaślepieniu. Książę poczuł, że serce mu mięknie: jego niesmak zmieniał się we współczucie dla tych efemerycznych istot, które próbują się cieszyć ową wątłą smugą światła, która oddziela ciemności poprzedzające narodziny od tych, które zapadają po ostatnim skurczu.

Jak można być okrutnym w stosunku do kogoś, o kim wie się na pewno, że umrze? Byłoby to nie mniejszą podłością niż podłość owych przekupek, które sześćdziesiąt lat temu lżyły skazańców na rynku. Tak samo te małpki na pufach, tak samo ci starzy głupcy, jego przyjaciele, byli nieszczęśliwi, skazani, bliscy sercu jak bydło, które, gdy je prowadzą na rzeź, ryczy w nocy na ulicach miasta; do uszu każdego z tych ludzi doleci pewnego dnia dźwięk dzwonka, który on słyszał przed trzema godzinami za kościołem Sw. Dominika. Nie godzi się nienawidzić niczego oprócz wieczności.

A poza tym ten tłum wypełniający salony, wszystkie te brzydkie kobiety, ci głupi mężczyźni, i jedni, i drudzy nadęci pychą, byli przecież krwią jego krwi, byli nim samym, ich. tylko rozumiał, z nimi tylko czuł się dobrze. „Jestem może inteligentniejszy, na pewno bardziej wykształcony od nich, jestem jednak ulepiony z tej samej gliny i z nimi muszę się solidaryzować.”

Zauważył, że don Calogero rozmawia z Giovannim Finale na temat możliwości podwyżki cen sera i że ta błoga wiadomość napełniła nadzieją jego oczy, które stały się wilgotne i swojskie. Mógł się wymknąć z czystym sumieniem.

Do tej chwili dodawało mu energii narastające rozdrażnienie, teraz wraz z odprężeniem przyszło zmęczenie; była już druga godzina. Zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby spokojnie wypocząć, z daleka od ludzi, bliskich sercu, braci, oczywiście, ale jednak nużących. Znalazł je szybko w małej bibliotece, cichej, oświetlonej i pustej. Usiadł, a potem wstał, żeby się napić wody, która stała w karafce na stolyczku. „Naprawdę smaczna jest tylko woda” – pomyślał jak nieodrodny Sycylijczyk i nie wytarł sobie tych kilku kropel, które zostały mu na wardze. Znowu usiadł; podobała mu się ta biblioteka i od razu poczuł się w niej doskonale; nic go tu nie raziło, bo wszystko miało charakter bezosobowy, typowy dla pokoi mało uczęszczanych; Ponteleone nie był człowiekiem, który traciłby czas w bibliotece. Zaczął się przyglądać wiszącemu naprzeciw obrazowi. Była to dobra kopia *Śmierci sprawiedliwego* Greuze'a: starzec konał na łożu zasłanym śnieżną pościelą, otoczony smutnymi wnukami oraz wnuczkami, które wznosiły ręce do sufitu. Dziewczęta były urodziwe, wyzywające, nieład ich szat sugerował raczej lekkość obyczajów niż rozpacz; od razu rzucało się w oczy, że one właśnie są głównym tematem obrazu. Pomimo to don Fabrizia zaskoczył fakt, że Diego chce mieć stale przed oczami tę melancholijną scenę; szybko jednak uświadomił sobie, że pan domu odwiedza prawdopodobnie raz na rok ten pokój.

Potem zadał sobie pytanie, czy jego własna śmierć będzie do tej podobna: zapewne, choć pościel nie będzie tak czysta (wiedział, że prześcieradła konających zawsze są brudne, zbrukane śliną, wymiotami, plamami lekarstw), a można się spodziewać, że Carolina, Concetta i pozostałe córki będą przyzwoiciej odziane. Lecz, ogólnie rzecz biorąc, mniej więcej to samo. Myśl o własnej śmierci rozpogadzała go zawsze, tak jak zawsze niepokoiła go śmierć innych ludzi, dlatego że ostatecznie jego śmierć będzie może przede wszystkim śmiercią całego świata.

Z kolei przyszło mu do głowy, że należałoby uporządkować grób rodziców w podziemiach kościoła kapucynów. Szkoda doprawdy, że w tych kryptach nie wolno już wieszać trupów i oglądać potem, jak mumifikują się powoli. On, zaiste, przy swoim wzroście, wyglądałby wspaniale i straszłoby dziewczęta nieruchomym uśmiechem na pergaminowej twarzy, w tych długich spodniach z białej piki. No, nie, ubraliby go przecież na czarno, może w ten sam frak, który miał w tej chwili na sobie.

Otworzyły się drzwi.

– Wujaszku, jesteś dziś wcieleniem piękna! Wspaniale wyglądasz we fraku! Ale na co ty patrzysz? Umizgasz się do śmierci?

Tancredi trzymał pod rękę Angelikę; obydwójce byli jeszcze pod zmysłowym wrażeniem tańca, zmęczeni. Angelica usiadła i poprosiła Tancreda o chusteczkę, żeby wytrzeć sobie skronie. Don Fabrizio dał jej swoją. Młodzi spoglądali na obraz z całkowitą obojętnością. Ich znajomość śmierci była czysto intelektualna, po prostu – jedno z pojęć, które przyswoili sobie z kulturą, a nie rzeczywistość, która przenika do szpiku kości. Śmierć, oczywiście, istniała bez wątplenia, ale była to rzecz na użytek innych. Don Fabrizio pomyślał, że wskutek niewiedzy o istnieniu tej ostatecznej pocięchy młodzi odczuwają ból dotkliwiej niż starzy; dla tych ostatnich to „zapasowe wyjście” jest o wiele bliższe.

– Dowiedzieliśmy się, że książe jest tutaj – mówiła Angelica – i przyszedliśmy, żeby trochę odpocząć, a także, żeby o coś poprosić. Mam nadzieję, że nie spotkam Cię z odmową. – Jej oczy śmiały się przekornie, dłoń opierała się o rękaw don Fabrizia. – Chciałam prosić, by książe zatańczył ze mną następną mazurkę. Proszę się nie wzbraniać i powiedzieć „tak”. Wiem, że książe jest wspaniałym tancerzem!

Don Fabrizio był uszczęśliwiony. Obudził się w nim dawny kobieciarz. Niech ziemia pochłonie kryptę kapucynów! Jego policzki pod gęstym zarostem zaróżowiły się. Zaniepokoiło go tylko, że wybór Angeliki padł na mazurkę: ten skoczny, wirowy taniec wojskowy z przytupami nie był najodpowiedniejszy dla jego stawów. Cóż za rozkosz przyklęknąć przed Angeliką, ale gdyby potem było trudno wstać?

– Dziękuję ci, córeczko, odmłodziłaś mnie. Będę szczęśliwy spełniając twoją prośbę. Ale nie chcę mazurki, ofiaruj mi pierwszego walca.

– Widzisz, Tancredi, jaki wuj jest dobry? Nie kaprysi, jak ty. Czy książe wie, że on nie chciał, żebym poprosiła o ten taniec: jest zazdrosny!

Tancredi śmiał się:

– Jak się ma takiego pięknego i eleganckiego wuja, trudno nie być zazdrosnym. No, ale tym razem nie będę się sprzeciwiał.

Uśmiechali się wszyscy troje i don Fabrizio zastanawiał się, czy młodzi przygotowali ten spisek po to, by mu zrobić przyjemność, czy po to, by z niego zażartować. Wszystko jedno, tak czy inaczej, byli bardzo mili.

Wychodząc Angelica dotknęła końcami palców obicia jednego z foteli.

– Ładne, jaki piękny kolor! Ale te w pałacu księcia...

Okręt płynął po wskazanym mu szlaku. Tancredi przerwał jej.

– Daj spokój, Angelico! My obaj cię kochamy bez względu na to, czy się znasz na meblach. Zostaw w spokoju te fotele i chodź zatańczyć.

Wchodząc na salę balową don Fabrizio spostrzegł, że Sedàra jeszcze rozmawia z Giovannim Finale. Dolatywały słowa: „zboża jare, ozime”; porównywali gatunki siewnego ziarna. Książe z góry przewidział rychłe zaproszenie do Margarossa, majątku, dla którego rujnował się Finale wprowadzając tam innowacje rolnicze.

Para Angelica – don Fabrizio wyglądała wspaniale. Olbrzymie stopy księcia wirowały z zadziwiającą delikatnością i nie musnęły ani na moment jedwabnych pantofelków damy. Jego łapsko ścisnęło jej talię z pełną wigoru stanowczością, jego broda dotykała jej falistych włosów; z dekoltu Angeliki unosił się zapach perfum Bouquet à la Maréchale, a przede wszystkim aromat młodej, gładkiej skóry. Przypomniały mu się słowa Tumea: „Jej pościel musi mieć rajski zapach.” Określenie całkiem nie na miejscu, chamskie, lecz trafne. Ten Tancredi...

Angelica robiła księciu zwierzenia. Zarówno jej wrodzona próżność, jak i zachłanna ambicja były zaspokojone.

– Jestem taka szczęśliwa, wujaszku, wszyscy są dla mnie tacy dobrzy, tacy mili! A Tancredi jest po prostu zachwycający, wujaszek też jest zachwycający. I właśnie wujaszкови zawdzięczam to wszystko, także i Tancreda. Bo wystarczyłoby jedno słowo sprzeciwu, a wiadomo, jakby się to wszystko skończyło.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego, córeczko, sama sobie to wszystko zawdzięczasz.

Była to prawda – żaden Tancredi nie oparłby się urodzie Angeliki połączonej z jej majątkiem. Ożeniłby się z nią depreczając wszystko, co stanęłoby mu na drodze. Poczłwał na moment ukłucie w sercu; pomyślał o dumnych i pogiębionych oczach Concetty. Był to jednakże krótki ból; za każdym okrażeniem sali spadał mu z barków jeden rok, poczuł się wkrótce jak młodzieniec, który na tej samej sali tańczył przed dwudziestu laty ze Stellą, nie znał jeszcze ani trosk, ani rozczarowań, ani całej reszty. Tej nocy przez chwilę śmierć na powrót stała się dla niego „rzeczą na użytek innych”.

Do tego stopnia pogrążył się we wspomnieniach, tak dobrze zestrojonych z tym, co odczuwał w tej chwili, że nie zauważył nawet, że on i Angelica tańczą, już tylko we dwoje. Inne pary, może za podszeptem Tancreda, przerwały taniec i patrzyły na nich. Stali tam także księstwo Ponteleone; wyglądali na rozczulonych – oni również byli już starzy i może go rozumieli. Stella też była stara, ale w jej oczach migotały ponure błyski. Gdy orkiestra zamilkła, oklaski nie zerwały się tylko dlatego, że don Fabrizio miał zbyt lwią powierzchowność, by można sobie było pozwolić na tego rodzaju niewczesne aplauzy.

Po skończonym walcu Angelica zaproponowała don Fabriziowi, żeby zjadł kolację razem z nią i Tancredem, przy jednym stoliku. Zrobiłby to z największą przyjemnością, jednak, osaczony wspomnieniami z młodości, uświadomił sobie, jak nudna byłaby dla niego przed laty kolacja ze starym wujem, gdy miał młodziutką narzeczoną przy boku. Zakochani chcą być sami, w ostateczności – z obcymi, natomiast ze starymi, i to jeszcze krewnymi – nigdy.

– Dziękuję ci, Angelico, ale nie jestem głodny. Przekaszę coś niecoś przy bufecie. Idź z Tancredem, nie troszczcie się o mnie.

Czekał chwilę, aż młodzi odejdą, po czym także skierował się do jadalni. W głębi stał bardzo długi wąski stół, oświetlony dwunastoma słynnymi kandelabrami z pozłacanego srebra, które dziadek Diega otrzymał w podarunku na hiszpańskim dworze, gdy był ambasadorem w Madrycie; na lśniących piedestałach stało na przemian sześć postaci atletów i kobiet – wyprostowani, trzymali nad głowami złote trzony ukoronowane na szczycie dwunastoma świecami. Mistrzostwo złotnika podkreśliło z ironią zupełny brak wysiłku u mężczyzn i pełne wdzięku zmęczenie kobiet w dźwiganiu tego nieproporcjonalnego ciężaru. Każdy z tych dwunastu okazów był arcydziełem. „Ciekawość bierze, ile salm ziemi można by nabyć za każdą sztukę!” – powiedziałyby nieszczęsny Sedara. Don Fabrizio przypomniał sobie szkatuły do przechowywania kandelabrow, które pokazywał mu niegdyś Diego; wyglądały one jak pagórki obite zieloną skórą, a po bokach miały wytłaczane złote trójdzielne tarcze herbowe Ponteleonów oraz monogramy ofiarodawców.

Pod kandelabrami, pod piramidami nigdy nie zjadanych tortów, piętrzącymi się w pięciu kondygnacjach, rozciągało się monotonne bogactwo stołów zastawianych na wielkie bale: czerwone, koralowe, żywcem rzucające w ukrop homary, woskowe i śliskie chaud-froids z cielęciny, solki koloru stali zanurzone w gęstym sosie, przyrumienione na złoty kolor indyki, pasztety z gęsich wątróbek, różowe pod pancierzem żelatyny, obrane z kości bekasy na wysokich bursztynowych grzankach przystrojone posiekanymi podróbkami, galareta koloru jutrzemki i dziesiątki innych okrutnych i barwnych specjalów. Na końcach stołu stały dwie olbrzymie srebrne wazy wypełnione przejrzystym bulionem koloru bursztynu. Kucharze w ogromnych kuchniach przygotowywali tę kolację w pocie czoła od wczorajszego wieczoru.

„Nie ma co mówić: istny róg obfitości! Donna Margherita umie wydawać przyjęcia. Tylko że na to wszystko potrzebny jest strusi żóładek, a ja go nie mam.”

Wzgardził stołem z napojami, który stał po prawej stronie połyskując srebrem i kryształami, i skierował się w lewo, ku słodyczom. Tam z kolei porozstawiane były olbrzymie baby koloru bułanych koni, śnieżne od kremu zasy Monte Bianco, baignets Dauphin upstrzone na biało migdałami i na zielono pistacją, wzgóreczki profitrolek z czekoladą, kasztany w cukrze, brązowawe jak humus równin katańskich, z których zresztą przysyłano je okrężną drogą, perfety różowe, perfety szampańskie, perfety dereszowate, które rozpadały się z chrzęstem pod łąpatką, stopy kandyzowanych wiśni, żółte krążki ananasów, „triumfy łakomstwa” z matową zielenią siekanej pistacji oraz nieskromne ciastka „panieńskie”. Tych don Fabrizio kazał sobie nałożyć i gdy już trzymał je na talerzu, wyglądał jak absurdalna karykatura świętej Agaty domagającej się zwrotu swoich odciętych piersi. „Że też święte oficjum, kiedy jeszcze mogło, nie zabroniło wyrobu tych słodyczy! «Triumfy łakomstwa» (łakomstwo – grzech śmiertelny!), «piersi świętej Agaty» sprzedawane przez klasztory i zjadane przez obżartuchów! No...”

Wyruszył na poszukiwanie jakiegoś miejsca w tej pachnącej winem, wanilią i pudrem sali. Siedzący przy jednym ze stolików Tancredi zobaczył go i poklepał krzesło, chcąc mu wskazać, że jest wolne miejsce. Angelica siedziała obok i próbowała się przejrzeć w srebrnym talerzu, żeby sprawdzić, czy jej uczesanie jest w należyтым porządku. Don Fabrizio uśmiechnął się i potrząsnął głową przecząco. Szukał dalej; w pewnej chwili od pobliskiego stolika dobiegł go głos zadowolonego z siebie Pallavicina:

– Największa emocja w moim życiu...

Obok pułkownika, było wodne miejsce. Ale co za nudziarz! Czy pomimo wszystko nie lepiej było słuchać może udanej, ale ożywionej serdeczności słów Angeliki i kostycznych żartów Tancreda? Nie, lepiej nudzić się samemu niż nudzić innych!

Przeprosił, usiadł obok pułkownika, który wstał na jego widok; obudziło to nieco lamparciej sympatii. Don Fabrizio, delektując się wykwinnym melanzem kremu, pistacji i cynamonu, rozmawiał z pułkownikiem i zaczął dochodzić do wniosku, że jest to człowiek wcale niegłupi, który swoje cukierkowe frazesy rezerwuje może wyłącznie dla dam. Poza tym on też był „panem” i wrodzony sceptycyzm arystokracji, tłumiony zazwyczaj płomiennym kołnierzem munduru bersalierów, wypływał znowu na powierzchnię, gdy pułkownik znalazł się w otoczeniu, z którego sam pochodził, z dala od nieuniknionej retoryki koszar i licznych wielbicieli.

– Teraz lewica chce mnie ukrzyżować za to, że wydałem w sierpniu rozkaz moim chłopcom, by dali ognia do generała. Ale niech mi książę powie, co mogłem zrobić innego, skoro otrzymałem wyraźne rozkazy na piśmie? Przyznam się jednak księciu, że kiedy tam, w Aspromonte, zobaczyłem przed sobą tę zgraję łobuzów z gębami nieuleczalnych zaślepieńców i notorycznych buntowników, byłem szczęśliwy, że te rozkazy są zgodne z tym, co ja osobiście myślę. Gdybym nie kazał strzelać, ta banda rozszarpałaby w kawałki moich żołnierzy i mnie; oczywiście, świat by się przez to nie zawalił. Jednakże w końcowym efekcie ta rzeź sprowokowałaby interwencję francuską i austriacką, powstałby rozgardiasz, jakiego jeszcze nie było, w którym rozpadłoby się to Królestwo Italii, które powstało cudem, to znaczy, nie wiadomo jak. I powiem coś księciu w sekrecie: tą salwą oddałem przysługę przede wszystkim... Garibaldiemu, uwalniając go od tej szajki, która się do niego przyczepiła, od tych wszystkich nicponiów w rodzaju Zambianchiego<sup>48</sup>, którzy posługiwali się nim dla Bóg wie jakich celów, może nawet szlachetnych, ale szkodliwych, a może podszeptanych przez Tuilerie i pałac Farnese<sup>49</sup>; ta cała hałastra nie umywała się do tych

<sup>48</sup> Aluzja do grupy ochotników – gorących republikanów, przeciwnych jakiegokolwiek, choćby tylko taktycznemu i chwilowemu porozumieniu z dynastią sabaudzką – których Garibaldi, udając się morzem na wyprawę na czele Tysiąca, wysadził w Toskanii pod dowództwem Zambianchiego, by opanowali państwo kościelne.

<sup>49</sup> W pałacu Farnese w Rzymie przebywał po upadku królestwa Obojga Sycylii Franciszek II Burbon



ludzi, którzy wylądowali z nim w Marsala; wśród tamtych byli właśnie ci najlepsi, którzy wierzyli święcie, że można stworzyć Italię serią bohaterskich fanfaronad. Generał wiedział o tym, gdyż w chwili mojego osławionego przyklęknienia uściskał mi dłoń z uniesieniem, co chyba jest dosyć wymowne w stosunku do człowieka, który przed pięcioma minutami wpakował wam kulę w stopę.

I wie książe, co mi powiedział, on, który był jedynym przyzwoitym człowiekiem z tego obozu na owej niesławnej górze? „Dziękuję, pułkowniku.” Za co mi dziękował, pytam? Za to, że z mojej winy będzie kulał przez całe życie? Nie, oczywiście, że nie, ale za to, że nareszcie miał w ręku niezbite dowody bufonady, podłości, a może i gorzej, tych swoich wątpliwych stronników.

– Bardzo przepraszam, pułkowniku, ale czy nie sądzi pan, że to całowanie w rękę, uchylanie kapelusza, te komplementy były lekką przesadą?

– Odpowiem z ręką na sercu, że nie. Bo to wszystko wypływało ze szczerego porywu. Trzeba było widzieć tego nieszczęsnego wielkiego człowieka leżącego na ziemi pod kasztanem, cierpiącego na ciele i bardziej jeszcze na duchu. Litość brała patrzeć! Wyszła na jaw jego prawdziwa natura, natura dziecka, tak, bo on pomimo tych zmarszczek i brody pozostał w dalszym ciągu naiwnym i nieostrożnym chłopaczkiem. I na myśl, że odegrałem wobec niego rolę straszaka, nie mogłem oprzeć się wzruszeniu. A zresztą, dlaczego miałbym się bronić przed tym wzruszeniem? Całuję ręce tylko kobietom, lecz także i wtedy ucałowałem dłoń nadziei ocalenia Królestwa Italii, nadziei, która jest również kobietą i której my, wojskowi, powinniśmy składać hołd.

Przechodził lokaj, don Fabrizio kazał mu przynieść kawałek Monte Bianco oraz kieliszek szampana.

– A pan nie ma na nic ochoty, pułkowniku?

– Na nic do jedzenia, ale może ja też wypiję kieliszek szampana.

Potem opowiadał dalej. Widać było, że nie może się oderwać od wspomnienia tych niewielu salw popartych zręcznym posunięciem, które fascynują ludzi jego pokroju.

– Ludzie generała, kiedy rozbrajali ich moi bersalierzy, lżyli i przeklinali, i wie książe kogo? Jego, tego jedynego spośród nich, któremu przyszło zapłacić swoją osobą. Ohydne, lecz naturalne: widzieli, że wymyka im się z rąk ta osobistość dziecinna, ale wielka, jedna jedyna, która mogła pokryć swoim autorytetem brudne intrygi niektórych spośród nich. I gdyby nawet moje uniesienie było przesadne, nie żałowałbym, że zachowałem się tak, a nie inaczej; u nas, we Włoszech, nigdy nie zaszkodzi przesada w sentymentalizmie i cmokaniu w rękę: to są argumenty polityczne najbardziej skuteczne, jakie posiadamy.

Wypił wino, które mu podano, lecz jego rozgoryczenie zdawało się jeszcze pogłębiać.

– Książę nie był na kontynencie po utworzeniu Królestwa? Szczęściarz z księcia! Nie jest to budujący widok. Nigdy jeszcze nie było u nas takiego rozłamu jak teraz, kiedyśmy się zjednoczyli. Turyn chce za wszelką cenę nadal pozostać stolicą. Mediolan uważa naszą administrację za gorszą od austriackiej. Florencja boi się, że ją ograbią z dzieł sztuki; Neapol płacze, że mu odbierają przemysł; a tu, tu na Sycylii, kielkuje jakaś wielka, niedorzeczna klęska... Na razie, także dzięki waszemu uniżonemu słudze, nie mówi się już o czerwonych koszulach, ale przyjdzie czas, że będzie się jeszcze mówiło. A gdy znikną, pojawią się inne, w innym kolorze, a potem znowu czerwone. I jak się to skończy? Powiadają, że mamy swoją „Gwiazdę Italii”. Zapewne.... Ale książe wie lepiej ode mnie, że nawet tak zwane gwiazdy stałe nie są naprawdę stałe.

Bawił się w proroka, może pod wpływem alkoholu. Don Fabrizio poczuł, że w obliczu tych niepokojących perspektyw ścisną mu się serce.

---

wraz ze swoim dworem i stronnikami. Pallavicino insynuuje, że niektóre spośród najśmielszych posunięć garibaldczyków były dobrze widziane przez przedstawicieli dawnego porządku, w nadziei, że doprowadzą w końcu do konfliktów dyplomatycznych i narażą na niebezpieczeństwo nowo powstałe państwo włoskie.

Bal ciągnął się jeszcze długo; dochodziła już godzina szósta: wszyscy byli zmordowani i co najmniej od trzech godzin marzyli o tym, żeby się znaleźć w łóżku, ale wcześniejsze rozejście się gości oznaczałoby, że przyjęcie było nieudane, i obraziłoby gospodarzy, którzy zrobili sobie, biedacy, tyle zachodu.

Twarze pań były sinawe, suknie pogniecione, oddech ciężki.

– O Mario Przenajświętsza, jaka ja jestem zmęczona!

– O Mario, jak mi się chce spać!

Ponad wymiętymi krawatami twarze mężczyzn były żółte, i pomarszczone, usta wypełnione gorzkawą śliną. Ich wizyty w ustronnym pokoiku, znajdującym się za lożą orkiestry, coraz częściej się powtarzały; stało tam równiutkim rzędem dwadzieścia dużych nocników, obecnie pełnych, a nawet przelewających się na podłogę. Widząc, że bal ma się ku końcowi, zaspani lokaje nie zmieniali już świec w żyrandolach; ich dopalające się resztki rzucały teraz w salonach inne światło, przyćmione, złowróżbne. W pustym bufecie stały już tylko brudne talerze i kieliszki z resztkami wina, które lokaje dopijali ukradkiem, niespokojnie rozglądając się dokoła. Przez szpary w okiennicach sączyło się do wewnątrz gminne światło poranka.

Tłum przeredzał się, wokół donny Margherity stała grupka żegnających się gości:

– Było cudownie! Jak we śnie! Po dawnemu!

Tancredi musiał się dobrze namęczyć, zanim udało mu się obudzić don Calogera, który z odchyłoną do tyłu głową zasnął w stojącym na uboczu fotelu; spodnie podciągnęły mu się aż do kolan i ponad jedwabnymi skarpetkami widniały końce jego długich, naprawdę bardzo wsiowych kalesonów. Pułkownik Pallavicino też miał podkrążone oczy, ale chwalił się na prawo i lewo, że nie wraca do domu, lecz przejdzie z pałacu Ponteleone prosto na pole ćwiczeń. Istotnie, wymagała tego żelazna tradycja, której się trzymali bywający na balach wojskowi.

Gdy rodzina już wsiadła do kolasy (rosa zwilżyła poduszki), don Fabrizio oświadczył, że pójdzie do domu piechotą, gdyż boli go trochę głowa i dobrze mu robi świeże powietrze. W istocie chciał zaznać nieco pociechy patrząc na gwiazdy. Było ich jeszcze kilka tam w górze, niemal w zenicie. Ich widok ożywił go jak zawsze; były dalekie, wszechmocne i zarazem tak uległe jego obliczeniom; całkowite przeciwieństwo ludzi, którzy są aż za blisko, są słabi, a jednak oporni.

Na ulicach zaczynał się już ruch; jechało kilka wozów ze śmieciami, czterokrotnie wyższych od ciągnących je osiołków. Długa okryta dwukółką wiozła poćwiartowane mięso wołów, dopiero co ubitych w rzeźni; wystawiały one na światło dzienne swoje najintymniejsze części z bezwstydem śmierci. Raz po raz gęsta czerwona kropla spadała na bruk.

Mijając poprzeczną uliczkę zobaczył od strony morza wschodni skrawek nieba. Świeciła tam Wenus otulona swoim zawojem jesiennych mgieł. Ona zawsze była wierna, zawsze, i w Donnafugacie, gdy wychodził o świcie na polowanie, i tutaj, gdy wracał z balu.

Don Fabrizio westchnął. Kiedyż zdecyduje się wyznaczyć mu spotkanie mniej efemeryczne, z dala od kadłubów, od krwi, w swojej bezkresnej przestrzeni odwiecznego pokoju?

## Rozdział VII

### *Śmierć księcia*

*Lipiec 1883*

To, co się w nim teraz działo, nie było żadną nowością. Od lat odczuwał, że ten fluid witalny, ta zdolność istnienia, słowem: życie, a może też pragnienie życia, uciekało z niego powoli, lecz nieustannie, jak ziarnka piasku, które leniwie, lecz bez chwili przerwy osypują się i wylatują jedno po drugim przez mikroskopijny otwór w klepsydrze. W momentach intensywnego działania lub wielkiego napięcia uwagi owo uczucie zanikania słabło, by na powrót twardo dać znać o sobie w chwili milczenia czy kontemplacji, podobnie jak słyszymy szum w uszach czy tykanie zegara, gdy wszystko wokół przycichnie; wtedy uświadamiamy sobie, że choć dźwięki te nie docierały do naszej świadomości, były słyszalne i przedtem.

Kiedy indziej wystarczała mu chwila skupienia, by usłyszeć ten szmerek wysypujących się leciuteńkich ziarenek piasku, ten odpływ drobinek czasu, które wymykały się z głębi jego istoty na zawsze. Początkowo zresztą owo uczucie nie łączyło się z żadnym cierpieniem. A nawet ten ciągły ubytek żywotności był dowodem i jak gdyby warunkiem odczuwania życia, i dla człowieka przywykłego do wędrówek po bezkresnych przestrzeniach nieba, do badania otchłani ludzkiego wnętrza, to uczucie ustawicznego zatracania po drobnie własnej osobowości, połączone z mglistą nadzieją przekształcenia się tejże osobowości (za sprawą Boga) w inną, mniej świadomą, lecz nieporównanie szerszej pojętą – nie było bynajmniej przykre. Te ziarnka piasku nie ginęły; znikwały wprawdzie, ale gromadziły się gdzie indziej, by stać się spoiwem potężnego gmachu. „Gmach” – uznał po namyśle – nie był właściwym słowem, sugerował zbyt ciężar; i ziarnka piasku właściwie też nie. Były to raczej cząsteczki pary wodnej, które ulatywały z wciśniętej w brzegi sadzawki, by wzbić się ku niebu i utworzyć tam lekkie, poruszające się z nieograniczoną swobodą obłoki. Czasami dziwił się nawet, że po tylu latach ubytków ten zbiornik życiowy może jeszcze cokolwiek zawierać. „Nawet jeżeli jest tak ogromny jak piramida!” A czasami, częściej jeszcze, odczuwał dumę, że tylko on jeden zdawał sobie sprawę z tego nieustannego odpływu, podczas gdy nikt z jego otoczenia nie potrafił tego dostrzec; stąd budziła się w nim pogarda dla innych, podobna do pogardy starego żołnierza dla rekruta, który myśli, że brzęczące wokół niego kule to tylko nieszkodliwe muchy. Zresztą tych rzeczy – nie wiadomo dlaczego – nie wyznaje się nikomu; pozostawia się je domysłności innych; jednakże nikt z jego bliskich nigdy ich nie wyczuł. Na pewno żadna z córek, które wyobrażały sobie, że życie pozagrobowe wygląda tak samo jak doczesne, że nie brak tam urzędów, klasztorów i kuchni; ani Stella, która pomimo wyniszczonego cukrzyczą organizmu czepiała się kurczowo, do ostatka, tej egzystencji pełnej cierpień. Może tylko Tancredi miał przeblysk zrozumienia, gdy powiedział mu z przekorną ironią: „Ty, wuju, umizgasz się do śmierci.” Teraz umizgi były skończone, oblubienica powiedziała „tak”, ucieczka była zdecydowana, przedział w wagonie zarezerwowany.

Bowiem teraz to. wszystko przedstawiało się inaczej, zupełnie inaczej. Gdy tak siedział w fotelu, z nogami owiniętymi kocem, na tarasie hotelu „Trinacria”, czuł, że życie wylewa się z niego potężnymi, wysokimi falami, z wewnętrznym łoskotem, podobnym do huku wodospadu na Renie. Było to w końcu lipca, w poniedziałek, w samo południe; rozciągało się przed nim palermitańskie morze, oleiste, gęste i tak niewiarygodnie zmartwiałe i spłaszczone jak pies, który chciałby stać się niewidzialny ze strachu przed kijem swego pana. Lecz nieruchome

słońce stało tam w górze i chłostało go niemiłosiernie swoimi prostopadle padającymi promieniami. Cisza była absolutna. Pod tym oślepiającym blaskiem don Fabrizio słyszał już tylko wewnętrzny szum odpływającego życia.

Rano, kilka godzin temu, przyjechał z Neapolu; wybrał się tam, by zasięgnąć porady u profesora Semmoli. Odbił podróż w towarzystwie czterdziestoletniej córki Concetty oraz wnuka Fabrizietta; droga była ponura i wlokła się w nieskończoność, niczym żałobna ceremonia. Zgiełk w porcie, zarówno przy wyjeździe, jak i po przyjeździe do Neapolu, kwaśny odór w kabinie, nieposkromiona wrzaskliwość tego opętanego miasta doprowadziły go do rozpacz; ogarnęła go owa żalosna rozpacz ludzi słabych, która męczy ich i dobija i z kolei wywołuje innego rodzaju rozpacz u ludzi z najbliższego otoczenia, u tych pocziwców mających jeszcze wiele lat życia w zapasie. Domagał się, by odbyć podróż powrotną łądem; nikt się tego nie spodziewał i lekarz robił, co mógł, byle tylko odwieść go od tego zamiaru. Lecz on tak nalegał i tak władczy był jeszcze cień jego autorytetu, że w końcu postawił na swoim. Spędził zatem następne trzydzieści sześć godzin w rozżarzonej przedziale, dławiąc się dymem w tunelach, które migwały jeden po drugim jak gorączkowe sny; na odkrytych przestrzeniach, ponurych jak smutna rzeczywistość, oślepiało go słońce; upokarzało go to, że nieustannie musiał prosić o pomoc wnuka, który spełniał dziesiątki tych niskich usług z wystraszoną miną. Mijali niezdrowe krajobrazy, przeklęte łańcuchy górskie, malaryczne i senne równiny; pejzaże Kalabrii i Basilicaty wydawały mu się barbarzyńskie, a były kubek „w kubek podobne do sycylijskich. Nowa linia kolejowa nie była jeszcze wykończona i na jej ostatnim odcinku, w pobliżu Reggio, zaczynał się objazd w kierunku Metaponto, biegnący przez tereny przypominające sfery księżycowe, których miasta jakby dla ironii nosiły nazwy uosabiające jedno – atletyczną siłę, drugie rozkosz: Crotone i Sibari.

Potem w Mesynie, po uśmiechu cieśniny pełnym kłamliwych obietnic sprostowanych od razu przez wysuszone do cna wzgórze peloryjskie, drugi objazd, długi jak okrutnie przeciągający się proces sądowy. Przesiedli się w Katanii, a potem wspinali się do góry ku Castrogiovanni: wjeżdżająca na słynne zbocza lokomotywa sapała ciężko; wydawało się, że zdechnie jak zajeżdżony koń. Wreszcie, po hałaśliwym zjeździe, dotarli do Palermo. Po powrocie znowu te same maski rodziny z przylepionym uśmiechem zadowolenia z powodu szczęśliwego wyniku podróży. I właśnie po tych pocieszających uśmiechach oczekujących go na stacji ludzi, po ich lepiej lub gorzej udawanej radości poznał prawdziwy sens diagnozy Semmoli, który jemu powiedział tylko kilka pocieszających słów, I wtedy dopiero, gdy uściśkał synową w ciężkiej żałobie, wyszczerzające zęby w uśmiechu córki, Tancreda, który miał wylęknione oczy, Angelikę w jedwabnym staniku opiętym na obfitym już biuście, wtedy usłyszał łoskot wodospadu.

Zemdlał najwidoczniej, bo nie pamiętał nic więcej; ocknął się leżąc w karecie ze zdrętwiałymi nogami; siedział przy nim tylko Tancredi. Kareta stała jeszcze i z zewnątrz dolatywały do niego szepty rodziny:

- To nic poważnego.
- Podróż była za długa.
- Każdy z nas by zemdlał w tym upale.
- Dojazd do pałacu za bardzo by go zmęczył.

Odzyskał na powrót jasność myśli: zauważył, że między Concettą a Franceskiem Paolem odbywa się jakaś poważna rozmowa, zauważył elegancję Tancreda, jego ubranie w szaro-brązową kratę, brązowy melonik; i zauważył także, że uśmiech siostrzeńca już nie jest drwiący, lecz pełen melancholijnej tkliwości. Uświadomił sobie, że siostrzeniec go kocha, co napełniło go słodko-cierpkim uczuciem, i że wie o tym, iż on jest skazany, skoro jego zwykła ironia ustąpiła miejsca czułości. Kareta ruszyła i skręciła w prawo.

- Dokąd my jedziemy, Tancredi?

Zdziwił go własny głos. Wyczuł w nim oddźwięk wewnętrznego łomotu.

– Jedziemy do hotelu „Trinacria”, wujaszku. Jesteś zmęczony, a do pałacu za daleka droga; odpoczniesz sobie przez noc i jutro wrócisz do domu. Dobrze?

– Pojedźmy lepiej do naszej willi nad morzem, to jeszcze bliżej.

Sam dobrze wiedział, że to nie było możliwe, że dom świecił pustką i służył tylko do przypadkowych pikników nad morzem, nie było tam ani jednego łóżka.

– W hotelu będzie ci lepiej, wuju, będziesz, tam miał wszelkie wygody.

Traktowali go jak noworodka, miał zresztą właśnie tyle sił co noworodek.

Pierwszą „wygodą”, jaką zastał w hotelu, był lekarz. Wezwano go na gwałt, prawdopodobnie już w chwili omdlenia. Ale nie był to jego stały lekarz, doktor Cataliotti w białym krawacie pod uśmiechniętą twarzą, w okularach kosztownie oprawionych w złoto; był to jakiś biedaczyna, lekarz tej ubogiej dzielnicy, bezradny świadek tysięcy nędznych agonii. Nad wytartym surdudem wydłużała się biedna, wychudzona twarz najeżona siwym zarostem, twarz wygłodzonego intelektualisty, pozbawiona wszelkich złudzeń. Gdy wyciągnął z kieszeni zegarek bez łańcuszka, ukazały się zielonkawe plamy miedzi pod wytartą pozłotą. Ten lekarz także był starym bukłakiem, który przetaił się na grzbiecie muła i z którego wyciekają ostatnie krople oliwy. Zmierzył puls, zapisał krople kamforowe, pokazał spróchniałe zęby w uśmiechu, który miał być pocieszający, a tymczasem prosił o litość, i odszedł powłócząc nogami.

Niedługo z pobliskiej apteki przyniesiono krople; dobrze mu zrobiły, nie czuł się już taki słaby, lecz czas, który z niego uciekał, nie zmniejszył swojego tempa.

Don Fabrieio przejrzał się w lustrze szafy – poznał raczej swoje ubranie niż siebie samego: olbrzymiego wzrostu, wysuszony, z zapadniętymi policzkami i nie golonym od trzech dni zarostem wyglądał jak jeden z tych Anglików-maniaków zdobiących okładki książek Verne’a, które dawał w prezencie na Boże Narodzenia Fabriziettowi. Lampart w jak najgorszej formie. Dlaczego Bóg tak chciał, żeby nikt nie umierał ze swoją własną twarzą? Dlaczego z każdym tak się dzieje? Wszyscy umierają z maską na twarzy, także i młodzi, także ten poszarpany żołnierz, także Paolo, gdy podnoszono go z chodnika z tą wykrzywioną, ściągniętą twarzą, a inni gonili w kurzu za wierzchowcem, który go zrzucił z siodła. A jeżeli w nim starym łoskot uciekającego życia był tak potężny, to co za grzmot musiał targnąć tymi biednymi, młodymi ciałami, w których zbiorniki życia opróżniły się tak nagle! Chciał się sprzeciwić za wszelką cenę tej niedorzecznej przymusowej maskaradzie. Czuł jednak, że nie da rady, że wzięcie do ręki brzytwy to byłoby to samo co niegdyś podniesienie biurka.

– Trzeba zawołać fryzjera – powiedział do Francesca Paola.

Ale zaraz pomyślał: „Nie, to reguła gry, przykra, lecz obowiązująca. Ogołą mnie potem.”

I znowu rzekł głośno:

– Nie, zostaw. Pomyślimy o tym później.

Wizja bezwładnego trupa, nad którym stoi pochylony fryzjer, nie zmąciła jego spokoju.

Wszedł służący z miednicą wody i gąbką; zdjął mu marynarkę, potem koszulę, umył mu ręce i twarz, tak jak się myje dziecko, tak jak się myje zmarłego. Półtoradniowa warstwa sadzy z pociągu żałobnie zabarwiła wodę. W niskim pokoju można się było udusić: upał uwydatniał zapachy, potęgował woń stęchlizny wydzielającej się ze źle czyszczonych pluszów; wspomnienie dawno rozdeptanych karaluchów dawało znać o sobie cierpką wonią lekarskich specyfików; z nocnego stolika buchał na pokój odór uryny. Kazał otworzyć żaluzję; hotel stał w cieniu, lecz odbłask padający od metalicznego morza był oślepiający; lepsze to w każdym razie od tego zapachu więzienia, kazał wynieść fotel na balkon; wsparty na czymś ramieniu dowlókl się do niego i usiadł z takim pragnieniem wypoczynku jak po czterogodzinnym polowaniu w górach.

– Powiedz wszystkim, żeby mnie zostawili w spokoju, czuję się lepiej, chcę się trochę przespać.

Rzeczywiście był śpiący, lecz uważał, że ulec teraz tego rodzaju chęci byłoby takim

samym absurdem, jak zjeść kawałek tortu tuż przed upragnionym bankietem. Uśmiechnął się: „Byłem zawsze rozsądnym łakomczuchem.” I siedział tam teraz w głuchej ciszy płynącej od zewnątrz, w przeraźliwym hałasie łomoczącym od wewnątrz.

Mógł odwrócić głowę w lewą stronę: obok góry San Pellegrino widniała wyrwa w górskim kręgu, a dalej dwa wzgórza, u stóp których stał jego pałac. Był on w tej chwili tak nieosiągalny, że wydał mu się bardzo daleki; pomyślał o swoim obserwatorium, o lunetach skazanych teraz na porastanie kurzem przez długie dziesiątki lat; o biednym ojcu Pirrone, który był już także prochem; o obrazach przedstawiających lenna, o małpkach na makatach, o wielkim mosiężnym łóżku, na którym umarła jego Stella; o tych wszystkich rzeczach, które, choć cenne, wydały mu się w tej chwili takie małe – o mosiężnych powyginanych prętach, o tysiącach przeplatających się na tkaninach nitek, o płótnach pokrytych widokami ziem i roślin; o wszystkich tych rzeczach, które żyły dzięki niemu, a które wkrótce zapadną się w otchłań zapomnienia i opuszczenia.

Serce mu się ścisnęło; nie pamiętał już o własnej agonii myśląc o nadchodzącym końcu tych bliskich, drogich rzeczy. Nieruchomy szereg stojących za nim domów, łańcuchy górskie, wypalone słońcem równiny nie pozwoliły mu nawet pomyśleć jasno o Donnafugacie; wydała mu się ona domem oglądanym we śnie, wydała mu się już nie jego domem: swojego nie miał już nic prócz tego umęczonego ciała, prócz tych kamiennych płyt pod nogami, prócz tego wewnętrznego kłębowiska wód pędzących do przepaści. Był sam jak rozbitek na tratwie, rzucony na pastwę rozszalałych prądów.

Miał dzieci, oczywiście. Dzieci... Giovanni, ten jedyny, który był do niego podobny, żył gdzie indziej. Co kilka lat przysyłał pozdrowienia z Londynu. Od dawna nie pracował w branży węglowej, handlował brylantami; po śmierci Stelli przyszedł adresowany do niej liścik i zaraz potem paczuszka z bransoletką. On – tak. On także „umizgał się do śmierci”, a nawet opuściwszy wszystko sprokurował sobie tę cząstkę śmierci, którą można mieć i za życia... Ale inni... Były także wnuki: Fabrizietto, najmłodszy z rodu Salina, taki piękny, żywy jak iskra, taki drogi...

Taki nienawistny z tą podwójną dawką krwi Malviców w żyłach, z tymi skłonnościami do małostkowych uciech, z tymi tendencjami do mieszczańskiej elegancji. Nie warto się silić na złudzenia: ostatnim Saliną był on, ten olbrzym-widmo, który konał teraz na hotelowym balkonie, bowiem znaczenie każdego arystokratycznego rodu polega na zachowywaniu tradycji, to znaczy na pamięci o rzeczach najbardziej dla niego istotnych, a z domu Salina on był ostatnim, który pielęgnował te „wspomnienia” tak różne od „wspomnień” ludzi z innych rodów. Wspomnienia Fabrizietta będą banalne, jak wszystkich jego kolegów, wspomnienia skromnych podwieczorków, złośliwych kawałów robionych nauczycielom, koni kupowanych raczej z uwagi na ich cenę niż ich zalety; i mir nazwiska zmieni się dla niego w pusty frazes zaprawiany nieustanną goryczą, że innych stać na bardziej wielkopański przepych. Zacznie się polowanie na pannę z posagiem, w czasach kiedy stanie się to utartym zwyczajem, a nie wielką przygodą, jaką było małżeństwo Tancreda. Arrasy Donnafugaty, gaje migdałowe Ragattisi, a może, kto wie, nawet fontanna Amfitryty zostaną wymienione na pasztety z gęsich wątróbek, na kobietki lekkich obyczajów, bardziej przelotne niż ich róż. A on zostanie tylko wspomnieniem starego, gniewnego dziadka, który musiał umrzeć akurat w lipcowe popołudnie, żeby przeszkodzić wnukowi w wyjeździe do kąpieliska w Livorno. On sam powiedział niegdyś, że ród Salina zawsze pozostanie rodem Salina. Mylił się. On był ostatni. Ten Garibaldi, ten brodaty Wulkan, jednak zwyciężył.

Z przyległego do balkonu pokoju dobiegł go głos Concetty:

– Nie można było zrobić inaczej, trzeba go było wezwać; do końca życia robiłabym sobie wyrzuty, gdybym go nie sprowadziła.

Zrozumiał od razu – szło o księdza. Pierwszym jego odruchem było – zbuntować się, skłamać, krzyknąć, że czuje się bardzo dobrze, że nic mu nie trzeba. Ale szybko uświadomił

sobie, że byłoby to śmieszne: był księciem Salina i musiał umrzeć jak księżę Salina, a więc w asyście co najmniej jednego księdza. Concetta miała rację. A poza tym, dlaczego miałyby się uchylać od tego, co było pragnieniem tysięcy innych umierających ludzi? I milczał nasłuchując, kiedy dobiegnie go dźwięk dzwonka towarzyszącego, kapłanowi z wiatykiem. Wkrótce usłyszał go; ksiądz z parafii Pieta był już prawie naprzeciw. Srebrny, wesoły dźwięk dzwonka wbiegał na górę po schodach, wtargnął na korytarz, stał się przenikliwy, gdy otworzono drzwi. Poprzedzany przez właściciela hotelu, Szwajcara, poirytowanego obecnością umierającego w swoim hotelu, wszedł proboszcz, ojciec Balsamo, niosąc zamknięty w pozłacanej puszcze i w skórzanym futerale Najświętszy Sakrament. Tancredi i Fabrizietto przenieśli go z fotelem do pokoju, w którym klęczeli już inni. Raczej gestem niż głosem powiedział:

– Wyjdźcie, wyjdźcie.

Chciał się wypowiedzieć. Albo robi się coś do końca, albo w ogóle nic się nie robi. Wszyscy wyszli, lecz gdy miał zacząć się spowiadać, zdał sobie sprawę, że ma niewiele do powiedzenia: pamiętał dokładnie niektóre grzechy, ale wydały mu się one tak błahe, że doprawdy nie warto było trudzić dla nich poważnego księdza w ten upalny dzień. Nie żeby czuł się niewinny – całe jego życie było grzeszne, ale tego nie miał już czasu opowiedzieć. Jego oczy musiały wyrażać zmieszanie, które ksiądz wziął za skruchę, i w pewnym sensie była to rzeczywiście skrucha. Dostał rozgrzeszenie; zdaje się, że miał głowę zwieszoną na piersi, bowiem ksiądz, właśnie on, musiał przyklęknąć, by wsunąć mu do ust hostię. Potem wyszeptał sylaby nie do zapamiętania, które prostują drogę, i wyszedł.

Fotela nie wystawiono już na balkon, Tancredi i Fabrizietto usiedli przy nim po obydwu stronach, trzymając go za ręce; chłopiec nie spuszczał z niego oczu, z ciekawością naturalną u kogoś, kto jest świadkiem pierwszej agonii, nic więcej – umierał nie człowiek, tylko dziadek, a to wielką różnicą. Tancredi mocno ścisnął jego dłoń i mówił, mówił dużo i wesoło; robił plany, w które włączał i jego, komentował wydarzenia polityczne, wspominał, że przyrzeczono mu poselstwo w Lizbonie, opowiadał wiele zakulisowych, zajmujących anegdot. Nosowy głos, dowcipne słowa układały się w zwiewny fresk na coraz gwałtowniejszej fali odpływającego życia. Księżę był głęboko wdzięczny siostrzeńcowi za to, że tyle mówił; ścisnął mu dłoń z największym natężeniem, lecz z wątpliwym rezultatem. Był mu wdzięczny, ale go nie słuchał. Robił ostateczny bilans swojego życia, chciał wydobyć z olbrzymiego kopca popiołu pasywów złote słomki szczęśliwych chwil. Oto one: dwa tygodnie poprzedzające jego ślub, sześć po ślubie; pół godziny z okazji narodzin Paola, gdy rozpierała go duma, że przedłużył o gałązkę drzewo rodu Salina (ta duma była nieusprawiedliwiona, teraz o tym wiedział, pomimo to odczuwał ją wtedy, to fakt); niektóre rozmowy z Giovannim przed jego zniknięciem (powiedziaławszy prawdę – niektóre monologi, kiedy to wydawało mu się, że odkrywa w tym chłopcu naturę podobną do swojej); wiele godzin w obserwatorium, gdy pogrążony był w abstrakcji obliczeń i w pogoni za nieosiągalnym. Ale czy owe godziny można było rzeczywiście umieścić w aktywach życia? Czy nie były one czasem przedwczesnym czerpaniem z owych radości, jakie niesie śmierć? Wszystko jedno, tak czy inaczej dały mu szczęście.

W dole, na ulicy, między hotelem a morzem, zatrzymała się katarynka i grała z zachłanną nadzieją wzruszenia cudzoziemców, których nie było w tym sezonie. Meła w kółko: *Ty, który ulatujesz ku Bogu*. Resztką żywotności don Fabrizio pomyślał, ile goryczy miesza się w tej chwili, na skutek tej mechanicznej muzyki, z agonią ludzi umierających w Italii. Tancredi, wrażliwy jak zawsze, wybiegł na balkon, rzucił monetę i gestem nakazał milczenie. Cisza na zewnątrz pogłębiła się, wzmógł się wewnętrzny łomot.

Tancredi... Zapewne, wiele aktywów pochodziło od Tancreda: jego zrozumienie, tym bardziej cenne, im bardziej szydercze, radość estety na widok zręczności, z jaką lawiruje pośród trudności życia, ironiczna czułość, taka, jaka być powinna. Potem psy: Fufi, duży

mops z czasów jego dzieciństwa, Tom, szalony pudel, najwierniejszy przyjaciel, pełne oddania oczy Svelta, urzekające harce Bendica, pieśzcotliwe łapy Popa, pontera, który szuka go w tej chwili pod krzakami i fotelami w pałacu i który już go nie znajdzie; kilka wierzchowców, ale te już nie tak bliskie. I także pierwsze godziny jego powrotów do Donnafugaty, poczucie tradycji i odwieczności wyrażone w kamieniu i wodzie, zamrożony czas; beztroška strzelanina na niektórych polowaniach, rzewna masakra królików i kuropatw, wybuchy serdecznego śmiechu w towarzystwie Tumea, kilka minut pobożnego ukorzenia w klasztorze wśród zapachu pleśni i konfitur. Czy było coś jeszcze? Tak, ale było to już tylko złoto pomieszane z popiołem: momenty wewnętrznego zadowolenia, kiedy dawał cięte odpowiedzi głupcom, radość, kiedy dostrzegł, że w urodzie i charakterze Concetty dominują cechy rodu Salina, kilka momentów miłosnego szaleństwa, zaskoczenie listem Araga, który wieszował mu entuzjastycznie dokładności obliczeń dotyczących komety Halleya, dłaczegóż by nie? Publiczny aplauz, gdy otrzymał medal w Sorbonie, miły dotyk krawatów z najcieńszego jedwabiu, czasem – zapach wyprawionych skór, ponętny wygląd spotykanych na ulicy kobiet, jak na przykład tej widzianej wczoraj na dworcu w Katanii, która stojąc w tłumie w brązowej sukni i zamszowych rękawiczkach zdawała się wypatrywać właśnie jego umęczonej twarzy za brudnym oknem przedziału. Co za zgiełk był w tej ciżbie: „Kanapki! «Corriere dell’Isola!»” A przy tym to sapanie zmordowanego pociągu, bez tchu... I to potworne słońce po przyjeździe, te zakłamane twarze, ten wybuch wodospadu...

W mroku, który go ogarniał, próbował wyliczyć, ile czasu żył naprawdę. Jego mózg nie rozwiązywał już najprostszego rachunku: trzy miesiące, dwadzieścia dni, razem sześć miesięcy, sześć razy osiem – osiemdziesiąt cztery, czterdzieści osiem tysięcy...√840 000... Otrząsnął się: „Mam siedemdziesiąt trzy lata, z czego licząc z grubsza żyłem, naprawdę żyłem w sumie dwa... co najwyżej trzy lata. A cierpienia, nuda – ile tego było? Nie warto się silić na obliczenia: cała reszta – siedemdziesiąt lat!

Poczuł, że jego ręce nie ściskają już dłoni siostrzeńca i wnuka: Tancredi szybko wstał i wyszedł... Już nie rzeka przelewała się w nim, lecz ocean wzburzony, najeżony pianą i rozszalałymi falami.

Musiał znowu zemdleć, bo uświadomił sobie nagle, że leży w łóżku. Ktoś mierzył mu puls; oślepił go bezlitosny odbłask morza wpadający przez okno; w pokoju rozlegał się świst – było to jego rżenie, lecz on nie wiedział o tym. Dokoła stała mała grupka obcych ludzi, którzy wpatrywali się w niego z przestachem. Po trochu ich rozpoznał: Concetta, Francesco Paolo, Carolina, Tancredi, Fabrizietto. Za puls trzymał go doktor Caitaliotti; zdawało mu się, że uśmiechnął się do niego na powitanie, ale nikt tego nie zauważył; wszyscy płakali oprócz Concetty; płakał także Tancredi, który mówił:

– Wuju, wujaszku drogi!

Przez grupkę przecisnęła się nagle młoda dama; szczupła, w brązowej podróżnej sukni z szeroką tiurniurą, w słomkowym kapeluszu z przezroczystą woalką na pięknej, ironicznej twarzy. Wsuwała dłoń w zamszowej rękawicze pomiędzy łokcie płaczących, przeproszała ich grzecznie, zbliżała się. To była ona, ta istota upragniona od zawsze, która teraz po niego przysła; dziwne, że ona, taka młodziutka, uległa właśnie jemu; godzina odjazdu pociągu musiała być już bliska. Przysunęła twarz do jego twarzy, podniosła woalkę, i gdy ujrzał ją tak wstydliwą, a zarazem gotową na wszystko, wydała mu się jeszcze piękniejsza niż dawniej, gdy widywał ją w gwiazdzistych przestrzeniach.

Huk morza całkowicie ustał.



## Rozdział VIII

*Wizyta generalnego wikariusza – Obraz i relikwie – Pokój Concetty – Wizyta Angeliki i senatora Tassoni – Kardynał: koniec relikwii – Koniec powieści.*

*Maj 1910*

Kto szedł z wizytą do starych panien Salina, zastawał tam na krzesłach w westybulu co najmniej jeden książy kapelus. Panien było trzy; skryte utarczki o sprawowanie władzy w domu wywołały rozdźwięk między nimi i każda z nich, na swój sposób silny charakter, chciała mieć swojego spowiednika. Jak było podówczas w zwyczaju jeszcze i w 1910 roku, spowiedź odbywała się w domu, a skrupuły penitentek wymagały, by powtarzała się często. Do tego plutoniku spowiedników dołączyć jeszcze należy kapelana, który przychodził co rano odprawiać mszę w prywatnej kaplicy, jezuitę, który wziął na siebie ogólny duchowy kierunek domu, oraz zakonników i księży, którzy inkasowali dotacje na rzecz tej czy innej parafii i na dobroczynność; a ponieważ ta inwazja duchownych była nieustanna, łatwo zrozumieć, dlaczego westybul domu Salina przypominał często jeden ze sklepów w Rzymie, w okolicy Piazza della Minerva, w których piętrzą się na wystawach wszelkie możliwe nakrycia głowy dla księży, począwszy od tych płomiennych dla kardynałów, aż do tych czarnych jak węgiel dla proboszczów wiejskich.

Pewnego majowego popołudnia 1910 roku wiec kapeluszy był liczny jak nigdy. Obecność wikariusza generalnego archidiecezji Palermo anonsował jego szeroki kastorowy kapelus w prześlicznym kolorze fuksji, który spoczywał wraz z jedną tylko jedwabną rękawiczką, prawą, w tym samym delikatnym kolorze, na wysuniętym do przodu krześle; kapelus jego sekretarza, z lśniącego puszystego pilśniu, otoczony był cienkim fioletowym sznurem; kapelusze dwóch jezuitów, ciemne, filcowe, stanowiły symbol skromności i rezerwy. Kapelus kapelana leżał na uboczu, jak przystoi nakryciu głowy osoby poddanej śledztwu.

Istotnie, dzisiejsze zebranie było nie byle jakie. Zgodnie z dyspozycjami papieża, kardynał arcybiskup miał rozpocząć kontrolę w prywatnych kaplicach archidiecezji. Celem jej było upewnienie się co do zasług osób, które miały pozwolenie słuchania mszy św. w prywatnych kaplicach, co do odpowiedniego wyposażenia samych kaplic zgodnie z kanonami Kościoła, co do rytuału odprawianych w nich nabożeństw, a także co do autentyczności czczonych tam relikwii. Kaplica panien Salina była jedną z najbardziej znanych w mieście i jedną z pierwszych, jaką jego eminencja zamierzał odwiedzić. I właśnie po to, by zawiadomić o owym wydarzeniu mającym nastąpić nazajutrz rano, wikariusz generalny wybrał się do pałacu Salina. W związku z tą kaplicą do kurii arcybiskupiej docierały z różnych stron bardzo niemiłe pogłoski; oczywiście nie na temat samych właścicielek czy ich prawa do spełniania we własnym domu obowiązków religijnych, te sprawy w ogóle nie podlegały dyskusji. Nikt nie wątpił też w prawidłowość i regularność odprawianych tam nabożeństw; to wszystko doprowadzone było do perfekcji; drobny wyjątek stanowiła tylko przesadna niechęć (zrozumiała zresztą) panien Salina w dopuszczaniu do odbywających się tam obrządków religijnych osób obcych, nie należących do ścisłego kółka rodziny. Uwagę kardynała zwrócił otaczany kultem w pałacu święty obraz oraz dziesiątki relikwii wystawionych w kaplicy. Właśnie na temat ich autentyczności krążyły nad wyraz, niepokojące głosy i szło o to, by ją sprawdzić. Kapelana, chociaż był to człowiek wysokiej kultury i rokował duże nadzieje, spotkały energiczne wyrzuty za to, że nie otworzył oczu starym pannom, i jeśli wolno tak się wyrazić, „zmyto mu tonsurę”.

Zebranie odbywało się w największym salonie pałacu, w tym z małpkami i papugami. Na kanapie obitej szafirowym materiałem przetykanym czerwoną nicią (nabytek sprzed trzydziestu lat, który się kłócił z pastelowymi barwami cennej makaty) siedziała panna Concetta z wikariuszem po swojej prawej ręce; po bokach kanapy, na dwóch pokrytych tą samą materią fotelach, zajęli miejsca panna Carolina i jeden z jezuitów, ojciec Corti; inni księża musieli się zadowolić krzesłami obciążonymi jedwabiem takim jak na makacie, które wydawały się wszystkim mniej piękne niż budzące zazdrość fotele. Panna Caterina miała sparaliżowane nogi, spoczywała więc w krześle na kółkach.

Wiek wszystkich trzech sióstr wahał się koło siedemdziesiątki i Concetta nie była najstarsza, lecz po walkach o hegemonię w domu, o których wspominaliśmy na początku i które skończyły się złożeniem broni przeciwniczek, nikomu nie przyszło do głowy odbierać jej pierwszeństwa.

Postać jej zachowała dotąd resztki dawnej piękności: tęga i postawna w swoich sztywnych sukniach z czarnej mory, upinała wysoko siwe włosy odsłaniając gładkie jeszcze czoło, co wraz z pogardliwym wejrzeniem oczu i groźną poprzeczną zmarszczką między nosem a brwiami nadawało jej władczy, niemal cesarski wygląd, do tego stopnia, że jeden z siostrzeńców po obejrzeniu w jakiejś książce (portretu słynnej carycy nazywał ciotkę w sekrecie Katarzyną Wielką; przydomek raczej niepoehlebny, ale brzmiący niewinnie dzięki niepokalanej czystości całego życia Concetty oraz zupełnej ignorancji siostrzeńca w dziedzinie historii Rosji.

Rozmowa toczyła się od godziny, wypito już kawę; robiło się późno. Na zakończenie wikariusz, generalny omówił w krótkich słowach cel wizyty kardynała:

– Jego eminencja po ojcowsku troszczy się o to, by nabożeństwa odprawiane prywatnie były zgodne z najczystszyimi kanonami Kościoła świętego Matki Naszej i dlatego właśnie jego pasterska zapobiegliwość zwróciła się przede wszystkim ku waszej kaplicy, gdyż wie on, jakim splendorem otoczony jest wasz dom, który niczym latarnia morska rzuca snop światła na złaicyzowane Palermo. Życzy więc. sobie, by potwierdzenie absolutnej autentyczności otaczanych kultem przedmiotów umocniło jeszcze w wierze i was same, i wszystkie religijne dusze.

Concetta milczała, lecz starsza siostra Carolina uniosła się gniewem:

– A więc wystąpimy wobec wszystkich znajomych w roli oskarżonych! Proszę mi wybaczyć, księżo prałacie, ale ta kontrola naszej kaplicy nawet nie powinna była przyjść do głowy jego eminencji!

Wikariusz uśmiechnął się, ubawiony:

– Nie wyobraża sobie pani, jaką satysfakcją napełnia mnie jej wzburzenie; jest ono wyrazem wiary naiwnej, niezachwianej, tak miłej Kościołowi, a więc i Jezusowi Chrystusowi Panu Naszemu; i właśnie tylko po to, by wiara owa bardziej jeszcze rozkwitała i oczyściła się, Ojciec święty zlecił te kontrole, które zresztą mają miejsce w całym katolickim świecie.

Powołanie się na Ojca świętego nie było najszcześliwsze. Carolina należała bowiem do tej rzeszy katolików, którzy są głęboko przekonani, że znają prawdy religijne lepiej od papieża; i niektóre umiarkowane reformy Piusa X, a zwłaszcza zniesienie kilku drugorzędnych świąt, oburzały ją w najwyższym stopniu już od dawna.

– Byłoby najlepiej, żeby ten papież zajmował się swoimi sprawami!

Ponieważ ogarnęły ją wątpliwości, czy nie posunęła się za daleko, przeżegnała się i wyszeptwała Chwałę Ojcu.

Concetta wmixszała się do rozmowy:

– Nie unos się i nie mów tego, czego nie myślisz, Carolino. Co sobie o nas pomyśli obecny tutaj monsignore?

Ten, powiedziawszy prawdę, uśmiechał się dobroduszniej niż kiedykolwiek i pomyślał sobie tylko, że ma przed sobą zdziecinniałą staruszkę, której całe życie upłynęło na czysto

formalnych praktykach religijnych i która była wyjątkowo ograniczona. Pełen był pobożności.

– Monsignore uważa, że znalazł się wobec trzech świętych kobiet – powiedział.

Ojciec Corti, jezuita, chciał rozładować naprężoną atmosferę:

– Ja, monsignore, należę do tych, którzy mogą najlepiej potwierdzić te słowa. Ojciec Pirrone – jego pamięć czczą wszyscy, którzy go znali – opowiadał mi często, gdy byłem jeszcze w nowicjacie, o świątobliwej atmosferze, w jakiej te panie zostały wychowane; a zresztą, wystarczy samo nazwisko Saliną, by w pełni zdać sobie z tego sprawę.

Wikariusz chciał przejść do sedna sprawy:

– A teraz, panno Concetto, gdy wszystko już jest wyjaśnione, chciałbym, jeśli panie pozwolą, obejrzeć kaplicę, by przygotować jego eminencję na zobaczenie tych cudów wiary, jakie tu zastanie.

Za czasów księcia Fabrizia w pałacu nie było kaplicy; w święta cała rodzina jeździła do kościoła, a także i ojciec Pirrone, by odprawić codzienną mszę, musiał przejść spory szmat drogi. Lecz po śmierci księcia Fabrizia, gdy na skutek wielu komplikacji spadkowych, które trudno by tu wyliczać, pałac stał się wyłączną własnością trzech sióstr, postanowiły one natychmiast urządzić tam kaplicę. Wybrano do tego celu salon położony nieco na uboczu, który swymi wmurowanymi w ściany półkolumnami przypominał nieco rzymską bazylikę; ze środka sufitu zeszkrobano rażące malowidła mitologiczne i wstawiono ołtarz – wszystko było gotowe.

Gdy wikariusz wszedł do kaplicy oświetlonej popołudniowym zachodzącym słońcem, obraz nad ołtarzem, otaczany pobożnym kultem przez stare panny, znajdował się w pełnym świetle. Był w stylu Cremony i przedstawiał wąż, bardzo ładną dziewczkę, z oczyma wzniesionymi ku niebu i gęstymi ciemnymi włosami opadającymi we wdzięcznym nieładzie na półnagie ramiona; trzymała ona w prawej ręce zgnieciony list; twarz jej wyrażała niecierpliwe, nie pozbawione radości oczekiwanie, które promieniało z jasnych oczu; w głębi zielenił się spokojny pejzaż lombardzki. Nie było tam ani Dzieciątko Jezus, ani korony, ani węża, ani gwiazd, słowem, żadnego z tych symboli, które towarzyszą zazwyczaj wizerunkom Madonny; malarz uważał widocznie, że dziewiczy wyraz twarzy wystarczy, by ją rozpoznać. Wikariusz generalny podszedł bliżej, wszedł na stopień ołtarza i nie przeżegnawszy się obserwował przez kilka minut obraz, wyrażając uśmiechem swój podziw, jak gdyby był świeckim znawcą sztuki. Za nim trzy siostry raz po raz kreśliły znak krzyża na piersi i odmawiały półgłosem Zdrowaś Mario.

Potem wikariusz zszedł ze schodka i powiedział:

– Piękny obraz, bardzo wyrazisty!

– To cudowny obraz, księżo prałacie, cudowny obraz – wyjaśniła Caterina, nieszczęsna kaleka, wychylając się ze swego ruchomego narzędzia tortur. – Ile Ona zdziałała cudów!

Carolina podkreśliła z naciskiem:

– To *Madonna z listem*; Najświętsza Dziewica przekazuje właśnie pobożne pismo i błaga o opiekę nad mesyńskim ludem Boskiego Syna, który raczył wysłuchać jej prośby, czego dowód mieliśmy w wielu cudach towarzyszących trzęsieniu ziemi przed dwoma laty.

– Piękny obraz, proszę pani. Bez względu na to, co przedstawia, to prawdziwe arcydzieło sztuki i należy je podziwiać.

Potem przeszedł do relikwii; było ich siedemdziesiąt cztery i pokrywały gęsto ściany po obydwu stronach ołtarza. Każda z nich, oprawiona w ramkę, opatrzona była nalepką z napisem, co zawiera; miała również numer odnoszący się do dokumentacji gwarantującej jej autentyczność. Same dokumenty, często w grubych tomach i opatrzone pieczęciami, złożone były w obitej adamaszkim, zamkniętej na klucz skrzyni, która stała w kącie kaplicy. Były tam ramki z gładkiego lub rzeźbionego srebra, ramki z miedzi i koralu, ramki z szylkretu, z filigranu, z cennego drzewa, z bukszpanu, z czerwonego i z błękitnego aksamitu; duże i małe,

ośmiokątne, kwadratowe, okrągłe i owalne. Ramki, które kosztowały majątek, i ramki kupione w sklepach „Bocconi”. Wszystkie jednak cenne dla tych pełnych pobożności dusz, wszystkie wysublimowane ich religijnym posłannictwem pełnienia straży nad nieziemskimi skarbami.

Owa kolekcja była przede wszystkim dziełem Caroliny; wynalazła ona donnę Rosę, zapobiegliwą wysoką staruszkę, półzakonnice, która miała owocne znajomości we wszystkich kościołach, we wszystkich klasztorach i we wszystkich stowarzyszeniach dobroczynnych Palermo i okolicy. I właśnie donna Rosa przynosiła co kilka miesięcy do pałacu Salina jakąś relikwię świętą, zawiniętą w bibułę. Udało się jej, jak mówiła, wydrzeć ją zubożałej parafii czy podupadłej majątkowo arystokratycznej rodzinie. A jeśli nie podawała nazwiska sprzedawcy, to tylko z powodu rozumiały, a nawet chwalebnej dyskrecji; a zresztą, zawsze załączane przez nią dokumenty stwierdzające autentyczność mówiły same za siebie; wypisane były po łacinie albo tajemniczym pismem, które nazywało się greckie lub syryjskie. Concetta, administratorka i skarbniczka, płaciła. Potem następowało poszukiwanie i wybieranie ramek. I Concetta płaciła znowu bez mrugnięcia okiem. Przed kilku laty przyszedł taki moment, że owa kolekcjonerska mania nie dawała spokoju Carolinie i Caterinie nawet we śnie; rano opowiadały sobie wzajemnie sny o cudownych odkryciach i były pełne nadziei, że się one spełnią, co zdarzało się czasem – wtedy, gdy zwierzały się z nich donnie Rosa. O czym śniła Concetta, tego nikt nie wiedział. Potem donna Rosa umarła i napływ relikwii ustał prawie zupełnie; nastąpiło zresztą pewne nasycenie.

Wikariusz obejrzał raczej pobieżnie znajdujące się najbliżej relikwie.

– Skarby! – mówił. – Skarby! Co za przepiękne ramki!

Potem, winszując „pięknego sprzętu”<sup>50</sup> (tak się właśnie wyraził, jak Dante) i obiecując powrócić nazajutrz wraz z jego eminencją („Tak, punktualnie o dziesiątej!”), ukląkł i przeżegnał się przed skromnym wizerunkiem cudownej Madonny z Pompei, po czym wyszedł z kaplicy. Wkrótce kapelusze osierociły krzesła i duchowni wsiedli do trzech powozów arcybiskupstwa, które, zaprzężone w karę konie, czekały na nich na dziedzińcu. Wikariusz wyraził życzenie, by wsiadł do jego powozu kapelan, ojciec Titta, którego ogromnie pocieszyło to wyróżnienie. Powozy ruszyły, wikariusz milczał; minęli bogaty pałac Falconeri z kwitnącą bougenvilleą, która przelewała się przez mur wspaniale utrzymanego ogrodu; i gdy zaczęli zjeżdżać ku Palermo wśród pomarańczowych gajów wikariusz powiedział:

– Tak więc ojciec przez całe lata miał odwagę celebrować Najświętszą Ofiarę przed obrazem tej dziewczyny? Tej dziewczyny, która otrzymała wiadomość o spotkaniu od ukochanego i która na niego czeka? Niech mi tylko ksiądz nie wmawia, że ksiądz myślał, że to święty obraz!

– Monsignore, zawiniłem, wiem o tym. Ale nie jest łatwo stawić czoło pannom Salina, pannie Carolinie... Monsignore nie może o tym nic wiedzieć.

Wikariusz wstrząsnął się na samo wspomnienie.

– Synu, dotknąłeś palcem rany: i będzie to wzięte pod uwagę.

Carolina poszła wyładować swoją złość w liście do Chiary, zamężnej siostry, która mieszkała w Neapolu; Caterinę, zmęczoną długą i nieprzyjemną rozmową, położono do łóżka; Concetta wróciła do swego samotnego pokoju. Był to jeden z owych pokojów (a jest ich tyle, że miałyby się ochotę powiedzieć to o wszystkich), które mają dwa oblicza: jedno zamaskowane, które ukazują obcym, drugie – nagie, które odsłaniają tylko osobom wtajemniczonym, a przede wszystkim gospodarzom, pozwalając im dostrzec cały swój smutek. Był to pokój słoneczny, wychodzący na gęstwinę ogrodu; w kącie stało łóżko z czterema poduszkami (Concetta chorowała na serce i musiała spać prawie na siedząco);

<sup>50</sup> „Belli arredi” – *Boska Komedia*, „Piekło”, p. XXIV, w. 198.

żadnych dywanów, lecz piękna posadzka wykładana żółtymi, kwadratowymi płytami; cenny skarbczyk z dziesiątkami szufladek, wysadzanych półszlachetnymi kamieniami oraz perłową masą; biurko, stojący pośrodku stół i reszta umeblowania, wszystko w stylu Maggiolina, było dziełem wiejskich mistrzów; na tle palisandru roiły się inkrustowane, bursztynowe w kolorze postacie myśliwych, psów i zwierzyny. Meble te, uważane przez samą Concettę za przestarzałe, a nawet niegustowne, sprzedane po jej śmierci na licytacji, stanowią po dziś dzień przedmiot dumy bogatego kupca, gdy „jego pani” urządza cocktail dla zawistnych przyjaciółek. Na ścianach portrety, akwarele, święte obrazy. Wszystko czyściutkie, utrzymane w idealnym porządku. Tylko dwie rzeczy mogły się wydać czymś dziwnym: w kącie, naprzeciw łóżka, piętrzyły się cztery ogromne, drewniane, pomalowane na zielono, skrzynie, każda z dużą kłódką, a przed nimi, na podłodze, kupka wypchanego, zniszczonego futra. Naiwny gość mógł się co najwyżej uśmiechnąć na widok tego pokoju, z którego biła zapobiegliwość i prostota iście staropanieńskie.

Lecz dla tych, którzy znali życie Concetty, był on piekłem zmumifikowanych wspomnień. Cztery zielone skrzynie zawierały całe tuziny nocnych i dziennych koszul, szlafroków, poszewek, prześcieradeł, pieczolowicie podzielonych na „codzienne” i „odświętne” – była to wyprawa Concetty przygotowana na próżno przed pięćdziesięciu laty. Nigdy nie otwierała tych kłódek, ze strachu, by nie wyskoczyły ze skrzyń niepożądane demony, tak więc pod wpływem wszędobylskiej wilgoci palermitańskiej bielizna żółkła i butwiała niepotrzebna nikomu. Portrety wyobrażały nie kochanych już zmarłych, a fotografie dawnych przyjaciół, którzy dali się we znaki za życia i tylko dlatego nie byli zapomniani po śmierci; akwarele przedstawiały domy i posiadłości przeważnie już sprzedane, gorzej nawet: przepuszczone za psi grosz przez siostrzeńców utracjuszków. Gdyby się uważniej przyjrzeć tej kupce zjedzonego przez mole futra, można by dostrzec dwoje sterczących uszu, nos z czarnego drzewa, dwoje zdziwionych oczu z żółtego szkła – był to Bendicò, który zakończył życie przed czterdziestu pięciu laty, przed czterdziestu pięciu laty został wypchany i stał się gniazdem pajęczyn i moli, którym brzydziła się służba, domagająca się od lat, by wyrzucono go na śmietnik. Concetta jednak sprzeciwiała, się stanowczo: nie chciała się rozstać z jedynym wspomnieniem przeszłości, które nie budziło przykrych uczuć.

Lecz dzisiejsze przykrości (w pewnym wieku każdy dzień przynosi punktualnie swoją troskę) związane były wyłącznie z terażniejszością. O wiele mniej zapalczywa od Caroliny, o wiele bardziej uczuciowa od Cateriny, Concetta zrozumiała znaczenie wizyty wikariusza generalnego i przewidywała jej skutki: nakaz usunięcia wszystkich lub prawie wszystkich relikwii, zamianę obrazu nad ołtarzem, konieczność powtórnego poświęcenia kaplicy. W autentyczność owych relikwii sama nie bardzo wierzyła; dawała na nie pieniądze i obojętnością ojca, który płaci słony rachunek za zabawki, bezużyteczne dla niego, ale ułatwiające utrzymanie w ryzach rozkapryszonych dzieci. Usunięcie ich z kaplicy było dla niej obojętne; bolało ją to i to stanowiło troskę dnia dzisiejszego, że dom Salina ukaże się w złym świetle, najpierw wobec władz kościelnych, a potem wobec całego miasta. Jak na plotkarską Sycylię, Kościół był szczytem dyskrecji, lecz było to tyle co. nic; za miesiąc, dwa, cała sprawa nabierze rozgłosu, jak wszystko na tej wyspie, która zamiast Trinacrii<sup>51</sup> powinna wziąć jako symbol Ucho Dionizego<sup>52</sup> w Syrakuzach, które roznosi głośnym echem najlżejsze westchnienie w promieniu pięćdziesięciu metrów. A zależało jej na szacunku Kościoła. Mir samego nazwiska powoli wygasał. Wielokrotnie dzielony majątek dorównywał w najlepszym razie stanowi posiadania pomniejszych rodów i był znikomy w porównaniu z tym, czego

<sup>51</sup> Trinacria – grecka nazwa Sycylii oznaczająca „wyspę o trzech rogach”.

<sup>52</sup> Ucho Dionizego – ogromna grotta w kamieniołomach Syrakuz połączona ze szczytem góry wąskim, lejkowatym wydrążeniem, dzięki któremu słowa wypowiedane w głębi groty słyszy się wyraźnie na zewnątrz. Nazwa jej pochodzi stąd, że żyjący w V w. tyran Syrakuz, Dionizy, trzymał w niej więźniów i mógł doskonale podsłuchiwać, o czym mówili.

dorobili się bogaci przemysłowcy. Ale w Kościele, w stosunkach z Kościołem ród Salina dzierżył palmę pierwszeństwa; trzeba było widzieć, jak jego eminencja przyjmował trzy siostry, gdy składały mu wizytę na Boże Narodzenie! A teraz?

Weszła pokojówka:

– Ekscelencjo, przyjechała księżna, samochód już jest na dziedzińcu.

Concetta wstała, przyglądała włosy, zarzuciła na ramiona szal z czarnej koronki, przybrała cesarskie wejrzenie i weszła de westybulu w chwili, gdy Angelica wchodziła na ostatnie stopnie zewnętrznych schodów. Cierpiała na żylaki; nogi, zawsze trochę za krótkie, nie wytrzymały jej ciężaru i szła na górę wsparta na ramieniu swego lokaja, którego czarny płaszcz zamiatał schody.

– Concetto droga!

– Angelice, jak dawno cię nie widziałam!

Dla dokładności stwierdzić należy, że od ostatniej wizyty upłynęło tylko pięć dni, lecz zażyłość między kuzynkami (zażyłość, która, biorąc pod uwagę natężenie uczuciowe, podobna była. do tej, jaka zrodziła się kilka lat później między Włochami a Austriakami siedzącymi naprzeciw siebie w okopach) była tego rodzaju, że, istotnie, okres pięciu dni mógł się wydawać długi.

W Angelice, która zbliżała się do siedemdziesiątki, widać było jeszcze wiele śladów dawnej piękności; choroba, która miała przekształcić ją za trzy lata w godną politowania larwę, już ją drażyła, ale na. razie przyczaiła się we krwi. Zielone oczy były te same co dawniej, tylko nieco przyćmione biegiem czasu, a zmarszczki na szyi ukryte pod szerokimi, przewiązaniem pod brodą wstążkami kapelusza, który owdowiała przed trzema laty Angelica nosiła nie bez kokieterii z lekka zaprawionej nostalgią.

– Cóż chcesz – mówiła do Concetty, gdy trzymając się w pół wchodziły do salonu – cóż chcesz, w związku z nadchodzącymi obchodami pięćdziesięciolecia wyprawy na czele Tysiąca nie mam chwili spokoju. Wyobraź sobie, kilka dni temu zawiadomiono mnie, że mam zasiadać w Komitecie Honorowym. To uczczenie pamięci naszego Tancreda, bez wątpienia, ale ileż dla mnie zachodu! Zatrószczyć się o ulokowanie tych wszystkich kombatantów, którzy pozostali przy życiu i zjadą tutaj ze wszystkich stron Italii, wyznaczyć miejsca na trybunach tak, by nie obrazić nikogo, wciągnąć w akcję wszystkich burmistrzów Sycylii. A propos, wyobraź sobie, moja kochana, że burmistrz lenna Salina jest klerykałem i odmówił wzięcia udziału w defiladzie; pomyślałam więc od razu, żeby wziąć na jego miejsce twojego bratanka Fabrizia; odwiedził mnie i cap! schwyciłam go. Nie mógł powiedzieć „nie” i, co za tym idzie, zobaczymy go pod koniec miesiąca defilującego przez via Libertà przed pięknym manifestem, na którym będzie wypisane wielkimi literami: „Salina”. Czy nie uważasz, że to celny strzał? Salina odda hołd Garibaldiemu. Stara i nowa Sycylia razem! Pomyślałam też o tobie, moja droga, oto twoje zaproszenie na trybunę honorową, po prawej stronie łoża królewskiej. – Wyjęła z paryskiej torebki kartę szkarłatno garibaldijską, w tym samym kolorze co tasiemka nad krawatem, którą nosił przez pewien czas Tancredi. – Carolina i Caterina będą niezadowolone – ciągnęła dalej arbitralnym tonem – ale mogłam dysponować tylko jednym miejscem; zresztą, ty masz większe prawa od nich, ty byłaś ukochaną kuzynką naszego Tancreda.

Mówiła dużo i umiała mówić; czterdziestoletnie współżycie z Tancredem, choć przerywane i burzliwe, było wystarczająco długie, by wypełnić z niej doszczętnie ślady prowincjonalnych manier Donnafugaty; tak się upodobniła do męża, że nawet splatając ręce robiła to owym wdzięcznym ruchem, który był jednym z charakterystycznych gestów Tancreda. Dużo czytała; najnowsze dzieła France’a i Bourgeta mieszały się na jej stoliku z książkami Matyldy Serao i d’Annunzia; w salonach Palermu uchodziła za znawczynię architektury zamków francuskich nad Loarą; mówiła o nich często z nieokreśloną egzaltacją, porównując może nieświadomie ich pogodny styl Odrodzenia z niespokojnym barokiem

pałacu w Donnafugacie, budzącym w niej głęboką awersję, niezrozumiałą dla tych, którzy nie znali jej ciężkiego, pełnego upokorzeń dzieciństwa.

– Doprawdy, tracę głowę, moja droga! Zapomniałam ci powiedzieć, że zjawi się tutaj lada chwila senator Tassoni, który jest obecnie moim gościem w pałacu Falconeri i koniecznie chce cię poznać. Był serdecznym przyjacielem naszego biednego Tancreda, a także jego towarzyszem broni i, zdaje się, słyszał o tobie od niego. Nasz drogi kochany Tancredi!

Wyciągnęła z torebki chusteczkę z wąską czarną obwódką i otarła nią łzę z pięknych jeszcze oczu.

Concetta przerywała od czasu do czasu jakimś zdaniem potok wymowy Angeliki, lecz gdy padło nazwisko Tassoniego, nie powiedziała ani słowa. Ujrzała scenę bardzo odległą, ale tak wyraźną, jakby oglądała ją przez odwrotną stronę lunety: długi biały stół, wokół ci wszyscy zmarli, Tancredi przy niej, nieżyjący również, jak prawdę powiedziawszy, ona, sama; trywialna historyjka, histeryczny śmiech Angeliki, jej nie mniej histeryczne łzy. To był zwrotny moment w jej życiu; droga, którą wtedy obrała, doprowadziła ją aż tutaj, na, tę pustynię ogołoconą nawet z miłości już umarłej i z żalu już wygasłego.

– Słyszałam o tych kłopotach, jakie macie z kurią. Ach, jacyż oni nudni! Że też nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Byłabym wam pomogła, kardynał bardzo się ze mną liczy, ale obawiam się, że teraz już jest za późno. No, ale zrobię, co będę mogła. Zresztą na pewno wszystko dobrze się skończy.

Wkrótce zjawił się senator Tassoni, żwawy, bardzo elegancki starszy pan. Jego ogromny i stale wzrastający majątek zdobyty był w nieustannych walkach i rozgrywkach; toteż bogactwo zamiast osłabić jego siły żywotne utrzymywało go w nieprzerwanej aktywności, która odmładzała go i dodawała mu ognia. Ze swej kilkumiesięcznej służby przy Garibaldim wyniósł postawę wojskową, która nie zatarła się nigdy; w połączeniu z wykwintnymi manierami dało mu to magiczną siłę, podbijającą dawniej serca kobiet, a teraz – przy plikach jego akcji – pozwalającą mu terroryzować koncerty, bawehniane i bankowe; połowa Włoch i większość krajów bałkańskich przyszywała guziki niemi Tassoni i Ska.

– Proszę pani – mówił do Concetty siadając na niskim taborecie, który był w sam raz odpowiedni dla pазia i który wybrał właśnie dlatego – proszę pani, spełnia się teraz marzenie mojej odległej młodości. Ileż to razy, gdy biwakowaliśmy w mroźne noce na Volturmo i wokół pagórków oblężonej Gaety, ileż to razy nasz niezapomniany Tancredi opowiadał mi o pani! Wydawało mi się, że panią znam, że bywałem w tym domu, w którym upłynęło pani dumne dzieciństwo. I jestem szczęśliwy, że, chociaż z takim opóźnieniem, mogę złożyć mój hołd u stóp tej, która była pocieszycielką jednego z najszlachetniejszych bohaterów naszego wyzwolenia.

Concetta nie przywykła do rozmów z ludźmi, których nie знаła od dzieciństwa; nie była też amatorką książek; nie miała więc sposobności uodpornić się przeciwko, retoryce, co więcej, ulegała jej czarowi i poddawała mu się bez reszty. Toteż wzruszyły ją słowa senatora; zapomniała o. wojskowej anegdotce sprzed pięćdziesięciu laty, nie widziała już w Tassonim gwałciciela klasztorów, bezbożnika, który pogwałcił klauzurę, który natrząsał się z biednych wystraszonych mniszek, lecz starego, oddanego przyjaciela Tancreda, który rozmawiał z. nią czule, który przynosił jej, jej cieniowi, posłannictwo od zmarłego, przekazane poprzez to kłębowisko czasu, tak trudne do przebycia dla tych, co odeszli na zawsze.

– A cóż mówił panu o mnie mój drogi kuzyn? – zapytała półgłosem z nieśmiałością, która wskrzeszała w tej masie czarnego jedwabiu i siwych włosów osiemnastoletnią panienkę.

– Ach, wiele rzeczy! Mówił o pani niemal tak dużo jak o donnie Angelice. Tamta była jego miłością, pani symbolem jego błogiej młodości, tej młodości, która dla nas, żołnierzy, tak szybko mija.

Ból zmroził znowu stare serce, a Tassoni, podnosząc głos, mówił już do Angeliki:

– A pamięta pani, księżno, co opowiadał nam w Wiedniu dziesięć lat temu? – Znowu

zwrócił się do Concetty z wyjaśnieniem: – Pojechałem tam z delegacją włoską na rokowania handlowe; Tancredi gościł mnie u siebie w ambasadzie z szerokim sercem przyjaciela i kolegi z lat młodości, z uprzejmością wielkiego pana. Może wzruszył go widok starego towarzysza broni w tym wrogim mieście, bo wspomnienia cisnęły mu się na usta jedno za drugim! W loży Opery, na przedstawieniu *Don Juana*, podczas przerwy wyznał nam ze swoją nieporównaną ironią pewien niewybaczalny grzech, jaki popełnił w stosunku do pani. – Przerwał na chwilę, by zrobić tym większą niespodziankę. – Proszę sobie wyobrazić, że opowiedział nam, jak pewnego wieczoru podczas kolacji w Donnafugacie wymyślił pieprzną anegdotkę i pozwolił sobie ją pani opowiedzieć, taki wojskowy epizodzik z okresu walk w Palermo; i jak pani w to uwierzyła, i obraziła się, gdyż ta historyjka była dość pikantna jak na owe czasy. Robiła mu pani wyrzuty. „Była taka urocza – mówił – gdy spiorunowała mnie wzrokiem i gniewnie nadęła wargi niczym szczeniak.

Tak była urocza, że gdybym się w porę nie powstrzymał, chwyciłbym ją w ramiona wobec wszystkich zgromadzonych i mego groźnego wujaszka!” Pani na pewno o tym zapomniała, ale on pamiętał doskonale, tyle wrażliwości było w jego sercu; pamiętał ten dzień także dlatego, że wtedy właśnie ujrzał po raz pierwszy donnę Angelikę.

Tu zwrócił się do księżnej z gestem hołdu, z wyciągniętą prawą ręką opadającą powoli w powietrzu – ta czysto goldoniańska tradycja zachowała się jeszcze tylko między senatorami Królestwa.

Rozmowa toczyła się jeszcze przez pewien czas, jednak nie można powiedzieć, żeby Concetta brała w niej czynny udział. Nieoczekiwane słowa senatora docierały do niej powoli i początkowo nie sprawiały jej wielkiego cierpienia. Lecz gdy goście pożegnali się i odeszli, zaczęła widzieć coraz jaśniej, a więc cierpieć coraz więcej. Duchy przeszłości od dawna były wygnane; kryły się oczywiście wszędzie i we wszystkim i one to zaprawiały chleb goryczą, współzycie z ludźmi – udręką. Ale już od dawna nie ukazywały prawdziwego oblicza; teraz wdarło się ono nagle i niespodziewanie, otulone w żałobny komizm błędów nie do naprawienia. Niedorzecznością byłoby twierdzić, że Concetta kochała jeszcze Tancreda – wieczność miłości trwa kilka lat, nie pięćdziesiąt. Lecz jak osoba wyleczona przed pięćdziesięciu laty z ospy nosi jeszcze jej ślady na twarzy, choć od dawna zapomniała o związanych z nią cierpieniach, tak ona nosiła zawsze w swoim znękanym sercu blizny owego rozczarowania, niemal już historycznego, historycznego do tego stopnia, że święciło się oficjalnie jego pięćdziesięciolecie. Dotychczas, kiedy, rzadko zresztą, wracała myślą do tego, co się stało owego odległego lata w Donnafugacie, podtrzymywała ją świadomość przebytej męki i wyrządzonej jej krzywdy, nienawiść do ojca, który zlekceważył jej miłość, zżerając ją uczucie w stosunku do tego drugiego zmarłego. Teraz natomiast to wszystko, czym dotąd żyła, rozpadło się w gruzy. Nie było nigdy żadnych nieprzyjaciół, był tylko jeden wróg – ona sama. Zrujnowała całą swoją przyszłość własną nierozwagą, popędliwym odruchem temperamentu Salinów; i właśnie teraz, w chwili gdy wspomnienia zaczęły nabierać barwy życia, zabrakło jej tej pociechy, by móc przypisać swoje nieszczęścia innym, tej pociechy, która jest ostatnim, zwodniczym narkotykiem rozpacz.

Jeśli było tak, jak opowiadał Tassoni, to długie godziny rozkoszowania się nienawiścią przed portretem ojca, chowanie fotografii Tancreda, żeby nie znienawidzić i jego, były głupotą, gorzej, okrutną niesprawiedliwością. Cierpiała na wspomnienie gorącego, błagalnego głosu Tancreda, który prosił wuja, żeby pozwolił mu wejść do klasztoru; były to słowa wyrażające miłość dla niej, słowa nie zrozumiane, odepchnięte przez pychę, a które zmrożone jej szyderstwem wycofały się z podkulonym pod siebie ogonem jak bite szczeniaki. Z ponadczasowej głębi jej istoty wypłynął przejmujący ból i splamił ją od stóp do głów – poznała prawdę.

A zresztą, czy to była prawda? Nigdzie prawda nie ma tak krótkiego żywota jak na Sycylii. Cokolwiek się wydarzy, już po pięciu minutach sedno prawdy zanika, zamaskowane,



upiękzone, przekształcone, znękanе, unicestwione fantazją lub interesem; wstyd, lęk, szlachetność, wrogość, oportunizm, litość, wszelkiego rodzaju namiętności, zarówno dobre, jak i złe, rzucają się na ten fakt i rozszarpują go w kawałki; w mgnieniu oka – fakt znika. A biedna Concetta chciała poznać prawdę uczuć nigdy nie wyrażonych i oglądanych z odległości pięćdziesięciu lat! Nie było już prawdy; niepewność zmieniła się w nieomylny ból.

Tymczasem Angelica i Tassoni odbywali krótką drogę do pałacu Falconeri. Tassoni był zaniepokojony:

– Angelico – powiedział (miał z nią krótki romans przed trzydziestu laty i zachował w stosunku do niej ten niczym niezastąpiony poufały ton, będący następstwem kilku godzin spędzonych pod jedną kołdrą) – boję się, że uraziłem czymś twoją kuzynkę. Czy zauważyłaś, jaka była milcząca pod koniec wizyty? Byłbym tym bardzo zmartwiony, to taka miła pani!

– Oczywiście, że ją uraziłeś, Vittorio – odrzekła Angelica, którą ukłuła podwójna, choć widmowa już zazdrość – ona była zakochana do szaleństwa w Tancredzie, ale on nigdy na nią nie zwracał uwagi.

Jedną więcej łopata ziemi padła na grób prawdy.

Kardynał Palermo był naprawdę świętym człowiekiem; obecnie, gdy już wiele lat minęło od jego śmierci, zachowano żywe wspomnienie o jego miłosierdziu i niezłomnej wierze. Jednakże za życia kardynała wszystko wyglądało inaczej; nie był Sycylijczykiem, nie pochodził też ani z Południa, ani z Rzymu, a więc jego typowo północna energia próbowała przez wiele lat spulchnić nieruchawą, ciężką umysłowość wyspy w ogóle, a kleru w szczególności. Łudził się początkowo, że przy współpracy kilku sekretarzy, również rodem z Północy, uda mu się odwalić głązy, oczyścić teren z najbardziej stojących na zawadzie kamieni. Lecz szybko uświadomił sobie, że byłoby to mniej więcej to samo, co strzelać do bel bawełny: maleńka dziurka od kuli wypełniała się w oka mgnieniu tysiącem włókiensojuszników i wszystko pozostawało, nie zmienione, z tym, że doliczyć należało koszt zmarnowanego prochu, śmieszność bezużytecznego wysiłku oraz uszkodzenia surowca. Podobnie jak o wszystkich innych, którzy chcieli w owym czasie zmienić coś w charakterze Sycylijczyków, urobiła się o nim opinia, że jest „głupcem” (co w panujących tam warunkach zgadzało się z prawdą, bowiem ludzie ci porywali się z motyką na słońce), musiał więc zadowolić się dobroczynnością, która zmniejszała jeszcze jego popularność, jeśli wymagała od podopiecznych najmniejszej fатыgi, choćby tylko odwiedzania arcybiskupiego pałacu.

Tak więc sędziwy kardynał, który rankiem 14 maja udał się do pałacu Salina, był zacnym, lecz pozbawionym złudzeń człowiekiem, który przybrał w końcu wobec swoich owieczek postawę pogardliwego współczucia (czasami, pomimo wszystko, niesprawiedliwą). Stał się szorstki i porywczy, co jeszcze bardziej zwiększało jego niepopularność.

Jak wiemy, trzy siostry Salina czuły się w zasadzie urażone kontrolą w ich kaplicy, lecz, jako dusze infantylnе i mimo wszystko kobiece, cieszyły się z góry na związane z nią drugorzędne, lecz niewątpliwe przyjemności. A więc na to, że przyjmą księcia Kościoła wśród przepychu rezydencji domu Salina, który w swej dobrej wierze uważały za jeszcze nie naruszony, a przede wszystkim, że będą mogły oglądać przez pół godziny kręcącego się po pokojach karmazynowego owada i podziwiać zharmonizowane odcienie purpury oraz mieniające się ciężkie jedwabie jego szat. Jednakże sądzone im było rozczarować się nawet w tym względzie i wyrzec się tej ostatniej, skromnej nadziei. Gdy zeszły po schodach przed pałac i zobaczyły wysiadającego z powozu kardynała, stwierdziły, niestety, że jego eminencja nie wystąpił w gali. Tylko maleńkie czerwone guziczki na czarnej sutannie wskazywały na jego wysoką rangę; pomimo męczeńskiej, dobrotliwej twarzy kardynał nie wyglądał ,bardziej imponująco niż kanonik z Donnafugaty. Był uprzejmy, lecz chłodny, i jego postawa była po mistrzowsku przemyślaną mieszaniną szacunku dla domu Salina i indywidualnych cnót starych panien z pogardą dla ich zacofania i czysto formalnej pobożności. Nie zareagował ani

słowem na wykrzykniki wikariusza podziwiającego wspaniałe wnętrza, które mijali po drodze, odmówił wypicia któregoś z przygotowanych napojów („Nie, dziękuję, poproszę tylko o szklankę wody, dziś jest wigilia mojego patrona”), nie usiadł nawet. Przeszedł od razu do kaplicy, ukląkł na chwilę przed wizerunkiem cudownej Madonny z Pompei; pobieżnie obejrzał relikwie. Jednakże z pasterską dobroduszością pobłogosławił panie domu i klęczącą w westybulu służbę, po czym powiedział do Concetty, której twarz nosiła ślady nieprzespanej nocy:

– Proszę pani, przez kilka dni nie wolno odprawiać mszy w tej kaplicy, ale zajmę się tym osobiście, by jak najszybciej była powtórnie poświęcana. Moim zdaniem, cudowna Madonna z Pompei godnie zastąpi wiszący nad ołtarzem obraz; zresztą, będzie go można dołączyć do kolekcji pięknych dzieł sztuki, które oglądałem przechodząc przez wasze salony. Co do relikwii, to zostawiam na miejscu don Pacchiotta, mego sekretarza; jest to człowiek jak najbardziej kompetentny. Przestudiuje on dokumenty i zapozna was z wynikami swoich badań; jego decyzja będzie równoznaczna z moją.

Pozwolił wszystkim łaskawie pocałować pierścień i ciężko wsiadł do karety wraz ze swoją nieliczną świtą.

Pojazdy nie dojechały jeszcze do zakrętu Falconeri, gdy Carolina z oczyma rzucającymi błyskawice zasyczała przez zaciśnięte zęby:

– Dla mnie ten papież to heretyk!

Caterinie trzeba było podsunąć sole trzeźwiące. Concetta rozmawiała tymczasem spokojnie z don Pacchiottim, który zgodził się w końcu wypić kawę i zjeść kawałek babki.

Potem ksiądz poprosił o klucz do skrzyni z dokumentami i przeprosiwszy panie poszedł do kaplicy zabierając ze sobą młoteczek, śrubokręt, piłkę, powiększające szkło oraz kilka ołówków, które wyjął ze swojej torby. Był on absolwentem Watykańskiej Szkoły Paleograficznej; poza tym był Piemontczykiem. Jego praca była długa i żmudna; przechodząca koło drzwi kaplicy służba słyszała dobiegające stamtąd uderzenia młotka, zgrzyt śrub i westchnienia. Po trzech godzinach ukazał się na powrót w zakurzonej sutannie, z brudnymi rękami, lecz na jego ocienionej okularami twarzy malowało się zadowolenie.

Nióśł duży wiklinowy koszyk i, wskazując nań, tłumaczył się:

– Pozwoliłem sobie przywłaszczyć ten kosz, żeby złożyć w nim odrzucone rzeczy. Czy mogę go tu postawić? – I umieścił w kącie ten grat, wypełniony po brzegi podartymi papierami, zapisanymi kartkami i pudełkami zawierającymi kości. – Jestem szczęśliwy mogąc oznajmić paniom, że znalazłem pięć relikwii bezspornie autentycznych, godnych kultu religijnego. Reszta jest tam – dodał wskazując na kosz. – Czy mogą mi panie wskazać, gdzie mógłbym się oczyścić i umyć ręce?

Wrócił po pięciu minutach wycierając sobie ręce dużym ręcznikiem, na brzegu którego tańczył wyhaftowany, Czerwonym jedwabiem lampart.

– Zapomniałem powiedzieć, że poukładałem ramki na stole w kaplicy; niektóre z nich są rzeczywiście prześliczne. – Zaczął się żegnać: – Moje uszanowanie paniom.

Lecz Caterina nie pocałowała go w rękę.

– A co mamy zrobić z zawartością koszyka?

– Co tylko się paniom podoba, zachować albo wyrzucić na śmietnik, nie mają żadnej wartości. – Gdy Concetta chciała zadysponować dla niego powóz, odmówił: – Niech się pani nie fatyguje. Zjem obiad u oratorianów, to dwa kroki stąd. Nic mi nie trzeba.

Schował do torby swoje narzędzia i oddalił się lekkim krokiem.

Concetta poszła do swego pokoju; nie odczuwała absolutnie nic: wydawało jej się, że żyje w znanym sobie, lecz obcym świecie, który dał ze siebie wszystko, co miał do ofiarowania, i który istnieje już tylko formalnie. Portret ojca stał się kilkunastoma centymetrami kwadratowymi płótna, zielone skrzynie kilkoma metrami sześciennymi drzewa. Po chwili

przyniesiono jej list:

*Najdroższa Concetto, dowiedziałam się o wizycie Jego Eminencji i cieszy mnie to, że udało się uratować kilka relikwii, Postaram się, żeby wikariusz generalny odprawił pierwszą mszę świętą w poświęconej na nowo kaplicy. Senator Tassoni wyjeżdża jutro i poleca się twojemu bon souvenir. Wkrótce przyjadę cię odwiedzić, a tymczasem ściskam cię najczulej wraz z Caroliną i Caterina*

*Twoja Angelica*

W dalszym ciągu nic nie odczuwała; pustka wewnętrzna była kompletna; tylko kupka futra wywoływała mglisty niepokój. To była troska na dzisiaj – nawet biedny Bendicò nasuwał niemiłe wspomnienia. Zadzwoiła.

– Annetto – powiedziała – ten pies jest rzeczywiście siedliskiem moli i kurzu. Wynieście go, wyrzucicie!

Gdy ciągnięto wypchane zwierzę, szklane oczy spojrzały na nią z pokornym wyrzutem rzeczy, którą się usuwa, którą chce się zniszczyć. Kilka minut później to, co zostało z Bendica, rzucono w kąt podwórza, które codziennie odwiedzał śmieciarz. Podczas lotu z okna kształt psa zmienił się na chwilę: można było dostrzec tańczącego w powietrzu lamparta o długich wąsach, z, uniesioną przednią łapą, która zdawała się wygrażać. Potem wszystko zamarło w usypisku siniego kurzu.

## Nota biograficzna

Giuseppe Tomasi di Lampedusa urodził się w 1896 r. w Palermo. Pochodził ze starej arystokratycznej rodziny sycylijskiej. Dzieciństwo spędzone w pałacu w Palermo i w wiejskich rezydencjach w głębi Sycylii wywarło ogromny wpływ na ukształtowanie się osobowości i talentu przyszłego pisarza. Wszczepiło mu umiłowanie miejsc i rzeczy, zrodziło skłonność do samotnych rozważań, do własnych „odkryć” pejzażu Sycylii. Wychowywany przez cudzoziemskie guwernantki, nauczył się podstawowych europejskich języków, bardzo dużo czytał i zdobył rozległą kulturę literacką. Mając lat dwadzieścia uczestniczył w pierwszej wojnie światowej; wzięty do niewoli, przebywał jakiś czas w obozie jeńców w Poznaniu. Po dwukrotnej próbie udało mu się zbiec; wrócił do Włoch przemierzając pieszo Europę. Wrogi ideologii faszyzmu, trzymał się w okresie dwudziestolecia z dala od udziału w życiu publicznym, podróżował wiele po Europie, zatrzymując się dłużej we Francji, Anglii i na Łotwie, gdzie poznał swoją przyszłą żonę Aleksandrę Wolff-Stomersee. Uczestniczył również w drugiej wojnie światowej w randze kapitana artylerii.

W stosunkach z ludźmi był człowiekiem powściągliwym i nieufnym. Jeżeli wymagały tego okoliczności, brał udział w bieżących wydarzeniach, ale jeśli tylko mógł, starał się pozostać na uboczu ceniąc ponad wszystko własną niezależność. Giorgio Bassiani, pisarz i krytyk włoski, który poznał Lampedusę w 1954 r. na zjeździe literatów w San Pallegirino Terme, tak pisze o autorze *Lamparta*: „Był to mężczyzna wysoki, korpulentny, milczący; miał twarz bladą tą szarą bladością właściwą ludziom z południa o ciemnej cerze. Widząc jego starannie zapięte palto, opuszczone na oczy rondo kapelusza, sękatą laskę, na której, idąc, ciężko się opierał, można go było wziąć na pierwszy rzut oka za – czy ja wiem? – jakiegoś generała w stanie spoczynku albo kogoś w tym rodzaju. Spacerował u boku kuzyna alejkami otaczającymi kursal i uczestniczył w obradach zjazdu zawsze milczący, z tą nieodstępną zmarszczką goryczy wokół ust. Kiedy zostałem mu przedstawiony, ograniczył się jedynie do lekkiego ukłonu i nie powiedział ani słowa.”<sup>53</sup>

Podczas wspomnianego zjazdu Lampedusa zetknął się po raz pierwszy z krytykami i pisarzami włoskimi, jak G. Bassani, Giuseppe Ravagnani, Giuseppe Bellonci. Wkrótce po powrocie ze zjazdu zaczął pisać, nic jednak nie publikując; wtedy właśnie, między 1956 a 1956 rokiem, powstał *Lampart*. „Dwadzieścia pięć lat temu – powiedziała żona Lampedusy Bassanemu – oznajmił mi, że zamierza napisać powieść historyczną, której akcja będzie rozgrywać się na Sycylii w momencie wylądowania Garibaldiiego w Marsala i która skoncentruje się wokół postaci jego pradziadka ze strony ojca, astronoma Giulia di Lampedusa. Myślał o tej powieści bezustannie, ale nie mógł się zdecydować, żeby ją zacząć.”<sup>54</sup> *Lampart* powstawał w Palermo, przy stoliku w kawiarni Klubu „Bellini” – Lampedusa przychodził tam wczesnym rankiem i pracował do godziny trzeciej po południu. Zaledwie zdążył przepisać powieść, wystąpiły u niego pierwsze objawy Choroby; umieszczony w jednej z klinik rzymskich, zmarł tam w kilka tygodni później (1957 roku).

Na wiosnę 1957 r. maszynopis *Lamparta* dotarł przypadkiem do rąk Bassaniego, który, oceniwszy wysokie walory powieści, postarał się o jej wydanie. W 1958 r. *Lampart* ukazał się u Feltrinello, zyskał wkrótce ogromny sukces czytelniczy, otrzymał w 1959 r. nagrodę „Strega”, stał się najpopularniejszą i najbardziej dyskutowaną książką włoską.

---

<sup>53</sup> Ze wstępu G. Bassaniego do włoskiego wydania *Lamparta*.

<sup>54</sup> Ib.

Zadziwiająca jest reakcja dużej części włoskiej krytyki na tę bezsprzecznie jedną z najlepszych powieści włoskich. Wyrażając mimowolny podziw dla *Lamparta*, krytycy zarzucają Lampedusie, że jest to książka o przestarzałej technice pisarskiej, nie mającej nic wspólnego z Joyce’em i Proustem, że obraz Sycylii tkwiącej w wiekowym bezruchu i wrogiej wszelkim zmianom – jest z gruntu fałszywy, że autor w wyborze tematu i epoki wzorował się na *Wicekrólach* Federiga de Roberto (1866-1927), a swoisty humor zaczerpnął od współczesnego pisarza sycylijskiego V. Brancatiego, że naśladował nawet Ariosta w niezapomnianym opisie Donnafugaty. Ostatnio wreszcie, kiedy sukces światowy *Lamparta* stał się rzeczą bezsporną, kiedy we Włoszech osiągnął on rekordową ilość nakładów, został przełożony na kilkanaście języków, posądzono Lampedusę o plagiat, dokonany rzekomo na książce jego przyjaciela, sycylijskiego prawnika Giuseppe Maggiore, który zmarł w 1954 r. Bohater jego powieści *Sette e mezzo (Siedem i pół)*<sup>55</sup> nazywa się wprawdzie również książę don Fabrizio i ma siostrzeńca przypominającego Tancreda, ale zasadniczo na tym podobieństwo obu książek się kończy, a i w tym wypadku słuszną wydaje się sugestia francuskiego krytyka, że pierwowzorów tych postaci należałoby szukać raczej w rodzinie Lampedusów niż Maggiorich. Akcja *Sette e mezzo* rozgrywa się w 1866 r. w czasie sycylijskiej rewolty wymierzonej przeciwko zjednoczeniu Włoch, gdy tymczasem Lampedusa przeskakuje w *Lamparcie* okres między 1862 a 1883 rokiem. Książka Maggiorego jest rozgadana, ciężka, uginająca się pod nadmiarem erudycji, aforyzmów i wszelkiego rodzaju stylistycznych ozdóbek. *Lampart* jest dziełem wielkiego talentu, i ze względu na treść, i na formalne walory jego prozy. Louis Aragon jeden z pierwszych dostrzegł wartość tej książki mówiąc, że to „jedna z wielkich powieści tego stulecia, jedna z wielkich powieści wszystkich czasów i kto wie [...], czy nie jedyna powieść włoska”<sup>56</sup>. Jego zdaniem, „przewyższają *Lamparta* tylko *Narzeczeni* Manzoni”<sup>57</sup>.

Urok tej powieści polega nie tyle na przejmującej lekcji historii, której nam udziela Lampedusa, ale przede wszystkim na przekazaniu nam swoistego, urzekającego sposobu widzenia ludzi, miejsc i rzeczy. Jest w tym i żal za minioną bezpowrotnie przeszłością i ostra, realistyczna ocena tej przeszłości, swoisty humor i urzekająca ironia, piękny, oszczędny styl, zdolność uchwycenia w jednym geście, powiedzeniu czy spojrzeniu, w jednym obrazie – ludzi i wydarzeń, i umiłowanie bez reszty urody starych pałacowych wnętrz, „kruchego uśmiechu” kryształowych kwiatów świecznika, i spokojny smutek towarzyszący obecnej w całej książce wizji śmierci, która księciu Salina łągodzi najtrudniejsze chwile życia.

I jakkolwiek prototypem księcia był dla Lampedusy jego pradziad Giulio di Lampedusa, książka ma dużo cech autobiograficznych, jej wydarzenia i problematyka widziana jest oczyma nie pradziada, ale wnuka.

Oprócz *Lamparta* Lampedusa pozostawił nie wydany dotąd zbiór szkiców o pisarzach francuskich XIX w. (takich jak Stendhal, Merimée, Flaubert) oraz trzy nowele i szkic biograficzny, które ukazały się w 1961r. pod wspólnym tytułem *I racconti (Opowiadania)*. Szkic, noszący tytuł *I luoghi della mia prima infanzia (Miejsca mojego dzieciństwa)*, zawiera luźne wspomnienia autora z lat dziecińczych, związane ściśle z dwoma rezydencjami Lampedusów: pałacem w Palermo i posiadłością w Santa Margherita Belicea, która stała się prototypem Donnafugaty. Nowela *Il mattino di un mezzadro (Poranek don Battassana)* miała być, wedle słów żony autora, pierwszym rozdziałem nie napisanej powieści pt. *I gattini ciechi (Ślepe kotki)* i dalszym ciągiem *Lamparta*. *La gioia e la legge (Radość i prawo)* to obrazek z życia prostego, szarego urzędnika. Opowiadanie *Lighea (Profesor i syrena)* odczytane z taśmy magnetofonowej, gdyż autografu nie odnaleziono, jest rodzajem powiastki

<sup>55</sup> Nazwa gry w karty i zarazem aluzja do czasu trwania sycylijskiej rewolty.

<sup>56</sup> Z artykułu L. Aragona „Un grand fauve se lève sur la littérature: le guépard”, zamieszczonego w „Les Lettres Françaises” z 17 – 23 XII 1959, w przekładzie H. Szumańskiej-Grossowej.

<sup>57</sup> Ib.

filozoficznej, o dużym podkładzie autobiograficznym.

*Jadwiga Gałuszka*

## Nota historyczna

Lampedusa stara się ukazać w Lamparcie decydujący moment schyłku arystokracji sycylijskiej, któremu usiłują przeciwstawić się poszczególni przedstawiciele tej klasy (np. Tancredi) zdobywając sobie miejsce w nowej rzeczywistości polityczno-społecznej, jaka zaistniała po zjednoczeniu Włoch. Duża część książki związana jest dość ściśle z wydarzeniami historycznymi, które rozegrały się od wiosny 1800 do lata 1862. Akcja tej pierwszej części rozpoczyna się w maju 1860 roku prezentacją księcia i jego otoczenia, a więc prawie w tym samym czasie, kiedy zwolennicy Garibaldiego zaledwie przystąpili do akcji i sytuacja polityczna jest jeszcze nie wyjaśniona, kończy się zaś w listopadzie 1862 roku balem u księstwa Ponteleone, kiedy to – mimo pewnych zastrzeżeń – pojednanie między starą a nową klasą rządzących jest faktem dokonany. Końcowe rozdziały książki – śmierć księcia, ostatnie wzmianki o losach rodziny Salina i Falconeri – rozgrywają się w latach 1883 i 1910 ukazując, w dużych odstępach czasu, kolejne fazy powolnego upadku starego rodu. W tej części powieści powiązania fabuły z wydarzeniami polityczno-społecznymi są coraz rzadsze.

W latach 1860-1861 kiedy powstaje zjednoczone państwo włoskie, istnieją na terenie Włoch dwa kierunki polityczne, jeden umiarkowany, drugi rewolucyjny. Pierwszy z nich, odnosząc się sceptycznie do możliwości natychmiastowego zjednoczenia Włoch, walczy z jednej strony o rozszerzenie stanu posiadania i podniesienia prestiżu dynastii sabaudzkiej panującej na Sardynii, w Ligurii i w Piemoncie, z drugiej zaś o usunięcie z Włoch Habsburgów. Obóz rewolucyjny, skupiający się w tzw. Partii Czynu (Partito d'Azione), na czele której stoi Garibaldi, składał się w dużej mierze ze zwolenników republiki, jakkolwiek nie był jednolity; uważali oni, że rewolucja narodowa we Włoszech powinna się dokonać w sposób autonomiczny w oparciu o akcję zbrojną komitetów rewolucyjnych, a nie na drodze akcji dyplomatycznej, która by na forum międzynarodowym starała się doprowadzić do nowej równowagi sił w Europie.

Powstanie zjednoczonego państwa włoskiego w jego ówczesnych granicach i z jego wewnętrzną dynamiką było wynikiem działań, niekiedy zbieżnych, tych dwóch obozów politycznych.

Jest rzeczą zrozumiałą, że dawna klasa rządząca na Sycylii obawiała się przede wszystkim przewagi obozu rewolucyjnego i starała się – przystając z konieczności na nieuniknione zmiany w dziedzinie życia politycznego – doprowadzić do porozumienia z przedstawicielami obozu umiarkowanego. Stąd obawy księcia Salina na wiadomość o wyładowaniu ochotników Garibaldiego, jego niepokoje i w końcu pogodzenie się z nowym porządkiem wprowadzonym przez dynastię sabaudzką w osobie króla Wiktora Emanuela.

Wyprawa Garibaldiego na czele Tysiąca (Spedizione dei Mille) była zorganizowana przez Partię Czynu; wzięli w niej udział także oficerowie wojska sabaudzkiego. Ich hasłem było: „Włochy i Wiktor Emanuel”.

11 V 1860 Garibaldi wyładował w Marsala na zachodnim wybrzeżu Sycylii i w imieniu Wiktora Emanuela ogłosił się dyktatorem. Pokonawszy wojska Franciszka II Burbona, króla Obojga Sycylii, pod Calatafimi, Palermo i Milazzo, ogłosił w październiku tegoż roku plebiscyt, w wyniku którego Sycylia weszła w skład monarchii sabaudzkiej. Pod koniec 1860 r. Wiktor Emanuel wkroczył do Palermo, a w marcu 1861 jego wojska pod dowództwem generała Cialdini zdobyły twierdzę w Mesynie, ostatni punkt oporu Burbonów na Sycylii.

W okresie, który nastąpił bezpośrednio po proklamacji Królestwa Włoch (13 III 1861), dawny rozdźwięk między ochotnikami Garibaldiego a regularnym wojskiem sabaudzkim odżywa, na nowo. Pozostawała otwarta sprawa rejonu weneckiego, będącego jeszcze w

posiadaniu Austrii, oraz państwa kościelnego; tzw. „kwestia rzymska” stała się przyczyną głośnego starcia między garibaldczykami a regularnym wojskiem włoskim. W czerwcu 1852 r. Garibaldi udał się do Palermo i zebrał tam ochotników z zamiarem opanowania państwa kościelnego. Minister Rattazzi, obawiając się interwencji innych państw katolickich, a przede wszystkim Francji Napoleona III, ogłosił w całym państwie stan wyjątkowy i generał Cialdini otoczywszy wzgórze Aspromonte, gdzie schronił się Garibaldi, wysłał przeciw niemu oddział pułkownika Pallavicino. Po krótkiej potyczce Garibaldi został ranny i wzięty do niewoli. Rozpoczęły się represje, którym koniec położyła amnestia; nie objęła ona jedynie żołnierzy regularnego wojska, którzy zdezerterowali, by połączyć się z Garibaldim.

*Domenico Caccamo*